AGONIA LENINA, KOSZMAR STALINA
Bolszewiccy dyktatorzy konali w makabrycznych okolicznościach

„HRABINA" NA MAJDANKU
Żydówka udająca arystokratkę ocaliła tysiące polskich więźniów

CESARSKIE SŁOŃCE NAD AUSTERLITZ
Wielkie zwycięstwo Napoleona było sygnałem – Francja rządzi w Europie

NR 12(154)/2025 GRUDZIEŃ 2025

CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

RYS. KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI

Lenin, Stalin i carowie
KOSTUCHA NA KREMLU

DO RZECZY HISTORIA
ISSN 2299-9515 Nr indeksu 296 031
9 772299 951509 12 >

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



Paweł Lisicki
REDAKTOR NACZELNY TYGODNIKA „DO RZECZY"

Rafał A. Ziemkiewicz
PISARZ I PUBLICYSTA TYGODNIKA „DO RZECZY"

WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl f4b9c5462d

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktor: **Tomasz Stańczyk**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Agnieszka Szpak

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Do Rzeczy SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD SPÓŁKI DO RZECZY SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Film „Zabawka", 1933 r.

Zula Pogorzelska (w środku, pierwszy rząd) i Stefania Górska (z prawej, pierwszy rząd) w rolach tancerek



FOT. NAC

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Śmierć rzeźników

Rządzili swoim imperium żelazną ręką. Carowie – białym, Lenin i Stalin – czerwonym. Byli panami życia i śmierci milionów swoich poddanych. Jednak nie tylko ich rządy, lecz także okoliczności ich śmierci wiele mówią o systemach, które stworzyli.

Gdy w odstępie trzech dekad umierali dwaj naczelni bolszewiccy kaci, za każdym razem całe państwo zastygło w przerażeniu. W przypadku Lenina bolszewicy bali się, że śmierć ich wodza skończy się rozpadem ZSRS. A przecież Lenin umierał „na raty", przez półtora roku. Mimo że kolejne udary zamieniały go w coraz bardziej cierpiącego kalekę, miał czas, żeby przygotować państwo na swoją śmierć. A jednak nie zostawił jasnego politycznego testamentu, który regulowałby kwestię sukcesji władzy. Lenin zbyt długo był przekonany, że nie ma drugiego takiego wodza proletariatu jak on. W końcu bolszewicka wierchuszka wyszła z upiornym pomysłem, by zamienić Lenina w mumię, która podpierałaby w kluczowym okresie komunistycznego „interregnum" Kraj Rad.

Agonia Stalina, który leżał ponad dobę na podłodze, bo każdy bał się go „obudzić", doskonale pokazuje z kolei, jakim terrorem ten Gruzin ścisnął swoje imperium. Nie tylko lekarze dygotali ze strachu przy jego nieruchomym ciele, lecz także najbliżsi współpracownicy z Kremla byli przez te kilka dni kompletnie przerażeni. Terror Stalina działał nawet wtedy, gdy nic już nie mógł im zrobić.

Zupełnie inną kwestią jest długa lista rosyjskich carów, którzy schodzili z tego świata duszeni, truci, siekani szrapnelami czy kulami. Niezwykle okrutna rosyjska rzeczywistość zastanawiająco często docierała aż na carski tron. Brutalna śmierć władców, w polskich warunkach rzecz właściwie nie do pomyślenia, w Rosji przez wieki była czymś, do czego lud zdołał przywyknąć. ©℗

eprasa.pl f4b9c5462d



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR WŁOCZYK
Jęki w Gorkach

.10 JAKUB OSTROMĘCKI
Czarne usta czerwonego cara

.14 SŁAWOMIR KOPER
Krew na carskim tronie

/ CZASY I LUDZIE

.18 ELIZABETH B. WHITE
„Hrabina" kontra SS

.22 PIOTR SEMKA
Najwierniejsze dzieci protektoratu

.26 ANNA SZCZEPAŃSKA
Eleonora Akwitańska: Najpotężniejsza w Europie



.30 PIOTR WŁOCZYK
Tarnopolski Wszechświat

.34 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Czerwona fala w Berlinie

.38 ŁUKASZ CZARNECKI
Smocze kły i szpony

.42 TOMASZ STAŃCZYK
Miliony ministra Czechowicza

.46 MIKOŁAJ IWANOW
Polowanie na czerwony pancernik

.50 MAREK GAŁĘZOWSKI
Brygada walczy do ostatniego czołgu

.54 LESZEK LUBICKI
„Dzieciobójstwo" Podkowińskiego

.60 SEBASTIAN REŃCA
„Czarny Diabeł" nr 1

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Brzemię Wojciecha Żukrowskiego

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Wykiwać Pana Boga

.71 PIOTR SEMKA
Dwaj krzepiciele serc

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Słońce Austerlitz

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Historia pod włos

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Tintin kontra bolszewicy

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Misja Sławika

eprasa.pl f4b9c5462d

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

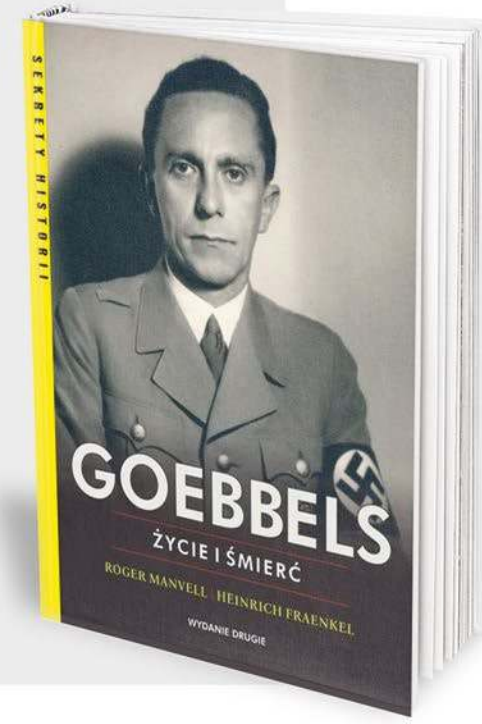
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ROGER MANVELL I HEINRICH FRAENKEL: „GOEBBELS. ŻYCIE I ŚMIERĆ"

Goebbels. Życie i śmierć

„Aby zrozumieć w pełni, jak naziści zdołali osiągnąć swój cel w tak krótkim czasie, nie wolno skupiać się wyłącznie na osobie Hitlera, lecz należy poświęcić równie dużo uwagi osobliwemu, odpychającemu, niebezpiecznemu, a jednocześnie fascynującemu człowiekowi, jakim był Joseph Goebbels."
/ze Wstępu/

Geniusz propagandy i mistrz środków masowego przekazu, jeden z najbliższych współpracowników Hitlera, zaciekły zwolennik „wojny totalnej" – Joseph Goebbels był zapewne najinteligentniejszym i wyjątkowo niebezpiecznym członkiem nazistowskiej hierarchii. To właśnie jego przebiegłe i precyzyjnie obmyślone wykorzystanie nowych wówczas mediów – radia i filmu dźwiękowego – pozwoliły opętać umysły Niemców tak, że oddali władzę w ręce Hitlera, a następnie podporządkowali państwo nazistowskiej ideologii, która doprowadziła do wybuchu najokrutniejszej wojny w historii ludzkości.
Ta klasyczna biografia jest portretem Goebbelsa – człowieka i Goebbelsa – mistrza propagandy. Ukazuje jego historię od lat szkolnych, przez etap odkrycia ruchu nazistowskiego oraz karierę w partii, po ostatnie miesiące, kiedy Goebbels jako jedyny ze starej gwardii dochował wierności Hitlerowi. Autorzy sięgnęli po liczne dokumenty i dotarli do wielu świadków, którzy pomogli im wnikliwie zbadać życiorys i karierę ministra propagandy Trzeciej Rzeszy.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

175 zł

oszczędność 54 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4b9c5462d

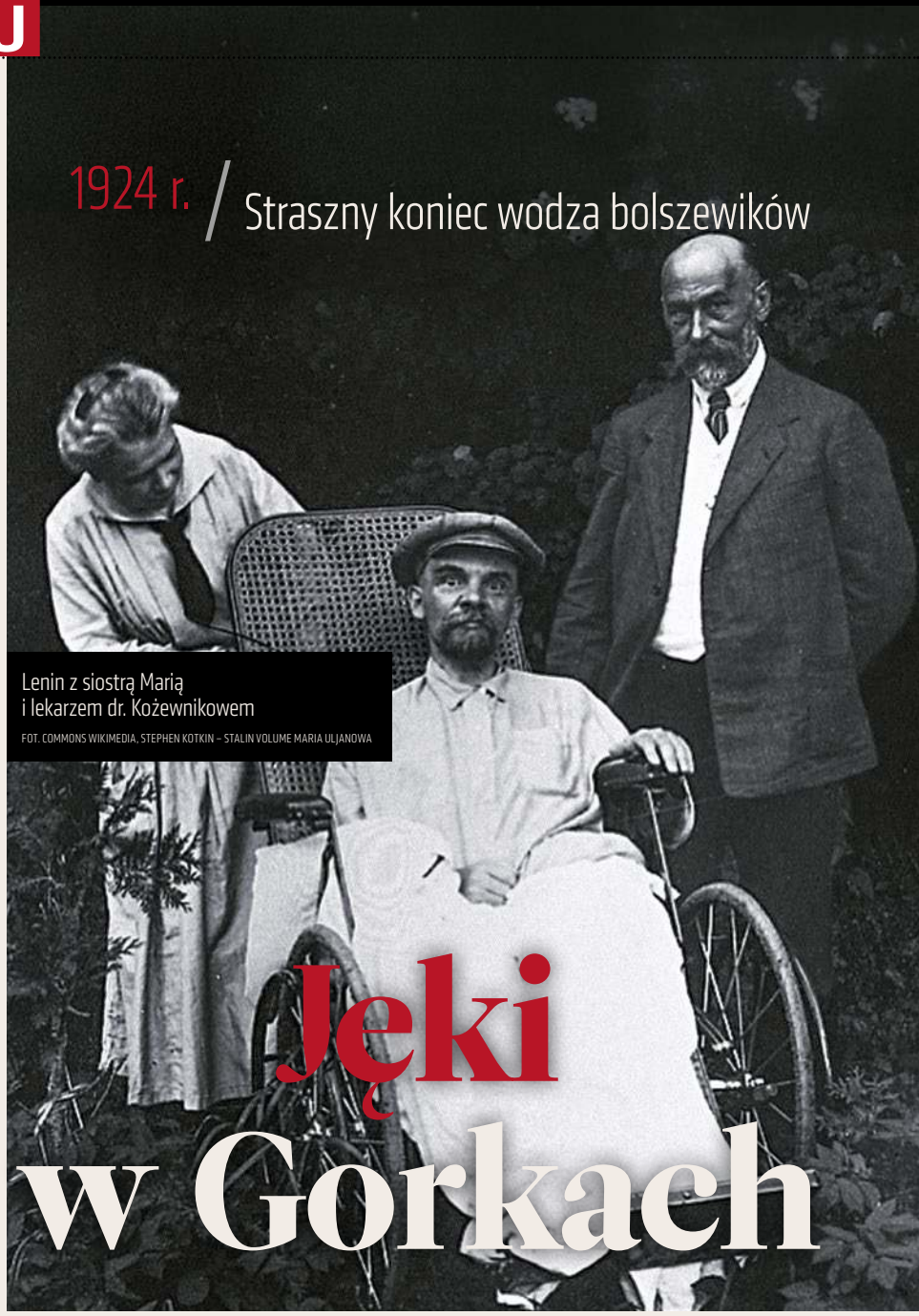
1924 r. / Straszny koniec wodza bolszewików

Jęki w Gorkach



Piotr Włoczyk

Pan życia i śmierci milionów mieszkańców czerwonego imperium odchodził z tego świata w makabrycznych okolicznościach. Podczas gdy Lenin stawał się więźniem własnego ciała, jego najbliżsi współpracownicy walczyli o władzę, spychając swojego wodza w polityczny niebyt



Lenin z siostrą Marią i lekarzem dr. Kożewnikowem

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, STEPHEN KOTKIN – STALIN VOLUME MARIA ULJANOWA

Grono wybitnych lekarzy nie mogło uwierzyć, że było aż tak źle. Coś takiego właściwie nie miało prawa się wydarzyć. – Naczynia krwionośne w jego mózgu były tak zwapnione, że gdy podczas sekcji zwłok pukano w nie pęsetami, lekarze mieli wrażenie, jakby uderzali w kamień. Nigdy nie spotkałem się z czymś podobnym. Takiego zwapnienia nie widziałem nawet u osób, które całe życie jadły śmieciowe jedzenie. A dzisiejsza dieta jest przecież najgorsza w historii! – dziwił się w rozmowie ze mną prof. Philip A. Mackowiak, lekarz patolog ze School of Medicine na University of Maryland. Profesor Mackowiak od ponad trzech dekad organizuje coroczne konferencje patologów prześwietlających zgony ludzi, których doskonale znamy z historii – m.in. Aleksandra Wielkiego, Mozarta czy Napoleona. Podczas jednego z takich spotkań specjaliści wzięli na „warsztat" również wodza bolszewików. – Patolog, który prowadził nasze „śledztwo", jest jednym z najlepszych ekspertów na świecie w dziedzinie chorób układu krwionośnego mózgu. W czasie całej swojej praktyki tylko raz widział mózg w tak strasznym stanie jak mózg Lenina. Był to mężczyzna pod osiemdziesiątkę, który na dodatek palił jak smok i miał wysokie ciśnienie krwi.

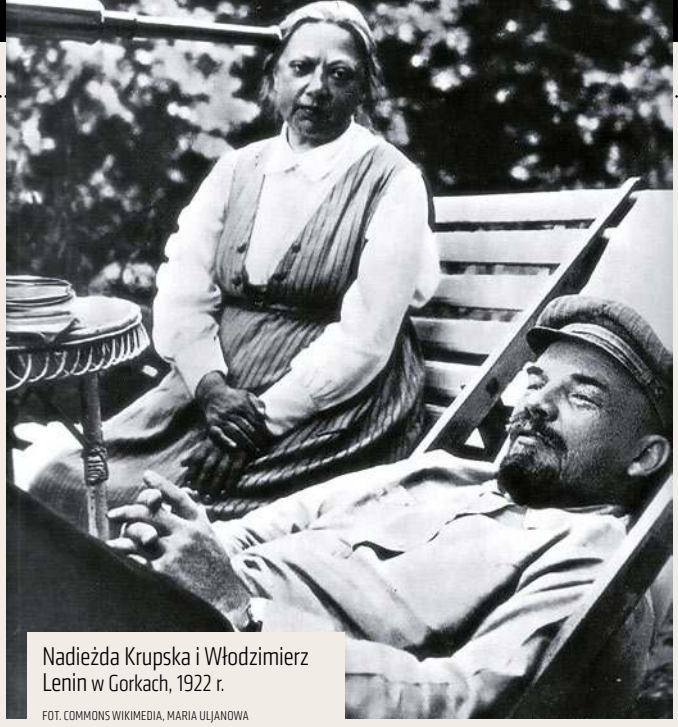
Tymczasem Lenin (zmarł w wieku niespełna 54 lat) w przeciwieństwie do Stalina nie był palaczem i nie nadużywał alkoholu. Mało tego – podobnie jak Hitler nie pozwalał współpracownikom palić w swoim towarzystwie.

– Nie cierpiał też na cukrzycę ani nie miał wysokiego ciśnienia: po sekcji zwłok nie zaobserwowano powiększenia lewej połowy serca, co zwykle widzi się u wysokociśnieniowców. Najbardziej zagadkowe jest to, że nie cierpiał na żadne dolegliwości, które zwykle odpowiadają za choroby naczyniowe mózgu – podkreślał prof. Mackowiak. W takim razie co sprawiło, że jego mózg był w tak strasznym stanie?

Trucizna od Stalina

W kwietniu 1922 r. wódz bolszewików przeszedł operację. Lekarze chcieli

eprasa.pl f4b9c5462d



Nadieżda Krupska i Włodzimierz Lenin w Gorkach, 1922 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MARIA ULJANOWA



Dom w Gorkach, w którym Lenin mieszkał w ostatnich latach życia

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DMEDVEDEV 83

w końcu wyciągnąć z jego ramienia kulę – pozostałość po zamachu na jego życie, który 30 sierpnia 1918 r. przeprowadziła Fanny Kapłan. Wyglądało na to, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, Lenin czuł się coraz lepiej.

Jednak miesiąc później przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych przeżywał katusze. Rano 26 maja przewrócił się i wymiotował. Cała prawa strona jego ciała była niewładna, a mowa mało zrozumiała. Jego siostra Maria błyskawicznie ściągnęła na daczę w Gorkach zaufanego lekarza Władimira Rozanowa. Wkrótce do Gorek zjechały całe zastępy specjalistów.

W ciągu kolejnych dni Lenin przeszedł serię badań. Wykonano nawet test na syfilis, który wyszedł negatywnie. Na szczytach władzy zapanowała panika.

– Od pierwszego udaru stan jego zdrowia był największym sekretem państwowym. W tamtym momencie Lenin uznawany był za absolutnie kluczową postać w ruchu rewolucyjnym i kierownictwo partii obawiało się, że prawda na temat stanu zdrowia ich wodza może podmyć fundamenty ich władzy. Lenin był jak cement, który wszystko trzymał razem – mówi „Historii Do Rzeczy" Victor Sebestyen, autor biografii wodza bolszewików pt. „Lenin. Dyktator". – Kłamstwa partii na temat stanu jego zdrowia były o tyle łatwe, że odkąd pierwszy raz dokonano na niego zamachu w 1918 r., Lenin coraz mniej pokazywał się publicznie. Ludzie więc przyzwyczaili się do takiego stanu rzeczy.

Dość szybko wróciła mu mowa, ale pacjent numer jeden w ZSRS musiał się na nowo uczyć pisać. Widząc swój stan, zaczął rozmyślać o samobójstwie i poprosił nawet Stalina o dostarczenie mu trucizny. Gruzin zwodził go, mówiąc, że w ostateczności pomoże z trucizną, ale później poinformował o tej prośbie czołowych działaczy i zapowiedział, że na pewno tego nie zrobi.

– Stalin nie chciał dostarczyć Leninowi trucizny, ponieważ bał się, że gdyby to wyszło potem na jaw, on sam zostałby zgładzony. Bolszewickie kierownictwo chciało bowiem, żeby Lenin żył jak najdłużej, nawet jeżeli jego stan był tragiczny – Lenin był przecież symbolem komunistycznej władzy – podkreśla Sebestyen.

Testamenty

Jesienią 1922 r. wydawało się, że najgorsze jest już za nim. Wygłosił nawet kilka krótkich przemówień, choć ludzie, którzy go znali, widzieli, że nie jest sobą. Po jednym z nich Lenin przyznał się przed żoną Nadieżdą: „Zapomniałem, co już powiedziałem [...] i co jeszcze miałem do powiedzenia".

W końcu przyszedł grudzień, a wraz z nim cała seria wylewów. Lenin znów przedstawiał sobą żałosny widok. Opiekujący się nim prof. Kramer zanotował, że pacjent nie jest w stanie dotknąć palcem czubka nosa. 22 grudnia Lenin błagał Stalina – w podyktowanym sekretarce liście – by „w geście humanitaryzmu" dostarczyć mu trucizny. I tym razem prośba spotkała się z odmową. Pod koniec miesiąca czerwony triumwirat Stalin-Kamieniew-Zinowjew właściwie ubezwłasnowolnił politycznie Lenina. Triumwirat zabronił przekazywać choremu informacji dotyczących polityki, nie mogli go odwiedzać inni działacze partyjni, a jakby tego było mało, wyznaczono Leninowi zaledwie 10-minutowy dzienny limit na dyktowanie listów.

I to właśnie wtedy, na przełomie lat 1922 i 1923, wódz ZSRS zaczął na poważnie myśleć o kwestii przekazania władzy.

– Już po udarach Lenin wziął się do pisania testamentów. Zostawił ich kilka, przez co jego wola nie była jasna. Ponieważ zmieniał ich treść, dokumenty były ze sobą sprzeczne – mówi autor książki „Lenin. Dyktator". – Pierwszy testament, który podyktował, bo nie był w stanie pisać, mówił o konieczności wprowadzenia w państwie kolektywnego kierownictwa. Potem jednak zmienił zdanie i nie mógł się zdecydować, czy Związkiem Sowieckim ma kierować Stalin czy Trocki. Wiedział, że to są tak silne osobowości, iż po jego śmierci będą ze sobą zaciekle walczyć. Chciał uporządkować sukcesję, ale zmieniając zdanie w tej kwestii, wprowadzał tylko chaos.

W końcu Lenin postanowił „wydziedziczyć" Stalina. To wydarzenie obrosło wieloma legendami. W rzeczywistości chodziło o konflikt osobisty, którego przyczyną była kłótnia Stalina z żoną Lenina. Doszło do niej w styczniu 1923 r.

– Stalin był wobec niej wyjątkowo chamski i chory Lenin wpadł w szał. Napisał kategoryczny list do Stalina; niewiele brakowało, by wyzwał go na

eprasa.pl f4b9c5462d



Izaak Brodski, „U trumny Lenina"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŃSTWOWE MUZEUM HISTORYCZNE W MOSKWIE

pojedynek – mówi „HDR" Victor Sebestyen. – Niedługo po tym napisał tajny załącznik do testamentu, w którym zaznaczył, że Stalin pod żadnym pozorem nie może zostać jego następcą. Więc tu nie chodziło o kwestie polityczne, tylko czysto personalne. Gdyby nie kłótnia z Nadią, Lenin zapewne nie skreśliłby Stalina. Przecież od samego początku doskonale znał jego naturę. Mało tego – Stalin był właściwie politycznym wynalazkiem Lenina. Jego brutalność bardzo długo była wręcz na rękę wodzowi bolszewików.

Jak jednak wiemy z historii, zdanie Lenina w kwestii wyłączenia Stalina z kierownictwa partii nie zostało uszanowane. Dlaczego tak się stało?

– Lenin bardzo długo zwlekał ze stworzeniem systemu sukcesji władzy. A gdy w końcu chciał to zrobić, było już za późno. Był zbyt schorowany i jego pozycja była już zbyt słaba – tłumaczy autor biografii Lenina. – Ten problem dotyczył wielu innych dyktatorów. Wszyscy byli przekonani, że są niezastąpieni i nikt poza nimi nie będzie w stanie tak dobrze kierować państwem.

Dziecinny uśmiech

10 marca 1923 r., mimo zapewniania mu w Gorkach spokojnego środowiska, Lenin ulega kolejnemu wylewowi i traci mowę. „Usiłuje coś powiedzieć, ale pojawiają się tylko niepowiązane ze sobą dźwięki" – relacjonował prof. Kramer.

Ostatnie półtora roku życia Lenina to właściwie tortury. Pan życia i śmierci ludzi sowieckich, człowiek, który niezliczone rzesze skazywał na śmierć lub niewolę, teraz sam, przykuty do łóżka lub wózka inwalidzkiego, był więźniem swojego rozpadającego się ciała.

Jak wylicza w swojej książce Victor Sebestyen, pod koniec życia czerwonego tyrana opiekowało się nim w sumie 26 lekarzy. Część z nich przyjechała z zagranicy z najbardziej renomowanych szpitali. Medycy dostawali za swoje konsultacje przy łożu gasnącego Lenina iście bajońskie sumy. Przykładowo prof. Otfrid Foerster otrzymał 11 tys. funtów (dziś byłaby to równowartość ponad pół miliona funtów), a prof. Oswald Bumke zarobił na leczeniu Lenina 29 tys. dol. (ok. 560 tys. dol. z 2025 r.).

Jednak cały ten zespół specjalistów był tu właściwie bezużyteczny. – Najlepsi, świetnie opłacani lekarze nie byli w stanie wiele dla niego zrobić. W tamtych czasach żadna operacja nie wchodziła w grę, a medykamenty też właściwie nic nie dawały. Lekarze mogli co najwyżej zalecać jak najwięcej spokoju, by pacjent nie żył w stresie – tłumaczy Sebestyen.

Autor „Lenina. Dyktatora" przywołuje w swojej książce wiele mówiącą relację Jurija Annienkowa, znanego rosyjskiego malarza, który w grudniu 1923 r. pojawił się na daczy umierającego tyrana: „Kamieniew zabrał mnie do Gorek, żebym zrobił portret czy też raczej szkic chorego Lenina. Przywitała nas Nadieżda Konstantinowna. Powiedziała, że portret nie wchodzi w grę. I istotnie, półleżący na szezlongu, zawinięty w koc i patrzący obok nas z beznadziejnym, skrzywionym dziecinnym uśmiechem człowieka w drugim niemowlęctwie Lenin nie był modelem do portretu".

Miesiąc później było już po wszystkim. 21 stycznia 1924 r. o godz. 18.50 Lenin w końcu wyzionął ducha. Jego żona wspominała potem o charkocie wydobywającym się z jego gardła, głuchych jękach i dreszczach wstrząsających sparaliżowanym ciałem, ale dużo bardziej sugestywnie opisał to Ferdynand Antoni Ossendowski, autor wydanej sześć lat później powieści biograficznej „Lenin": „Piorun wytryska z oczu promiennej postaci, oślepia, uderza. Pada Lenin i rzęzi, już nic nie widząc i nie słysząc, czuje tylko, że toczy się coraz szybciej i zawrotniej; mrok otacza go i pochłania resztki myśli, echa uczuć… W godzinę potem nad Kremlem obok czerwonej chorągwi powiewała czarna… – zwiastun śmierci. Ognisty krwawy łuk zgasł, a niszcząca bryła nieznanej komety utonęła w otchłani ciemnej bez dna, bez brzegów".

– Tuż przed śmiercią Lenin miał jako tako działającą tylko połowę mózgu. Wraz z innymi naukowcami głowiliśmy się, dlaczego układ krwionośny tego 54-letniego mężczyzny doprowadzony był do takiej ruiny – mówił w rozmowie ze mną amerykański patolog. – Postawiliśmy tezę, że przyczyną była dziedziczna choroba powodująca wysokie stężenie lipidów we krwi. Ojciec Lenina umarł na to samo, dokładnie w tym samym wieku.

Czyli to najpewniej bardzo nietypowa genetyka sprawiła, że naczynia krwionośne w mózgu Lenina były w tak fatalnym stanie. W prześwietleniu tej sprawy bardzo pomogła badaczom decyzja władz ZSRS o utworzeniu tzw. Instytutu Mozga, gdzie zdeponowano mózg bolszewickiego wodza. Jego głównym celem miało być odkrycie tajemnicy geniuszu wodza rewolucji. W tej kwestii nie udało się wprawdzie ustalić niczego przełomowego, natomiast zgromadzony materiał badawczy pozwolił zrozumieć, dlaczego mózg Lenina był tak felerny.

Piramida Lenina

Profesor Richard Pipes, autor „Rosji bolszewików", pisał, że oprócz najbliższej rodziny i lekarzy świadkiem ostatnich chwil Lenina był Nikołaj Bucharin, redaktor naczelny „Prawdy". „Natychmiast po otrzymaniu wiadomości Zinowiew, Stalin, Kamieniew i Kalinin pośpieszyli do Gorek na motorowych saniach; reszta kierownictwa dojechała później pociągiem – pisał prof. Pipes. – Stalin, który prowadził pochód do łóżka zmarłego przywódcy, podniósł jego głowę, przycisnął do serca i ucałował. Nazajutrz Dzierżyński napisał krótkie zawiadomienie o śmierci Lenina, ostrzegając ludność, żeby nie wpadała w »panikę«, bo GPU będzie musiał dokonać masowych aresztowań".

Jego rodzina i współpracownicy wiedzieli, że Lenin chciał być pochowany w Piotrogrodzie, obok matki i siostry. Dlaczego więc skończył po śmierci jako mumia?

eprasa.pl f4b9c5462d



Mumia Lenina, lata 30. XX w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

– Ten krok miał wielu przeciwników, m.in. Trocki uważał to za aberrację, bo z komunistycznego punktu widzenia coś takiego faktycznie wydaje się kompletnym kuriozum. Mumifikacja przywołuje przecież skojarzenia ze starożytnymi władcami państw feudalnych, którzy otoczeni byli kultem – tłumaczy w rozmowie ze mną Victor Sebestyen. – Stalin był głównym zwolennikiem mumifikacji Lenina, to on najbardziej do tego parł. Jednak stała za tym jakaś logika. Jeżeli Lenin był bolszewikom tak potrzebny i tak obawiali się jego śmierci, to trzeba było sprawić, by ten symbol rewolucji nie zniknął zupełnie. Natomiast sam Lenin na pewno nie wyraziłby zgody na mumifikację, na otoczenie jego zwłok parareligijnym kultem. Nadieżda Krupska i brat Lenina starali się to powstrzymać, ale jednak zdanie Stalina przeważyło.

„Potrzebowali ciała Lenina, wystawionego na widok publiczny, aby podtrzymać wśród ludzi wiarę zakorzenioną w prawosławiu, że szczątki świętych nie podlegają rozkładowi […]. Martwy, a więc niemy, ale fizycznie obecny Lenin stałby się namacalnym symbolem wiary, której był prorokiem, i zapewniłby ciągłość między rewolucją październikową a rządami swoich następców – pisał prof. Richard Pipes.

Zanim pod murami Kremla zbudowano dla mumii Lenina kamienne mauzoleum, bolszewicy postawili tam tymczasowy budynek nawiązujący architektonicznie do piramidy schodkowej. Tak opisywał to miejsce Ossendowski w swoim „Leninie”: „Drewniany, jednobarwny, geometrycznie pierwotny, ciemny, prawie czarny. Ściśle określone płaszczyzny, bryły ciężkie, monotonne, bez polotu wyobraźni twórczej. Tak budowali przed tysiącleciami jęczący niewolnicy w Neniwie i Babilonie, tak wznoszono świątynię Salomona i pałace władców Egiptu. Ciężko i groźnie, bo wśród wznoszonych murów siedzibę miały straszliwe bóstwa […]. Żółta, pergaminowa skóra jeszcze bardziej podkreśla mongolskie rysy twarzy; zaciśnięta prawica, nieustępliwa i zawsze do ciosu gotowa nie zmiękła w obliczu śmierci i pozostała jako młot kowala burzyciela. Zdawać się mogło, że grobowiec Tamerlana został przeniesiony z serca Azji tu, do Moskwy, gdzie panowali przez stulecia całe potomkowie Dżengiza – Mongoła, półtatarscy kniaziowie moskiewscy i nareszcie w wieku XX – pół-Mongoł, myślą powracający do niezmierzonych stepów azjatyckich, górskich wąwozów dzikich, z gnieżdżącymi się w nich hordami, znającymi tylko zniszczenie”.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl f4b9c5462d



Marzec 1953 r. / Koniec sowieckiego kata

„Przestało bić serce wodza ludzkości – Józefa Stalina". Tytuł w „Trybunie Ludu" z 6 marca 1953 r.

FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM JÓZEFA STALINA W GORI

Czarne usta czerwonego cara



Jakub Ostromęcki

Stalin leżał obłożony pijawkami i kompresami, a pielęgniarki robiły mu lewatywę z dodatkiem wodorotlenku magnezu. „Ostatnią godzinę lub dwie ten człowiek się po prostu dusił. Agonia była straszna" – pisała jego córka

Niemal wszyscy obecni na daczy płakali, łącznie z szorstkimi partyjnymi kacykami. Ich świat się walił. Odchodził człowiek, który co prawda poniżał ich, groził Workutą i egzekucją, ale dawał się ogrzać w cieniu potęgi, której bał się cały świat. Pozwalał też deptać i poniżać tych, którzy w hierarchii stali niżej. Swietłana Alliłujewa nie płakała: „Ogarnął mnie kamienny spokój i kamienny ból". Nie widziała ojca od kilku miesięcy. Fakt, dawno temu ją przytulał, ale gdy dorosła, wyzywał, stając się opętanym obłędem potworem i prześladowcą własnej rodziny. We wspomnieniach zapisała:

„W pewnym momencie – nie wiem, czy tak było naprawdę czy tylko mi się wydawało – prawdopodobnie już w ostatniej minucie, otworzył nagle oczy i powiódł wzrokiem po wszystkich. To było okropne spojrzenie – ni to bezmyślne, ni to gniewne, pełne trwogi przed śmiercią i przed nieznanymi lekarzami pochylającymi się nad nim. Spojrzenie to prześlizgnęło się po obecnych przez jakiś ułamek sekundy. I nagle – to było niezrozumiałe i straszne, do dziś tego nie pojmuję i nie mogę o tym zapomnieć – nagle podniósł lewą rękę (tę, którą mógł ruszać) i ni to wskazał nią na górę, ni to pogroził nam wszystkim... W następnej chwili jego dusza, zrobiwszy ostatni wysiłek, wyrwała się z ciała".

Był wieczór 5 marca 1953 r. Józef Stalin umarł, zostawiając stworzone przez siebie krwawe, potężne jak nigdy imperium. Odszedł, nie ukończywszy jeszcze jednego, ostatniego, okrutnego dzieła – nowej czystki, podobnej do tej z lat 30.

Odwilży nie będzie

Po zwycięskiej wojnie przeciętny obywatel Sowietów miał pewne nadzieje na poprawę swojego losu. Liczył choćby na to, że niewinny dowcip opowiedziany w zakładowej stołówce nie skończy się łagrem, warzywa z przyzagrodowej działki w kołchozie będzie można sprzedawać na pobliskim targu, a być może władze pozwolą nawet na palenie świeczek w cerkwi.

eprasa.pl f4b9c5462d



70. urodziny Józefa Stalina. Obok niego Walter Ulbricht i Mao Zedong, 1949 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HELSINGIN SANOMAT

Miliony żołnierzy sowieckich zobaczyły wtedy kraje cywilizacji zachodniej zaczynającej się gdzieś za błotami Prypeci. Zajrzały do świata pełnego umywalek, domów z podmurówkami, kredensów, zastaw. Jeszcze mocniej chłostało oczy krasnoarmiejców życie za Wartą, we wrogim kraju, który przecież pokonali. „Krowy u Giermańca mają lepiej niż ludzie u nas" – szeptał niejeden obywatel ZSRS, powracając z frontu lub z robót przymusowych. Według Stalina śmierdziało to z daleka zbrodnią tchórzostwa, kapitulanctwa i kosmopolityzmu. A stamtąd już tylko krok do kontrrewolucji. Narodowi trzeba było znowu przykręcić śrubę, odseparować go od zgubnych zachodnich idei, postraszyć czymś.

Gruzin miał jeszcze jeden powód do niepokoju. Członkowie biura politycznego pamiętali chwile jego załamania i słabości z początku wojny z Niemcami. Byli w jego otoczeniu zbyt długo, a ich wpływy w podległych resortach zbytnio się rozrosły. Trzeba było to ukrócić. Bardzo szybko od dowodzenia armią odsunięty został więc pogromca Wehrmachtu, powszechnie wielbiony Gieorgij Żukow, ale w starej gwardii najbardziej chytry i niebezpieczny był dawny szef bezpieki – Ławrientij Beria.

W 1946 r. NKWD został podzielony na Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego. Beria nie otrzymał żadnej z tek, ale na osłodę został członkiem biura politycznego. Jego pozycja w resorcie była jednak wciąż silna, choć nieformalna. Stalin potrzebował Berii do terroryzowania społeczeństwa, ale jednocześnie obawiał się go. Aby zakończyć ten kłopotliwy związek, potrzebował solidnych dowodów, które pogrążą dawnego szefa NKWD. Do tego celu posłużyli mu sowieccy Żydzi. Zamierzał oskarżyć ich o nielojalność i zbrodnicze knowania, a winę za zbyt późne wykrycie sprawców spisku chciał zrzucić na politbiuro i bezpiekę.

W 1948 r. pierwszym ambasadorem Izraela w ZSRS została Golda Meir. Sowieccy Żydzi zareagowali na jej wizytę bardzo żywiołowo, powszechnie okazując radość z powstania Państwa Izrael. W pobliżu jednej z synagog ambasador ucięła sobie rozmowę po hebrajsku z żoną samego Mołotowa – Poliną Żemczużyną. Takiego potwornego objawu spontanicznego, samodzielnego działania i nielojalności Stalin nie mógł tolerować, zwłaszcza że syjonizm był ideą bardzo popularną we wrogiej, imperialistycznej Ameryce. W listopadzie rozpoczęły się zatem aresztowania i brutalne śledztwa wobec urzędników, działaczy i naukowców pochodzenia żydowskiego.

Po Żydach literatach przyszła kolej na Żydów lekarzy. 13 stycznia 1953 r. Stalin za pośrednictwem mediów ogłosił, że zawiązała się „terrorystyczna grupa lekarzy, którzy przy pomocy szkodliwego leczenia postawili sobie za cel skrócenie życia aktywnym działaczom Związku Sowieckiego". To oni mieli przed kilkoma laty otruć towarzysza Ždanowa. Wykonywali zadania wywiadów amerykańskiego i brytyjskiego, a większość była zwerbowana przez żydowsko-amerykańską organizację JOINT. Jednym z aresztowanych był Władimir Winogradow, osobisty lekarz Stalina, choć on akurat Żydem nie był. Gensek kazał „trzymać go w łańcuchach". Po pierwszej fali aresztowań tymi słowami zwrócił się do szefa bezpieki Siemiona Ignatjewa: „Jeśli nie uzyskacie przyznania się lekarzy, to wasza głowa spadnie". A nad drżącymi z przerażenia członkami politbiura grzmiał: „Jesteście ślepi jak kocięta. Co się stanie, kiedy mnie zabraknie? Kraj zginie, bo nie umiecie rozpoznawać wrogów".

Propaganda i publiczne szczucie na lekarzy zebrały straszne żniwo wśród ludu. „Wolę, by moje dziecko umarło na zapalenie płuc niż od trucizny" – powiedziała ogarnięta paranoją matka do jednego z aresztowanych później lekarzy. Inna lekarka musiała na oczach pacjentów połykać przepisane im leki, aby wykazać, że nie jest trucicielką. Nie wiemy do dziś, na ile realne były masowe deportacje i mordy na Żydach. „Można jedynie powiedzieć, że antysemicka kampania osiągnęła takie natężenie w prasie i nastrojach społecznych, że mogła być ukierunkowana na jakieś monstrualne zwieńczenie. Jednak tylko Stalin wiedział, jaka była prawda, a jego śmierć sprawiła, że odpowiedź stała się nieosiągalna dla historyków" – konkludował historyk Joshua Rubenstein.

Wspomniany styczniowy komunikat Stalina mógł być zapowiedzią bardzo brutalnej rozprawy, kolejnej czystki: „Niektóre nasze sowieckie organy i ich kierownicy stracili czujność, zarazili się biernością. Organy bezpieczeństwa nie wykryły w porę dywersyjnej organizacji terrorystycznej wśród lekarzy". Kilka miesięcy wcześniej, na XIX zjeździe WKP(B) w 1952 r., Stalin zbeształ Mołotowa, Mikojana i Bułganina za kapitulanctwo i tchórzostwo. Ta trójka widziała już siebie w piwnicach Łubianki. Następny w kolejce mógł być Beria. Z pomocą przyszła im jednak biologia.

Zbawczy udar

Stalin cierpiał na miażdżycę. Pierwsze jej oznaki – trudności w staniu i chodzeniu – wystąpiły już w 1936 r. W latach 1945 i 1947 doszło u niego do niewielkich wylewów. Kilka razy mdlał w obecności podwładnych ze swojego osobistego sekretariatu. Z pewnością przyczyniły się do tego nałogowe palenie fajki i siedzący tryb życia. Do problemów z krążeniem dołączyła częsta angina. W latach 1945–1953 Stalin przemawiał do tłumów tylko dwa razy.

Biada jednak temu, kto ośmieliłby się wtedy zasugerować mu przejście na emeryturę. Raz tylko, na wakacjach nieopodal Suchumi, Stalin miał okazać słabość. Chruszczow wspominał: „Któregoś dnia spacerowaliśmy po ogrodzie, kiedy Stalin wyszedł na werandę. Wydawał się nas nie dostrzegać. »Jestem skończony« – powiedział jakby do samego siebie. – »Nie wierzę nikomu, nawet samemu sobie«". Coraz więcej czasu spędzał na kuracjach nad Morzem Czarnym. Aby obniżyć

eprasa.pl f4b9c5462d



Bawialnia w domu Stalina w Kuncewie

FOT. MEMORIAL.KRSK.RU

ciśnienie, pił wodę z jodyną, co jednak tylko podrażniało układ pokarmowy.

Lud był przekonany, że „Geniusz Ludzkości" zachorował, pracując na swoim posterunku w kremlowskim mieszkaniu. W rzeczywistości stało ono przez większość roku puste i tylko dla niepoznaki włączano tam światło. Stalin przebywał przeważnie w swojej daczy w Kuncewie. Był to właściwie dwupiętrowy pałacyk z salą bankietową, małym basenem, sporą kuchnią i licznymi pokojami mieszkalnymi oraz z prywatną łazienką. Rozkład wejść do pokojów, gdzie najczęściej przebywał Stalin, był celowo zagmatwany.

28 lutego 1953 r. odbyło się jedno ze słynnych suto zakrapianych przyjęć dla partyjnej wierchuszki. Nie były to przyjemne spotkania, lecz popijawy z herszetem mafii, który lubił straszyć i drwić ze swoich podwładnych, każąc tym bardziej nieruchawym tańczyć kozaka. Ze Stalina drwić oczywiście nie można było. Na odchodne gospodarz dźgnął jeszcze Chruszczowa palcem w gruby brzuch i wszyscy rozjechali się w dobrych humorach do swoich moskiewskich mieszkań.

Stalin zgodnie ze swoim zwyczajem położył się spać nad ranem. Kalendarz pokazywał już niedzielę 1 marca. Wódz ZSRS planował wstać w okolicach południa. Minęła godz. 12, a z pokojów Stalina nie dobiegał żaden odgłos. Późnym wieczorem ochrona była już mocno zaniepokojona. Wołała swojego przywódcę, ale nie było odpowiedzi. Oficerowie bali się wejść nieproszeni, wysłali zatem przodem leciwą gospodynię. To ona jako pierwsza zobaczyła Stalina leżącego w piżamie na podłodze. Był nieprzytomny i musiał znajdować się w tym stanie dość długo, bo leżał w kałuży moczu. Prawą stronę ciała miał całkowicie sparaliżowaną.

Nad wodzem

Lekarzy jednak nie wezwano, ponieważ od kilku miesięcy Stalin leczył się sam. Ochrona zadzwoniła zatem do Ignatjewa. Szef bezpieki nie był członkiem politbiura, w związku z czym powiadomił Berię. Wraz z tym ostatnim na daczy pojawili się Malenkow, Bułganin i Chruszczow. Wszyscy byli przerażeni. Malenkow podobno ściągnął nawet buty, aby nie hałasować. Była już godz. 3 2 marca. Kremlowska czołówka kilka minut stała nad swoim wodzem.

W końcu uradzono, że skoro Stalin chrapie, to być może po prostu twardo śpi, więc lepiej go nie budzić. Sekretarze rozjechali się do domów, ale ponieważ kilka godzin później Stalin wciąż leżał nieprzytomny, wszyscy wrócili do Kuncewa, tym razem już z lekarzami. Nie były to jednak pierwsze nazwiska sowieckiej medycyny – najbardziej doświadczeni lekarze siedzieli wtedy w więzieniach.

Medycy zgromadzeni wokół Stalina trzęśli się ze strachu. Jeśli postawią złą diagnozę, to mogą skończyć w łagrze. Przystąpili zatem do badania. Unieśli powieki – oczy poruszały się chaotycznie. Oddech nierówny. Zdiagnozowali wylew krwi do mózgu i zalecili środki, które niewiele wprawdzie mogły pomóc, ale coś przecież musieli zrobić, aby uniknąć oskarżeń o bierność. Stalin leżał zatem obłożony pijawkami i kompresami, a pielęgniarki robiły mu lewatywę z dodatkiem wodorotlenku magnezu. Co jakiś czas wykonywano kardiogram. Ciśnienie i puls były tragiczne. Tak minęły 3 i 4 marca.

5 marca rano Stalin zwymiotował krwią, a jego wargi i skóra zaczęły sinieć. „Twarz ściemniała i zmieniła się, rysy twarzy stały się nie do poznania, usta sczerniały. Ostatnią godzinę lub dwie ten człowiek się po prostu dusił. Agonia była straszna" – pisała jego córka. To wtedy właśnie Stalin otworzył na chwilę oczy i oszalałym wzrokiem powiódł po zebranych. Chruszczow z właściwą sobie chłopską prostotą stwierdził, że gensek wskazał wtedy na wiszący na ścianie obrazek z koziołkiem, pokazując, jaki jest słaby. Stalin zmarł o godz. 21.50.

Okoliczności śmierci Stalina do dziś wywołują pytania. Czy aby na pewno umarł on z przyczyn naturalnych czy może jednak ktoś mu „pomógł"? Czołowym historykiem popierającym tę drugą tezę był Abdurachman Awtorchanow. Twierdził on, że to Beria wykończył Stalina, wykorzystując po wojnie obsesję tyrana na punkcie spisków i sam fabrykując dowody przeciwko ludziom z jego otoczenia. To w wyniku intryg Berii miało dojść do upadku Żdanowa, u którego zawał serca wcale nie musiał być spowodowany chorobą, a także do odsunięcia Mikojana i Mołotowa, zniszczenia ślepo wiernych Stalinowi szefów jego sekretariatu i ochrony


Пролетарии всех стран, соединяйтесь!
Коммунистическая партия Советского Союза
ПРАВДА
Орган Центрального Комитета Коммунистической партии Советского Союза
Понедельник, 9 марта 1953 года
ЦЕНА 20 КОП.
Сегодня советский народ, все прогрессивное человечество провожают в последний путь своего великого вождя и учителя
Иосифа Виссарионовича СТАЛИНА.

Sowieccy dygnitarze przy trumnie Stalina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl f4b9c5462d



Trumna Józefa Stalina przed wprowadzeniem do mauzoleum Lenina i Stalina FOT. ARCHIWUM „OGONIOK"

Poskriobyszewa i Własika oraz, co najważniejsze, usunięcia zaufanych lekarzy, na czele w Winogradowem. Beria miał tylko czekać, aż starzejącego się Stalina dopadnie choroba, z której, pozbawiony zaufanych osób, już się nie wykaraska. O tym, że Stalina zamordowano, przekonany był jego syn z drugiego małżeństwa, brat Swietłany – Wasilij. Jednak mało kto brał na poważnie jego opinię, gdyż był alkoholikiem.

Zabójczy tłum

Skoro w Sowietach zadekretowano, że Boga nie ma, to i pogrzeb Stalina musiał mieć charakter świecki. Największa, godna dyktatora sala w pobliżu Kremla znajdowała się w Domu Związków, gdzie trzy dekady wcześniej leżał Lenin. Tam też przez trzy dni po śmierci wodza wystawiano jego zabalsamowane ciało, aby każdy mógł pożegnać się z „Geniuszem Ludzkości".

Działacze partyjni, wojskowi i urzędnicy na zmianę pełnili wartę przy otwartej trumnie. Czarne krepy, stosy kwiatów, grająca żałobne tony orkiestra kontrastowały z tym, co działo się wówczas w Moskwie. Setki ciężarówek wojskowych oddzielały centrum od reszty dzielnic, by do Domu Związków dostali się jedynie piesi żałobnicy. Syn Chruszczowa, wówczas student, opisywał, że przez cały dzień i noc niesiony był przez falujący tłum, ale do Domu Związków w końcu nie dotarł.

Straszny opis owego tłumu przedstawił Jewgienij Jewtuszenko. „Tłum zmienił się w gigantyczny wir. Zdałem sobie sprawę, że jestem niesiony prosto na sygnalizator ruchu. Jego słup wciąż się zbliżał. Zobaczyłem, że jakaś młoda dziewczyna była już przyparta do tego słupa. Twarz miała wykrzywioną, krzyczała […]. Ruch tłumu rzucił mnie na dziewczynę, nie słyszałem, ale poczułem, jak pod naciskiem mojego ciała trzeszczą jej kruche kości […]. Tłum porwał mnie dalej. Kiedy spojrzałem znowu, dziewczyny już nie było widać. Tłum musiał ją wessać […]. W tym samym momencie poczułem, że depczę po czymś miękkim. To było ludzkie ciało. Uniosłem stopy, a tłum poniósł mnie dalej. Przez długi czas bałem się opuścić stopy. A tłum był coraz gęstszy. Uratował mnie mój wzrost. Ludzie niscy byli żywcem miażdżeni, padali i znikali". Chruszczow twierdził, że zadeptano wówczas 109 osób.

Do Sali Kolumnowej Domu Związków ściągnięto najlepszych muzyków z całego kraju. Traf chciał, że część z nich grała wtedy na kameralnym pogrzebie Siergieja Prokofjewa, który miał to nieszczęście, że umarł w tym samym dniu co Stalin. Trumna światowej sławy kompozytora wystawiona w Domu Kompozytorów była udekorowana samotnym kwiatkiem w doniczce, ściągniętym z parapetu – niemal wszystkie kwiaty i wiązanki w Moskwie zagarnął bowiem martwy Stalin. Muzycy, pożegnawszy mistrza, musieli teraz zagrać dla Stalina. Przeciskali się kilka godzin przez tłum w asyście milicji rozdającej kuksańce na lewo i prawo. W Domu Związków orkiestra spędziła trzy dni, grając od świtu do wieczora i śpiąc na podłodze lub na krzesłach.



Grób Stalina pod murem Kremla FOT. ADOBE STOCK

Paryż w żałobie

Ciekawie na wieści o ciężkim stanie Stalina zareagowali więźniowie polityczni łagrów. Lew Razgon, pisarz, który siedział z wieloma „lekarzami mordercami", wspominał: „Pobiegliśmy do obozowej lecznicy, a lekarze rozmawiali ze sobą i powiedzieli nam, że możemy mieć nadzieję […]. Medycy naradzali się jakieś dwadzieścia minut, a potem naczelny lekarz wyszedł. To był profesor, człowiek bardzo wykształcony. Uśmiechał się szeroko i powiedział: »Chłopaki, ten skurwysyn jest skończony. Nie ma dla niego nadziei«. Zaczęliśmy się całować".

Była to właściwa reakcja, w przeciwieństwie do tej, którą urządzili działacze związkowi z kilku stolic zachodnioeuropejskich. W Rzymie na polecenie liderów komunistycznych związków zawodowych komunikacja miejska stanęła na 20 minut, a część robotników na chwilę przerwała pracę. Zabawny musiał być widok włoskich komunistów, którzy żegnając walczącego z religią Stalina, wykonywali znak krzyża. We Francji ogłoszono z kolei ogólnopaństwową żałobę narodową, choć faktem jest, że duża część urzędów nie zastosowała się do decyzji premiera. Dziś w Paryżu nie ma wprawdzie stacji metra „Stalin" czy „Geniusz Ludzkości", ale jednak sowiecki tyran może mieć pewną satysfakcję, patrząc z zaświatów na mapę stolicy Francji. Jedna z tamtejszych stacji metra do dziś nosi nazwę „Stalingrad".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Ilja Riepin, „Iwan Groźny i jego syn Iwan 15 listopada 1581 r."

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

Zbrodnie w pałacach / Jak ginęli imperatorowie

Carski tron we krwi



Sławomir Koper

Gdy austriacki kanclerz Klemens von Metternich wspominał śmierć cara Pawła I, zawsze dodawał z przekąsem, że Rosjanie mogliby wreszcie znaleźć inną przyczynę zgonów swoich władców niż apopleksja

Najwyższe stanowisko w państwie carów było faktycznie niebezpiecznym zajęciem, a tradycja mordowania władców sięgała jeszcze czasów Rusi Kijowskiej. Jednego ze swoich braci krwawo usunął Włodzimierz I Wielki, a w następnym pokoleniu było jeszcze gorzej. Syn Włodzimierza i zięć Bolesława Chrobrego, Światopełk zwany Przeklętym, zamordował swoich braci Borysa i Gleba, zanim sam padł ofiarą Jarosława Mądrego (w 1019 r.). Dalsze podziały państwa Rurykowiczów skutkowały kolejnymi zbrodniami, a książęta ginęli nie tylko od miecza, lecz także od trucizn. Niewiele w tej kwestii zmienił podbój mongolski, gdyż chanowie Złotej Ordy bez żadnych skrupułów usuwali niewygodnych wasali. Prawdopodobnie losu tego doświadczył nawet słynny Aleksander Newski, który zapadł na zdrowiu i zmarł w drodze powrotnej z dworu chana.

Zbrodnie Rurykowiczów miały przełożenie na wzrost liczby świętych Kościoła prawosławnego. Kanonizowano nie tylko ofiary, m.in. Borysa, Gleba czy Aleksandra Newskiego, lecz także zbrodniarzy (Włodzimierza Wielkiego). Oczywiście zależało to od aktualnej sytuacji politycznej, ale święci raz wyniesieni na ołtarze już tam pozostawali. Nic zatem dziwnego, że w powieści Karola Bunscha „Imiennik" woje Bolesława Śmiałego po zdobyciu Kijowa śpiewali, że „będzie pokój panował na Rusi / Jeno książąt wyrzynać się musi".

Trucicielstwo rozwinęło się do tego stopnia, że bardziej przezorni członkowie elit władzy w ogóle nie pijali wina, gdyż trunek ten maskował smak zabójczych substancji. Obyczaj ten przeniósł się na dwór litewski, po podporządkowaniu sobie przez władców z Wilna ziem ruskich. Z tego powodu Władysław Jagiełło przez całe życie był całkowitym abstynentem i ku zdziwieniu polskiego otoczenia pijał wyłącznie wodę. Dzięki temu dożył późnej starości, podczas gdy dwaj jego bracia zmarli otruci.

Cios laską

Z linii dynastii pochodzącej od Aleksandra Newskiego wywodzili się władcy Moskwy, którzy pod koniec XV w. zaczęli używać tytułu carskiego. Podbijali kolejne terytoria i niebawem wyrośli na najgroźniejszego konkurenta Litwy. Pierwszym księciem oficjalnie koronowanym na „cara wszystkiej Rusi" był Iwan IV Groźny – wyjątkowej klasy patologiczny zbrodniarz. Zresztą wygaśnięcie dynastii, co niebawem nastąpiło, było pośrednio spowodowane przez niego samego – osobiście zabił swojego syna i imiennika. Groźny w czasie kłótni uderzył go okutą laską (czy też berłem) i następca tronu zmarł po kilku dniach. Ród wygasł na bracie ofiary, Fiodorze.

eprasa.pl f4b9c5462d



Nikołaj Ge, „Piotr I Wielki przesłuchuje swojego syna Aleksego”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GALERIA TRIETIAKOWSKA

Jednak Borys Godunow, który zdobył tron po wymarciu Rurykowiczów, sam zmarł prawdopodobnie otruty (w 1605 r.). Zapoczątkowało to okres kryzysu w państwie moskiewskim, który przeszedł do historii jako czas wielkiej smuty.

Nowa dynastia – Romanowowie – przejęli mordercze zwyczaje poprzedników. Piotr I Wielki, twórca imperialnej potęgi państwa, polecił osobiście zamordować swojego pierworodnego syna, Aleksego. Następcę tronu oskarżono o zdradę, po czym uwięziono go i poddano torturom. Został skazany na karę śmierci, ale zmarł (w 1718 r.) przed wykonaniem wyroku. Nigdy nie ustalono czy przyczyną zgonu były tortury, uduszenie czy też otrucie.

Zabójstwo Aleksego wywołało ostry kryzys dynastyczny. Ostatnim Romanowem w linii męskiej był syn zamordowanego. Po jego śmierci władzę w Rosji przejęła Anna Iwanowna, która była bratanicą twórcy potęgi państwa, a władzę w jej imieniu sprawował jej faworyt, Ernst Biron.

Gdy po 10 latach panowania caryca zmarła (podobno zgon przyspieszyła choroba alkoholowa), carem ogłoszono jej siostrzeńca, Iwana VI z rodu Welfów z Brunszwiku. Nowy władca był niemowlęciem i szybko został obalony przez ambitną córkę Piotra Wielkiego – Elżbietę. Dziecko uwięziono w twierdzy w Szlisselburgu, całkowicie izolując od świata zewnętrznego. Miało to zapewnić spokojne panowanie Elżbiecie, która nie zapominała, że Iwan był oficjalnie ogłoszony carem i po ukończeniu 17 lat powinien objąć osobiste rządy. Elżbieta zmarła jednak w grudniu 1761 r., wyznaczając wcześniej na następcę Piotra, syna swojej siostry Anny.

Na otarcie łez

Piotr III był kolejnym niemieckim książątkiem, które w efekcie zawirowań dynastycznych zasiadło na rosyjskim tronie. Był synem księcia Holsztynu, ale od lat był przygotowywany do objęcia władzy nad Newą. Elżbieta nigdy nie zamierzała bowiem uwolnić Iwana VI przetrzymywanego w Szlisselburgu, tym bardziej że chłopak z powodu izolacji popadł w chorobę psychiczną.

Książę Holsztynu był osobnikiem, delikatnie mówiąc, mocno niezrównoważonym psychicznie. Wyjątkowo brzydki, przejawiał upodobanie głównie do spraw wojskowych i był zajadłym wielbicielem króla Prus, Fryderyka II. Po wstąpieniu na tron złagodził reżim więzienny nieszczęsnego Iwana VI, ale nie zamierzał go uwalniać. Nie spodziewał się, że jego najbardziej zajadłym wrogiem okaże się własna żona – Zofia Fryderyka Augusta. Ta Niemka do niedawna była osobą nic nieznaczącą (jej ojcem był zaledwie generał w służbie pruskiej). I zapewne dlatego została wybrana na małżonkę Piotra.

Zofia przeszła na prawosławie i przyjęła imię Katarzyny. Jej małżeństwo z Piotrem było wyjątkowo nieudane – następca tronu wyżywał się w zajęciach typowo wojskowych, a ponadto znalazł sobie kochankę w osobie Elżbiety Woroncowej. Twierdził nawet, że zamierza się rozwieść z Katarzyną i poślubić Elżbietę. Małżonka nie pozostawała dłużna. Jednym z jej kochanków był przyszły król Polski, Stanisław Poniatowski, będący wówczas w służbie dyplomacji angielskiej. Związek ten początkowo wyglądał na obustronne zauroczenie. Doszło nawet do tego, że gdy Poniatowski został odesłany do kraju, Katarzyna wymogła na polskim dworze jego ponowny przyjazd. Owocem kilkuletniego romansu stała się córka, Anna Piotrowna. Wielki książę Piotr dziwił się ponoć, mówiąc, że „nie wie, skąd żona bierze te ciąże”…

Ludzie Piotra przyłapali kiedyś Poniatowskiego wychodzącego z sypialni Katarzyny i następca tronu odbył z nim poważną rozmowę. Od tej pory często jadali kolacje we czworo (z Elżbietą Woroncową i Katarzyną). Po posiłku wielki książę odchodził ze swoją partnerką, życząc żonie dobrej zabawy z Poniatowskim. Irytowało to Katarzynę; wielka księżna mogła wymykać się do kochanka w przebraniu, ale nie znosiła zrównywania z Woroncową. W efekcie romans z Poniatowskim uległ zakończeniu, a na otarcie łez Katarzyna kilka lat później uczyniła go królem Polski.

Niewiele jednak brakowało, by z powodu romansu Poniatowskiego z Katarzyną losy Europy i świata potoczyły się zupełnie inaczej. Pewnej nocy wybrali się na przejażdżkę saniami. Stanisław powoził zbyt brawurowo, co zakończyło się wypadkiem. Sanie zawadziły o płot, wielka księżna wypadła z pojazdu i „rozumem w węgieł domu uderzywszy, jak nieżywa w śniegu leżała”.

Ostatni z dynastii

Piotr III niedługo cieszył się panowaniem. Jako wielbiciel Prus dokonał całkowitego przewrotu w polityce rosyjskiej i wycofał się z wojny siedmioletniej, ocalając w ten sposób Fryderyka II. Król Prus ponosił bowiem w wojnie z koalicją rosyjsko-szwedzko-austriacko-francuską same klęski i rozważał nawet samobójstwo (wojska carskie opanowały już Królewiec i Berlin). Nagłe wycofanie się Rosji z wojny przeszło do historii jako cud domu brandenburskiego.

Decyzja cara wywołała niezadowolenie rosyjskich elit, a dalsze posunięcia władcy jeszcze tę niechęć pogłębiały. Piotr wyśmiewał rosyjską kulturę i obyczaje, zrównał inne wyznania z prawosławiem i planował sekularyzację majątków cerkiewnych. Pod koniec czerwca 1762 r. Katarzyna stanęła na czele spisku. Piotr został obalony i uwięziony w pałacu w Ropszy w pobliżu Petersburga.

Podobno usiłowano go usunąć, podając mu niewielkie dawki trucizny w alkoholu, ale były car nie zamierzał umierać. W tej sytuacji postanowiono przyspieszyć bieg wydarzeń i Piotr zginął uduszony. Dokonać tego miał książę

eprasa.pl f4b9c5462d



Zamordowany Iwan VI. Obraz Iwana Tworożnikowa FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Fiodor Bariatyński za pomocą obrusu zarzuconego na szyję monarchy.

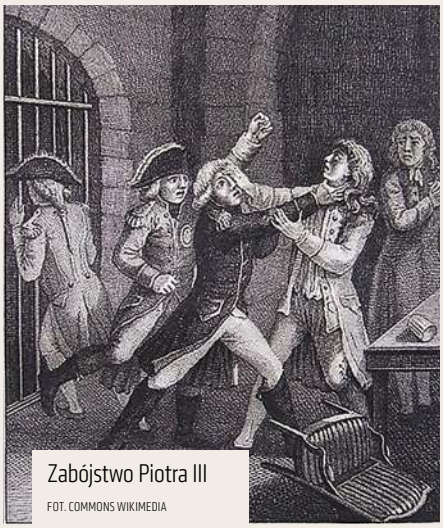
Dwa lata później z życiem pożegnał się Iwan VI, wciąż więziony w Szlisselburgu. Katarzyna doskonale wiedziała, że stanowi poważne zagrożenie, i poleciła zabić cara, gdyby doszło do próby jego uwolnienia. Gdy w końcu tak się stało, strażnicy zabili więźnia. Nieszczęsny car niemal całe swoje 24-letnie życie spędził w więzieniu i na nim dynastia Romanowów de facto wygasła. Wprawdzie na świecie był już syn Katarzyny, Paweł, ale zapewne jego biologicznym ojcem był ówczesny kochanek Katarzyny, Siergiej Sałtykow.

Katarzyna panowała samodzielnie przez ponad 30 lat, znacząco wzmacniając potęgę Rosji. Przy okazji był to też najbardziej fatalny czas w dziejach Rzeczypospolitej, gdyż caryca ostatecznie zrezygnowała z utrzymywania protektoratu nad państwem polsko-litewskim i zainicjowała rozbiory. Pozbawiła w ten sposób korony dawnego kochanka, Stanisława Augusta. Śmierć upomniała się o nią w listopadzie 1796 r. Imperatorowa zasłabła w toalecie i po przeniesieniu do sypialni konała jeszcze przez kilkanaście godzin. Przyczyną śmierci był wylew krwi do mózgu połączony z pęknięciem woreczka żółciowego. Rzężenie konającej carycy było tak donośne, że słychać je było na korytarzach pałacu. Prawdopodobnie planowała przekazać władzę Aleksandrowi, swojemu faworyzowanemu wnukowi, pomijając przy tym nielubianego syna, Pawła. Aleksander miał jednak dopiero 19 lat, a caryca nie zdążyła wprowadzić go w arkana rządzenia państwem.

Szarfa na szyi

W tej sytuacji władzę objął Paweł I, który dokonał zemsty na matce. Polecił wydobyć z grobu zwłoki Piotra III i ułożyć je obok ciała Katarzyny, zmuszając wszystkich do złożenia hołdu carskiej parze. Wprawdzie kontynuował politykę Katarzyny na zachodzie Europy i przystąpił do koalicji antyfrancuskiej, ale gdy sojusznicy go opuścili, wycofał Rosję z wojny. Nawiązał wówczas kontakty z Napoleonem Bonaparte i planował wraz z Francuzami atak na posiadłości brytyjskie.

Paweł I miał zdecydowanie bardziej przychylny stosunek do Polaków i polecił zwolnić z więzienia Tadeusza Kościuszkę oraz kilkanaście tysięcy polskich jeńców.



Zabójstwo Piotra III FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Zabójstwo Pawła I FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Okazywał też sympatię zdetronizowanemu Stanisławowi Augustowi.

Był jednak człowiekiem niezrównoważonym psychicznie i wprowadził rządy terroru. Rozbudował w tym celu aparat policyjny, a inwigilacja elit stała się powszechna.

W Rosji narastało niezadowolenie, które przekształciło się w spisek (doskonale wiedział o nim Aleksander). W marcu 1801 r. spiskowcy byli gotowi do działania i nocą wdarli się do zamku Michajłowskiego, gdzie przebywał car. Paweł, usłyszawszy podejrzane głosy na korytarzu, schował się za parawanem, ale szybko go tam znaleziono. Gdy odmówił podpisania aktu abdykacji na rzecz Aleksandra, sprawy wymknęły się spod kontroli. Jeden ze spiskowców, Płaton Zubow (dawny faworyt Katarzyny II), uderzył go w twarz złotą tabakierą. Car upadł nieprzytomny, a wówczas rebelianci zaczęli go bić i kopać. Ostatecznie uduszono go, zaciskając mu na szyi szarfę oficerską.

Następcą Aleksandra został jego młodszy brat, Mikołaj I. Nazywano go żandarmem Europy, gdyż faktycznie pilnował zasad Świętego Przymierza. Gdy wstępował na tron, stwierdził, że skoro wcześniej dowodził dywizją wojska, to będzie też potrafił zarządzać państwem. Zmarł po przegranej wojnie krymskiej; niewykluczone, że właśnie ta klęska wpędziła go w depresję, która skończyła się najprawdopodobniej samobójstwem.

Tron po nim odziedziczył Aleksander II, który został śmiertelnie raniony w zamachu bombowym dokonanym przez Polaka, Ignacego Hryniewieckiego. Był to siódmy zamach na życie tego władcy.

Listę zabójstw carów kończy najbardziej spektakularny przypadek – mord dokonany przez bolszewików na całej rodzinie Mikołaja II. Do tej głośnej zbrodni, kilkukrotnie opisywanej już na łamach naszego miesięcznika, doszło w lipcu 1918 r. Kilkanaście lat temu historycy zakończyli śledztwo mające ustalić, czy Lenin zlecił tę zbrodnię. Nie znaleziono wprawdzie żadnego dokumentu, który potwierdzałby, że przywódca bolszewików wydał takie polecenie, ale nie ulega wątpliwości, że po fakcie Lenin pozytywnie oceniał mord.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

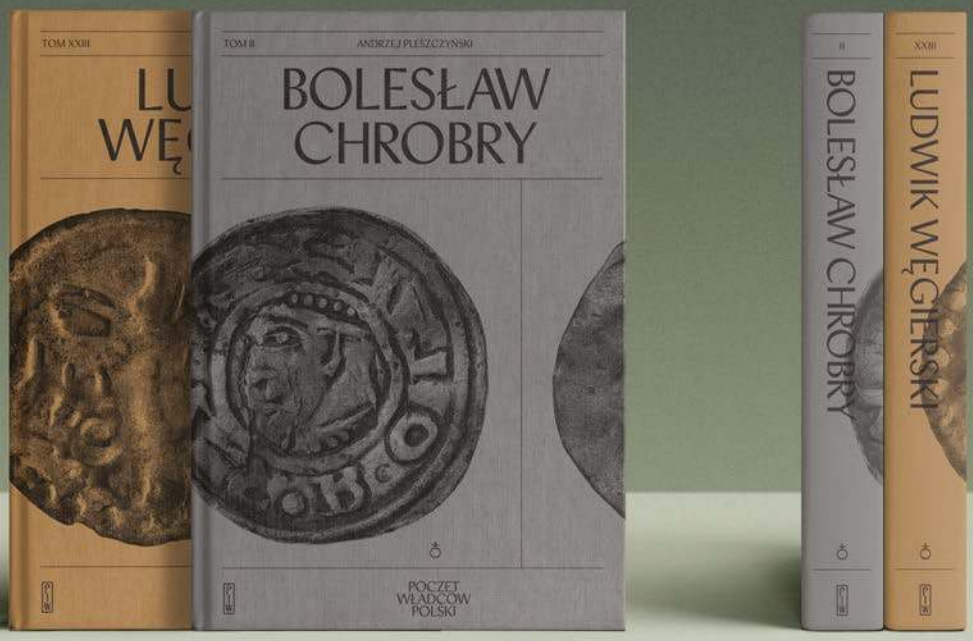
eprasa.pl f4b9c5462d

PAŃSTWOWY
INSTYTUT WYDAWNICZY

PRZEDSTAWIA

POCZET WŁADCÓW POLSKI

KOLEKCJA BIOGRAFII MONARCHÓW W 42 TOMACH



POCZET WŁADCÓW POLSKI INAUGURUJĄ BIOGRAFIE
BOLESŁAWA CHROBREGO I LUDWIKA WĘGIERSKIEGO

PIW

PIW.PL

eprasa.pl f4b9c5462d



Janina i Henryk Melhbergowie w latach 50. XX w.

FOT. U.S. HOLOCAUST MEMORIAL MUSEUM

Wywiad / Z Elizabeth B. White, współautorką książki „Fałszywa hrabina”



rozmawia Piotr Włoczyk

„Hrabina” kontra SS

PIOTR WŁOCZYK: Ile osób uratowała „hrabina” Janina Suchodolska?

ELIZABETH B. WHITE: Nie jesteśmy w stanie oszacować pełnej liczby uratowanych, natomiast wiemy z dokumentów z czasów wojny, że wynegocjowała ona uwolnienie z niemieckiej niewoli ponad 9,7 tys. Polaków. Setki, jeżeli nie tysiące ludzi przetrwały wojnę dzięki jej pomocy, więc liczba uratowanych przekracza zapewne 10 tys. osób.

Ta liczba musi robić wrażenie, a przecież to bardzo mało znana historia, i to nawet w Polsce...

Tak. Szczególnie jeżeli pomyślimy, jak słynny jest Oskar Schindler, który w czasie wojny uratował 1,2 tys. osób. To był Niemiec, który ratował Żydów, a tu mówimy o Żydówce, która ratowała nie-Żydów. Osiągnęła to wszystko, negocjując twarzą w twarz z SS i innymi nazistowskimi urzędnikami. A przecież niektórzy z nich byli wprost zaangażowani w Zagładę...

Żydówka ratująca nie-Żydów nie brzmi jak najbardziej standardowa historia czasów wojny, zważywszy na realia niemieckiej okupacji... Ale przecież Janina (Pepi Spinner) Mehlberg, bo tak brzmiało jej prawdziwe nazwisko, starała się pomóc również Żydom.

Zgadza się. Janina robiła wszystko, by dostarczać na Majdanek tak dużo jedzenia i lekarstw, jak było to możliwe, żeby przynajmniej część dotarła też do żydowskich więźniów.

Co sprawiało, że była tak skuteczna?

Oddanie i pasja, by z jednej strony pomóc jak największej liczbie osób, a z drugiej – walczyć z okupantem. Nie przyjmowała „nein” jako ostatecznej odpowiedzi. W razie problemów starała się znaleźć kogoś wyżej w hierarchii, kto byłby w stanie załatwić dla niej to, na czym jej zależało. Janina miała niesamowitą zdolność przedstawiania swoich oczekiwań nie jako żądań, lecz propozycji, które są tak oczywiste i zgodne z interesem samych Niemców, że jej rozmówcy byliby niepoważni, gdyby odmówili.

Jak ta polska Żydówka stała się hrabiną Janiną Suchodolską?

Jej fałszywą tożsamość wymyślił hrabia Andrzej Skrzyński, przyjaciel rodziny Mehlbergów, który działał w Lublinie w polskim ruchu oporu. W grudniu 1941 r. pojechał do Lwowa – zajętego kilka miesięcy wcześniej przez Niemców – by nakłonić Janinę i jej męża Henryka do przeprowadzki do Lublina. Obiecał im, że załatwi dla nich fałszywe dokumenty i pomoże im się zakotwiczyć w tym mieście.

Co istotne – Mehlbergowie byli zasymilowanymi Żydami.

Tak, ale ich żydowskie korzenie były dla nich ważne. Janina pochodziła z dobrego domu. Jej ojciec był właścicielem majątku we wschodniej Galicji. To była żydowska rodzina, która dobrze żyła z polską klasą wyższą z okolicy. Janina kształciła się potem w multikulturowym Lwowie i ten okres zbudował jej tożsamość – polskiej Żydówki i polskiej patriotki.

Hrabia Skrzyński załatwił Janinie i jej mężowi miejsce w mieszkaniu dwóch starszych arystokratek, które były siostrami. Przedstawił im małżeństwo Mehlbergów jako dalekich kuzynów swojej żony. Dzięki wychowaniu, które odebrała Janina, była ona doskonale przygotowana do odgrywania swojej roli.

Ale to nie hrabia Skrzyński wciągnął ją do działalności podziemnej.

To ona sama zdecydowała o dołączeniu do podziemia niepodległościowego. Gdy uzmysłowiła sobie, że nawet z nowymi dokumentami ani ona sama, ani jej mąż nie byli bezpieczni pod okupacją niemiecką, postanowiła działać. A to już był czas, gdy w Lublinie zaczynała się akcja „Reinhardt” – była to największa, najbardziej zabójcza akcja Holokaustu. Jej pierwszym

eprasa.pl f4b9c5462d

„aktem" było wysłanie niemal 30 tys. Żydów z Lublina do obozu zagłady w Bełżcu. W ciągu kilku tygodni AK Lublin raportowała, że wszyscy Żydzi wysłani do Bełżca zostali tam zamordowani.

Janina uważała, że najpewniej zginie, tak samo jak jej mąż. A ona nie chciała żyć w ciągłym strachu. Zdecydowała więc, że jeżeli ma zginąć, to chce spróbować pomóc innym.

I w ten sposób dołączyła do polskiego podziemia, złożyła przysięgę z krucyfiksem w ręku. Czyli trzymała swoją tożsamość w tajemnicy...

Armia Krajowa reprezentowała całe spektrum postaw – od skrajnej prawicy do socjalistów. W AK służyli też antysemici, więc ona i hrabia Skrzyński uznali, że lepiej będzie, jeżeli jej prawdziwa tożsamość pozostanie sekretem.

Jak się rozpoczęła wielka operacja ratunkowa „hrabiny" na Majdanku?

Hrabia Andrzej Skrzyński był szefem Rady Głównej Opiekuńczej w dystrykcie lubelskim i wskazał Janinę jako swoją prawą rękę w tej organizacji.

Istotną kwestią w tym kontekście jest to, że ten obóz znajdował się na terenie Generalnego Gubernatorstwa. To był pierwszy i tak naprawdę jedyny naprawdę duży obóz koncentracyjny, który umiejscowiony został poza granicami tworu administracyjnego, który SS uważało za Rzeszę – Auschwitz zbudowano przecież na terytorium Polski zaanektowanym przez Niemcy. Tymczasem Generalne Gubernatorstwo rządziło się swoimi prawami. RGO udało się uzyskać pozwolenie na dostarczanie pożywienia Polakom przetrzymywanym w więzieniach w GG.

To ważne rozróżnienie – w więzieniach, a nie w obozach.

RGO starała się też o pozwolenie na udzielanie pomocy więźniom Majdanka, ale początkowo Niemcy nie wyrażali na to zgody, ponieważ w 1942 r. ten obóz przeznaczony był głównie dla Żydów.

I – co istotne – wtedy jeszcze Niemcy czuli się silni, ponieważ ich sytuacja na frontach nie była zła.



ELIZABETH B. WHITE, JOANNA ŚLIWA
„FAŁSZYWA HRABINA, OPOWIEŚĆ O ŻYDÓWCE, KTÓRA PODCZAS ZAGŁADY URATOWAŁA TYSIĄCE POLAKÓW"
REBIS

Sytuacja zmieniła się na początku 1943 r., gdy Niemcy rozumieli już, że wojna nie skończy się szybko. Im gorzej im szło na froncie, tym bardziej zależało im na dostępie do siły roboczej wśród nie-Niemców. Nadzorujący obozy koncentracyjne Heinrich Himmler chciał, by stały się one znaczącym źródłem przymusowej siły roboczej dla niemieckiego wysiłku wojennego. Dlatego zarządził ściągnięcie do obozów koncentracyjnych dziesiątek tysięcy ludzi, szczególnie Polaków. Stwierdził jednak równocześnie, że skoro ci ludzie mają pracować dla Niemców, to dobrze byłoby ograniczyć wśród nich śmiertelność.

Na początku 1943 r. tysiące polskich więźniów trafiły na Majdanek. Na tej podstawie RGO, wraz z Polskim Czerwonym Krzyżem, mogła wystąpić do niemieckich władz z wnioskiem o przekazywanie więźniom obozu paczek od ich rodzin i dostarczanie im pożywienia. Początkowo skala pomocy żywnościowej nie była duża i Niemcy piętrzyli problemy.

Jednak „hrabina" była nieugięta i przekonywała Niemców do zwiększenia pomocy.

To ona kierowała programem dożywiania więźniów Majdanka i cały czas naciskała władze obozu, by zgodziły się na dostarczanie większych ilości jedzenia, medykamentów czy kontakt listowny z rodzinami. A gdy w końcu dostała pozwolenie na osobiste dostarczanie pomocy do konkretnych sekcji obozu, wykorzystywała tę sposobność, by szmuglować na Majdanek wiadomości, a nawet broń – na terenie obozu działał przecież ruch oporu.

Jak udawało jej się zdobyć tyle jedzenia w tak ciężkich warunkach?

Janina Mehlberg składa w swoich wspomnieniach hołd mieszkańcom Lublina, którzy wykazali się wówczas wielką ofiarnością. Faktem jest też, że część żywności, którą Janina dostarczała do obozu, pochodziła z „kradzieży". Armia Krajowa nierzadko „rabowała" przecież Niemców z żywności. Janina współpracowała z wieloma dzielnymi kobietami, które pomagały w szmuglowaniu jedzenia na potrzeby więźniów Majdanka.

W książce opisują panie niemal surrealistyczne sytuacje – Żydówka stoi w gabinecie komendanta obozu koncentracyjnego na Majdanku, rozmawia z nim w zdecydowany sposób i zazwyczaj dostaje to, na czym jej zależy. Niesamowite, jak wiele dawał tytuł hrabiny...

To częściowo tłumaczy sukces Janiny. Bardzo wielu esesmanów czuło respekt przed ludźmi dobrze urodzonymi. Kiedy więc stawała przed nimi świetnie mówiąca po niemiecku hrabina, nieważne, że polskiego pochodzenia, niemal odruchowo wstawali z foteli i stawali się uprzejmi.

Jeden przykład jest tu szczególnie ciekawy. Janina przyszła pewnego dnia porozmawiać z nowym, ostatnim komendantem Majdanka – Arthurem Liebehenschelem. Wcześniej był on funkcjonariuszem nr 2 w całym systemie niemieckich obozów koncentracyjnych. Komendant stał przy oknie i nie chciał z nią rozmawiać. W pewnym momencie zaczął nawet na nią krzyczeć. Ona podeszła zatem do innego okna, cały czas do niego mówiąc. Liebehenschel powiedział w końcu, że nie słyszy jej, bo mówi do okna. Janina odparła, że ona również go nie słyszy i może dlatego nie mogą się porozumieć. Komendant obrócił się i zaprosił ją do biurka. Usiedli, porozmawiali spokojnie i doszli do porozumienia.


Niemiecki obóz koncentracyjny na Majdanku (Konzentrationslager Lublin)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŃSTWOWE MUZEUM NA MAJDANKU, USHMM

eprasa.pl f4b9c5462d



Teren byłego obozu na Majdanku i – z lewej strony – mauzoleum

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALIANS.PL



Arthur Liebehenschel

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

Janina musiała negocjować z czterema komendantami. Z pierwszym, Hermannem Florstedtem, było najciężej. Dopiero gdy odszedł z tego stanowiska, Janina była w stanie zwiększyć częstotliwość dostaw żywności oraz jej ilość. Następca Florstedta, Martin Weiss, dostał od swoich przełożonych zadanie poprawienia bardzo istotnego parametru. Otóż Majdanek miał latem 1943 r. najwyższą śmiertelność wśród wszystkich obozów koncentracyjnych. I mówię tu jedynie o ludziach osadzonych na Majdanku w charakterze więźniów, a nie o Żydach przeznaczonych do niezwłocznej eksterminacji. Janina udawała przed Weissem niemal jego sojuszniczkę: „Potrzebujesz, by twoi więźniowie-pracownicy byli zdrowi. Ja mogę ci w tym pomóc".

Kto był najważniejszym sojusznikiem Janiny?

Jeżeli miała trudności, to zwracała się do różnych wysoko postawionych funkcjonariuszy. Jak wtedy, gdy udało jej się uzyskać zwolnienie z Majdanka pierwszej dużej grupy więźniów – doszło do tego latem 1943 r., gdy 9 tys. polskich chłopów (mężczyzn, kobiet i dzieci) z Zamojszczyzny zostało „wrzuconych" do obozu na Majdanku. Zdrowi dorośli zostali wysłani do pracy, natomiast dzieci i starsi oraz schorowani zostali pozostawieni sami sobie, co miało tragiczne skutki. Janinie udało się namówić SS do przekazania 3,6 tys. z nich RGO. Funkcjonariuszem, który pomógł jej wtedy, był Hermann Höfle, szef sztabu akcji „Reinhardt", człowiek, który miał na rękach krew co najmniej 1,5 mln Żydów... W razie problemów Janina zawsze mogła powiedzieć: „Jeżeli coś się nie zgadza, to proszę zadzwonić do SS-Sturmbannführera Höfle".

Fragment książki, gdzie mowa jest o losie dzieci z Zamojszczyzny, naprawdę ciężko się czyta...

To były wstrząsające historie. Janina, aby ratować dzieci, poinstruowała kobiety pracujące dla RGO, by w razie konieczności odbierały je matkom zamkniętym w obozie nawet siłą. Wiele matek do końca trzymało się kurczowo swoich dzieci, bo Niemcy okłamywali je, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. Janina starała się też zapisywać podstawowe informacje dotyczące dzieci wywożonych do Niemiec na germanizację. Pod koniec wojny przekazała listę ponad 4 tys. dzieci, które zostały w ten sposób wywiezione.

Jaka historia z jej wizyt na Majdanku szczególnie utkwiła pani w pamięci?

Janina pojechała pewnego dnia na Majdanek na wozie ciągniętym przez konia. Ziemia pokryta była śniegiem i nagle – już na terenie obozu – wóz się przewrócił. Gdy Janina zeskakiwała z niego w ostatnim momencie, wysypały się z jej torby rzeczy, które przemycała. Więźniowie pomogli jej pozbierać te rzeczy jak najszybciej, by nie zauważył tego strażnik, i dopiero potem zaczęli zlizywać ze śniegu rozlaną zupę. Gdy Janina wracała tamtędy po dostarczeniu pomocy, nie było już śladu po rozlanej zupie. To uzmysłowiło jej, jak ogromna jest skala potrzeb.

Z kolei na Boże Narodzenie w 1943 r. udało jej się przekonać komendanta, by RGO mogła dostarczyć dodatkową pomoc, w tym udekorowaną choinkę. Mieszkańcy Lublina zachowali się fantastycznie: dostarczyli potrawy wigilijne w dużej ilości. Więźniowie do końca życia zapamiętali tamte święta.

Dlaczego Janina Mehlberg wyjechała po wojnie z Polski?

Bała się, że jeżeli ujawni się przed komunistami, to będzie miała duże problemy, a dodatkowo obawiała się antysemityzmu, bo przecież wiedziała o powojennych pogromach. Henryk był inwigilowany w pracy przez bezpiekę, pętla wokół małżeństwa się zaciskała. Mehlbergowie widzieli, że w komunistycznej Polsce nie będą mogli żyć tak, jak chcieli. Najpierw więc Janina zorganizowała ucieczkę dla swojego męża, a potem sama wyjechała w 1950 r. I tak Mehlbergowie zapuścili korzenie w USA.

Jak pani trafiła na tę historię?

W 1989 r. zajmowałam się zawodowo obozem na Majdanku. Któregoś razu wygłosiłam na ten temat wykład i na koniec podszedł do mnie historyk Arthur Funk. Wręczył mi niepublikowane wspomnienia żydowskiej matematyczki, która pomagała więźniom Majdanka i zmarła w Chicago w 1969 r. Funk otrzymał wspomnienia od męża autorki. Prawdę mówiąc, gdy je przeczytałam, byłam sceptyczna... Poza tym nie czułam, że to jest temat dla mnie.

A jednak wspomnienia Janiny pozostały ze mną na długie lata, wracałam do nich. Gdy podjęłam pracę w United States Holocaust Memorial Museum, zaczęłam korzystać z jego zasobów, by dowiedzieć się więcej o Janinie Mehlberg. Znalazłam wystarczająco dużo informacji, by zacząć myśleć, że cała ta historia jednak może być prawdziwa... Wysłałam więc jej wspomnienia do Joanny Śliwy, polsko-amerykańskiej badaczki zajmującej się Holokaustem. I to Joanna znalazła twarde dowody, potwierdzające to, o czym pisała Janina. Bardzo się cieszę, że udało nam się zweryfikować tę historię, opowiedzieć ją czytelnikom, a także ustalić po drodze, że Janina zrobiła w czasie wojny dużo więcej dobrego niż to, o czym pisała we wspomnieniach.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone



Elizabeth B. White jest amerykańską badaczką Holokaustu, współautorką (wraz z dr Joanną Śliwą) książki „Fałszywa hrabina. Opowieść o Żydówce, która podczas Zagłady uratowała tysiące Polaków".

eprasa.pl f4b9c5462d

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Anna Popek i Rafał Patyra.**



Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl f4b9c5462d



Zjazd kolaboranckiej organizacji Kuratorium Edukacji Młodzieży w Czechach i na Morawach

FOT. NAČR

Emanuel Moravec i inni / Tragikomedia czeskiej kolaboracji

Najwierniejsze dzieci protektoratu



Piotr Semka

Na tle innych narodów Europy, które współpracowały z III Rzeszą, kolaboracja Czechów była przypadkiem wręcz tragikomicznym

Na półki czeskich księgarni trafiła niedawno książka, która wywołała spory odzew. Jej autor, historyk Jiří Plachý, zajął się bodaj najbardziej wstydliwym epizodem wojennych dziejów Czechów. „Ostatni obrońcy protektoratu – historia ochotniczych kompanii św. Wacława" (oryg. „Poslední obránci protektorátu. Historie Dobrovolnické svatováclavské roty") to opowieść o oddziałach czeskich kolaborantów z końcowego okresu drugiej wojny światowej. W Polsce mało kto wie o istnieniu takich jednostek, gdyż w samych Czechach był to przez lata temat zamiatany pod dywan.

Losy tej przedziwnej formacji to przykład groteskowego wręcz serwilizmu czeskich kolaborantów III Rzeszy i przypomnienie, jak polityka rasowa niemal do końca istnienia imperium Hitlera wygrywała ze zwykłym pragmatyzmem. Zanim jednak zajmiemy się tematem „Svatováclavskich rot", warto przypomnieć, jak bardzo powszechne było posłuszeństwo Czechów wobec kolaboracyjnych władz, które starały się wychować swoich poddanych na wzorowych obywateli niemieckiej Europy.

Załamanie nastrojów

Komunistyczna propaganda po zdobyciu władzy w Polsce uwielbiała nazywać katastrofę Polski sanacyjnej we wrześniu 1939 r. „rozpadnięciem się domku z kart". To złośliwe określenie przemawiało do wyobraźni, ale o wiele bardziej pasowało ono do upadku Czechosłowacji między wrześniem 1938 r. a marcem 1939 r. Przypomnijmy, że załamanie czeskiego ducha oporu wobec Berlina nastąpiło jesienią 1938 r. Żądania Niemców sudeckich, aby przyłączyć ich ziemie do III Rzeszy, połączone z sugestiami Hitlera, że opór Czechosłowacji może wywołać wojnę, doprowadziły do konferencji

eprasa.pl f4b9c5462d



Prezydent Beneš i jego następca gen. Syrový. Poniżej: jedyne odznaczenie Protektoratu Czech i Moraw – Tarcza Honoru z symbolem tzw. świętowacławskiej orlicy

FOT. NAC I DOMENA PUBLICZNA



w Monachium. Zdecydowano wówczas, że Praga odda Niemcom niemal wszystkie terytoria pograniczne na terenie Sudetów, Rudaw, Lasu Czeskiego, Szumawy i południowych Moraw. Do tego doszła jeszcze aneksja Zaolzia przez Polskę.

Taka postawa Wielkiej Brytanii i Francji, mocarstw postrzeganych wcześniej jako gwaranci niepodległości państwa czechosłowackiego, wywołała załamanie nastrojów. Prezydent Republiki Edvard Beneš ustąpił z urzędu i 22 października 1938 r. wyjechał na Wyspy Brytyjskie. Nowym ministrem spraw zagranicznych został František Chvalkovský, który był jednoznacznym ugodowcem. Ale jeszcze większym zawodem dla patriotycznych Czechów był nowy premier – gen. Jan Syrový. Szczególnie ta postać przyczyniła się do tak niezrozumiałego dziś dla nas załamania się psychiki Czechów.

Zacznijmy od tego, że Jan Syrový w międzywojennej Republice Czechosłowackiej był legendą mniej więcej tego kalibru, co w Polsce gen. Józef Haller. W czasie pierwszej wojny światowej Syrový wstąpił do Drużyny Czeskiej – niepodległościowego oddziału stworzonego przy armii rosyjskiej do walki z Austro-Węgrami. W 1917 r. zasłynął odwagą, walcząc z Austriakami w bitwie pod Zborowem na Ukrainie. Syrový stracił wtedy prawe oko, które potem zaczął zasłaniać czarną opaską. Upodobniło go to do narodowego bohatera Czechów Jana Žižki, który w czasie wojen husyckich również stracił oko. Syrový przeszedł całą epopeję korpusu czechosłowackiego na Syberii i w kluczowym momencie września 1938 r. był ministrem obrony narodowej. A od 22 września do 1 grudnia 1938 r. pełnił urząd premiera rządu, który przyjął dyktat z Monachium.

W dniach, gdy ważyły się losy Czechosłowacji, tysiące prażan spontanicznie maszerowały na Hradczany, gdzie Syrový, przemawiając z balkonu do tłumu, tworzył wrażenie, że republika nie ustąpi przed niemiecką tyranią. Gdy po 5 października 1938 r. gen. Syrový przejął z rąk Edvarda Beneša funkcję konstytucyjnego prezydenta Republiki Czechosłowackiej, wielu Czechów było przekonanych, że do końca będzie bronił okrojonej republiki.

Stało się jednak zupełnie inaczej. Syrový jak za dotknięciem magicznej różdżki przemienił się z odważnego obrońcy kraju w tchórzliwego asekuranta. Był bierny i nie zrobił nic, by zatrzymać ekipy tchórzy i oportunistów, których liderami zostali Chvalkovský oraz nowy prezydent republiki prof. Emil Hácha. Ta dwójka otworzyła drogę do absolutnego upadku narodowej dumy Czechów i okazała bezsilność wobec dążeń emancypacyjnych słowackiej części wspólnego państwa. Kluczowy był tu zawód, który sprawił gen. Syrový. Puentą jego niechlubnej postawy było wydanie wojskom czeskim jednoznacznego rozkazu, aby w obliczu zajmowania przez Niemców pozostałej części Czech i Moraw w marcu 1939 r. nie stawiać oporu wrogowi. Do czarnej legendy przeszło jego przemówienie na ten temat, wygłoszone w studiu czeskiego radia w Pradze.



Večerník
NÁRODNÍ LISTY
ŠL. Ribbentrop vyhlásil jménem kancléře
Protektorát Čechy a Morava
Hlavním sídlem autonomního Protektorátu je Praha.

Informacja prasowa o utworzeniu Protektoratu Czech i Moraw

FOT. DOMENA PUBLICZNA

„Przeżywam najtrudniejszy moment mojego życia, bo wypełniam swoje najboleśniejsze zadanie, za które łatwiej byłoby umrzeć. Zostaliśmy sami. Mieliśmy wybór między desperacką i bezowocną obroną, która oznaczałaby poświęcenie nie tylko całego pokolenia dorosłych, ale także kobiet i dzieci. I między zaakceptowaniem warunków, które w swojej bezwzględności, narzuconej przymusem bez wojny, nie mają precedensu w historii" – mówił gen. Syrový.

Po wkroczeniu Niemców i stworzeniu Protektoratu Czech i Moraw pod iluzoryczną władzą prezydenta Emila Háchy generał wycofał się z życia publicznego. Nie angażował się ani po stronie nowych władz, ani po stronie ruchu oporu. Jego obrońcy twierdzą, że po cichu wspierał rodziny osób prześladowanych przez Niemców, ale dowody na to są dość słabe. Szybko tytuł najbardziej gorliwego kolaboranta Niemców przejął od gen. Syrovego kolejny niegdysiejszy bohater republiki Masaryka i Beneša.

Kolaborant idealny

Emanuel Moravec urodził się w 1893 r. w Pradze. Jego życiorys jest niemal wzorcowy dla całej generacji czeskich patriotów, którzy doprowadzili do powstania niepodległej Czechosłowacji. W wieku 18 lat, gdy tylko osiągnął pełnoletność, demonstracyjnie wystąpił z Kościoła katolickiego, aby wyrazić swój sprzeciw wobec rządzących Habsburgów (Kościół katolicki w Czechach postrzegany był przez nawiązujących do tradycji husyckiej młodych niepodległościowców jako podpora władzy Wiednia nad ich ojczyzną).

Po wybuchu pierwszej wojny światowej Moravec został powołany do armii austro-węgierskiej (brał udział w walkach w Galicji) i trafił do niewoli rosyjskiej. Złożył wówczas wniosek o nadanie mu obywatelstwa rosyjskiego, aby mógł dołączyć do czeskich oddziałów walczących u boku armii cara Mikołaja II. Rosjanie byli podejrzliwi wobec Moravca, ale

eprasa.pl f4b9c5462d



Emanuel Moravec

FOT. NAČR

zgodzili się, by zgłosił się na ochotnika do serbskiej dywizji składającej się z ochotników, w której służyli także byli czescy jeńcy.

Po 1917 r. przeszedł wraz z legionami czechosłowackimi przez całą Rosję, dotarł do Władywostoku i triumfalnie powrócił do Czechosłowacji. Dla takich żołnierzy jak on wszystkie wyższe stanowiska w nowo powstającej armii czechosłowackiej stały otworem.

Moravec ukończył szkołę wojskową w Pradze i awansował aż do stopnia pułkownika. Co ciekawe, miał wówczas opinię nieprzejednanego wroga Niemiec. W 1938 r. wielokrotnie bił na alarm w swoich publikacjach, wyczulając Czechów i Słowaków na zagrożenie militarne ze strony Niemiec Hitlera. Co więcej, należał nawet do nielicznej grupy wyższych oficerów, którzy wskazywali na konieczność współpracy wojskowej Czechosłowacji i Polski.

Gdy w 1937 r. zmarł pierwszy prezydent Czechosłowacji Tomáš Masaryk, to właśnie płk Moravec poprowadził kondukt wojskowy przez Pragę, co stworzyło wrażenie, że to właśnie on jest jednym z kandydatów na najwierniejszego obrońcę coraz bardziej zagrożonego przez Niemcy państwa. W czasie kryzysu sudeckiego jako członek Komitetu Obrony Republiki publicznie sprzeciwiał się kapitulacji i krytykował gen. Jana Syrovego za kunktatorstwo. Proponował nawet zablokować dymisję prezydenta Edvarda Beneša i przeprowadzić wojskowy zamach stanu, po którym Czechy miały stawić zbrojny opór wobec Niemiec. Z tego powodu został przez nową ekipę oportunistów przeniesiony na podrzędne stanowisko i otrzymał zakaz publikowania.

Gdy 15 marca 1939 r. wojska niemieckie zajęły Pragę i ogłoszono powstanie marionetkowego protektoratu, Moravec rozważał emigrację do Kostaryki. Rychło nastąpi jednak zadziwiający dla wszystkich zwrot w jego postawie. Aby oddalić od siebie groźbę aresztowania za swoje wcześniejsze antyniemieckie wystąpienia, Moravec zaproponował powrót do armii czeskiej, doskonale rozumiejąc, kto będzie teraz sprawował nad nią kontrolę. Niemieccy okupanci likwidowali wówczas czeskie jednostki (ostatecznie pozostawiono marionetkowemu prezydentowi Hasze jedynie coś w rodzaju większej kompanii honorowej), ale odnotowali zwrot w postawie Moravca.

Duchowa przemiana czeskiego patrioty w herolda nowego protektoratu nastąpiła po ufundowanej przez Niemców wycieczce propagandowej po III Rzeszy, gdzie przekonywano go o dobrodziejstwach, które państwo Hitlera może uczynić dla Czechów. Moravec wrócił do Pragi już jako przekonany kolaborant. Przez kolejne półtora roku dawni przyjaciele Moravca z przerażeniem odkrywali, jak niegdysiejszy patriota i autor bijący na alarm przed hitlerowskim zagrożeniem wygłasza w Radiu Praga płomienne manifesty wierności wobec Rzeszy. Finałem jego służalczości stało się objęcie w styczniu 1942 r. funkcji ministra szkolnictwa i oświaty w rządzie kierowanym przez Reinharda Heydricha.

Ambicje kolaboranta

Najważniejszym „dziełem" Moravca było ustanowienie organizacji noszącej stosunkowo neutralną nazwę – Kuratorium Edukacji Młodzieży w Czechach i na Morawach. Pod tą niewinną nazwą powstała organizacja zrzeszająca – obowiązkowo – czeską młodzież w wieku od 10 do 18 lat. Była to swoista kopia niemieckiego Hitlerjugend.

Moravec bardzo szybko zyskiwał wpływy u Niemców, w przeciwieństwie do coraz bardziej spychanego na margines prezydenta Emila Háchy. Niegdysiejszy patriota był na tyle ambitny w dążeniu do stania się kolaborantem numer jeden, że doprowadził do likwidacji czeskiej partii faszystowskiej Vlajka, a następnie sprawił, że zawieszono działalność innej grupy kolaboracyjnej – Narodowej Wspólnoty Faszystowskiej. Wreszcie w 1943 r. stanął na czele jedynej legalnej partii czeskich kolaborantów – Narodowej Solidarności.

Do pełni szczęścia Emanuelowi Moravcowi brakowało już tylko stworzenia czeskich wojskowych formacji kolaboracyjnych. Tu jednak Moravec natrafił na twarde „nein" Hitlera. Wódz III Rzeszy w czasie pierwszej wojny światowej bardzo dobrze zapamiętał sobie, że Czesi służący w armii austro-węgierskiej często albo przechodzili na stronę Rosjan, albo zbyt łatwo się im poddawali. Jego obawy wzmocniły na dodatek doświadczenia Wehrmachtu z oddziałami słowackimi, które prezydent kolaboracyjnej Słowacji, ks. Jozef Tiso, wysłał po 22 czerwca 1941 r. do walki ze Związkiem Sowieckim. Uwadze niemieckich dowódców nie uszedł fakt, że słowaccy żołnierze często uciekali na stronę sowiecką lub odmawiali udziału w pacyfikowaniu okupowanych terenów. Wszystko to skłoniło Hitlera do wydania stanowczego zakazu przyjmowania jakichkolwiek propozycji czeskich kolaborantów w sprawie tworzenia „sojuszniczych jednostek wojskowych". Na dodatek Hitler obawiał się, że Czesi po wojnie mogliby stawiać polityczne żądania, powołując się na fakt, że ich żołnierze przelewali krew u boku Rzeszy.

Jednak w miarę pogarszania się sytuacji militarnej III Rzeszy niemieccy władcy protektoratu, na czele z Karlem



Żołnierz ochotniczych kompanii św. Wacława

FOT. NAČR

eprasa.pl f4b9c5462d



František Teuner (z lewej) u prezydenta protektoratu Emila Háchy FOT. NAČR

Hermanem Frankiem, zaczęli przychylniej patrzeć na postulat tworzenia pomocniczych – na razie – jednostek czeskich przez wspomniane już kuratorium.

W marcu 1944 r. na kongresie Czeskiego Związku Żołnierzy (formacji weteranów armii austriackiej) jej przewodniczący Robert Rychtrmoc postawił wniosek, by stworzyć regularne czeskie jednostki walczące u boku Niemiec. Rychtrmoc opracował nawet plan poboru młodych Czechów, który objąłby 600 tys. mężczyzn. Jednak Hitler znów nie wyraził zgody na takie pomysły. W związku z tym kuratorium przystąpiło do działań na poły tajnych, co nadawało całej sytuacji wręcz komediowego charakteru. Kuratorium stworzyło jednostkę „Schar 240", która miała rozpocząć szkolenie wojskowe, natomiast jeden z kolaborantów z kręgu Morawca, Eduard Chalupa, zaczął organizować młodzieżowe oddziały interwencyjne specjalnego przeznaczenia, które miały zajmować się usuwaniem gruzów po nalotach alianckich oraz pomagać w obronie przeciwlotniczej.

Hołd zdrajców

Tak oto kolaboranci doczekali początku 1945 r., kiedy gen. František Teuner zaczął tworzyć ochotnicze kompanie św. Wacława. Nawiązanie do księcia, który jako pierwszy Czech złożył hołd lenny wobec Cesarstwa Niemieckiego, było próbą połączenia tradycji czeskiej z gwarancją bezwarunkowej wierności wobec Rzeszy.

Jak proponował Niemcom gen. Teuner, kompanie miały być rozmieszczone na terenie protektoratu. Nadzór i opiekę nad oddziałami miała sprawować rada kuratorium, a z szeregów tej organizacji mieli wywodzić się pierwsi ochotnicy. Swoistą formą akceptacji dla tych pomysłów było skierowanie do dowództwa czeskich oddziałów niemieckiego doradcy, dr. Aloisa Krannicha. Mimo to, choć III Rzesza chwiała się już w posadach, ideologiczni strażnicy rasowej czystości z otoczenia p.o. protektora Karla Hermana Franka oburzali się na wszelkie kompromisy w tej kwestii. Ich zdaniem słowiańscy Czesi w żadnym wypadku nie mogli dostawać do ręki niemieckiej broni!

Sprawa zaczęła wyglądać inaczej, gdy od stycznia 1945 r., po zajęciu Górnego Śląska, Armia Czerwona zaczęła szturmować północno-wschodnie Czechy. W tej sytuacji 5 marca 1945 r. Frank podpisał dekret o statusie ochotniczych kompanii.

Co ciekawe, w celu odróżnienia czeskich ochotników od „prawdziwych" niemieckich żołnierzy kompaniom św. Wacława wydano charakterystyczne czeskie hełmy z okresu międzywojennego. Niemieccy doradcy pilnowali także, by czescy kolaboranci mieli jedynie lekkie uzbrojenie – karabiny z bagnetami i granaty. Mało tego, Niemcy dbali też o to, by członkowie kompanii otrzymywali ostrą amunicję tylko na czas warty (pięć naboi na żołnierza). Większą ilość amunicji czescy żołnierze mieli otrzymywać tuż przed rozpoczęciem realnej walki.

Wszystko toczyło się jednak w ślimaczym tempie w stosunku do szybkich postępów Sowietów. Dość powiedzieć, że planowane na trzy miesiące szkolenie kompanii rozpoczęło się dopiero 21 marca i objęło jedynie 48 kandydatów na żołnierzy. Obsesja Niemców w kwestii ewentualnej zdrady czeskich podwładnych była tak daleko posunięta, że żołnierze kompanii zostali zobowiązani do używania wyłącznie języka niemieckiego. Przykładem ideologicznego opętania ze strony Niemców był wymóg prowadzenia codziennych trzygodzinnych szkoleń politycznych, które miały dać gwarancję, że czescy ochotnicy nie zdradzą III Rzeszy. W rezultacie, gdy Sowieci podchodzili już pod Pragę, kompanie wciąż były na etapie przygotowań.

Koniec całej tej przedziwnej historii przyniósł 5 maja 1945 r. Na teren poligonu szkoleniowego przybył tego dnia oddział czeskich powstańców, którzy wezwali dowódcę do poddania się i przyłączenia się do powstania przeciwko Niemcom. Chalupa najpierw spalił wszystkie kompromitujące dokumenty, a następnie rozkazał swoim podwładnym, którzy nie stawiali żadnego oporu, by po prostu skapitulowali. Powstańcy rozbroili kolaborantów i wszystkich wywieźli do obozu internowania w Kladnie. Po pewnym czasie jeńcy zostali postawieni przed sądem i w większości usłyszeli pięcioletnie wyroki więzienia.

O wiele gorzej skończył patron czeskiej kolaboracji – Emanuel Moravec. 5 maja uciekał on z objętej powstaniem Pragi w kolumnie niemieckich samochodów. Jednak gdy auto Moravca stanęło z powodu braku paliwa, zdrajca zrozumiał, że to już koniec. Wyjął więc rewolwer i strzelił sobie w głowę. Czeskie władze po wojnie nie zapomniały o synach Moravca, którzy wskutek łaskawości Niemców otrzymali status folksdojczów. Igor Moravec, który walczył w SS, trafił do niewoli sowieckiej, ale zdołał na początku 1945 r. uciec i przebił się do rodzinnych Czech. Tyle że żył już pod fałszywym nazwiskiem, ukrywając się po wojnie na wsi. W maju 1946 r. przypadkiem został rozpoznany i aresztowany. Sąd skazał go na karę śmierci, którą wykonano bezzwłocznie.

Na tle innych narodów Europy, które współpracowały z III Rzeszą, kolaboracja Czechów była przypadkiem wręcz tragikomicznym. Zderzenie serwilizmu czeskich zdrajców z rasowym dogmatyzmem ich niemieckich nadzorców pokazywało jak w soczewce wszystkie cechy państwa Hitlera. Niespecjalnie dziwi, że Czesi dopiero po tylu latach zdobywają się na odwagę, by badać odmęty tchórzliwej zdrady.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor korzystał z książki Jiřiego Plachy „Ostatni obrońcy protektoratu – historia ochotniczych kompanii świętowacławskich".

eprasa.pl f4b9c5462d



Eleonora Akwitańska i Henryk II. Witraż z katedry w Poitiers

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MIINISTERSTWO KULTURY FRANCJI

XII w. / Królowa, matka, krzyżowiec

Najpotężniejsza w Europie



Anna Szczepańska

Matka Ryszarda Lwie Serce wymyka się wszelkim wyobrażeniom o kobietach średniowiecza. Eleonora Akwitańska wiodła barwne, niezwykłe życie. Była królową Francji i Anglii, dziedziczką Akwitanii, najbogatszą kobietą wieków średnich

Świat Eleonory wywrócił się do góry nogami w kwietniu 1137 r. W Wielki Piątek, w czasie pielgrzymki do Santiago de Compostela, zmarł jej ojciec. Tuż przed śmiercią zdążył jeszcze przekazać swym towarzyszom, że wszystkie jego ziemie – Akwitanię i Poitou – ma odziedziczyć Eleonora. Na jej opiekuna, który miał też znaleźć jej odpowiedniego męża, wyznaczył króla Francji Ludwika VI.

Wiadomość o zgonie Wilhelma X trzeba było trzymać w tajemnicy. Jeśli informacja by się rozeszła, to jego wasale gotowi byli pędzić na złamanie karku do Poitiers, gdzie mogli zastać Eleonorę. Niejeden, zgodnie z niepisanym prawem panującym w tej części Francji, mógłby porwać dziedziczkę i siłą poślubić, aby zostać panem najrozleglejszych we Francji włości (państwo było wtedy podzielone na wiele księstw i hrabstw, nad którymi król sprawował tylko nominalną kontrolę jako senior. Jego wasale, wśród nich akwitański książę, byli zobowiązani do hołdu lennego i posłuszeństwa, lecz własnymi ziemiami mogli władać wedle swego uznania. Władztwo króla pokrywało się mniej więcej z tym, co dziś znamy jako Île-de-France).

Ludzie Wilhelma X się spieszyli. Mieli szczęście, że ich książę, jakby przeczuwając, że coś złego może się zdarzyć, przed podróżą wysłał swe córki do zamku Ombrière, pod opiekę zaufanego arcybiskupa Bordeaux, Geoffroia du Louroux.

Eleonora od dawna wiedziała, jaki czeka ją los. Po śmierci brata, zgodnie z prawem rzymskim, które uznawano w Akwitanii, to ona miała zostać dziedzicem największego wasalnego księstwa Francji, bogactwem wielokrot-

eprasa.pl f4b9c5462d

nie przewyższającym okolice Paryża, którymi władał monarcha. Księżniczka nie sądziła jednak, że tak szybko porzuci beztroskie życie i zajmie się polityką. Jej ojciec w chwili śmierci miał 38 lat. Ona zaledwie 13.

Zgon Wilhelma X nastąpił w momencie bardzo dogodnym dla króla Ludwika VI Grubego. Władca, choć dawniej słynął z odwagi i waleczności, teraz był schorowany i ledwo się poruszał. O ból głowy przyprawiał go jego następca – słaby, nazbyt rozmodlony syn Ludwik, którego od maleńkości przygotowywano do służby w Kościele. Następcą tronu Francji został niespodziewanie, gdy jego starszy brat zginął w nieszczęśliwym wypadku.

Ludwik Gruby, opiekun Eleonory, uznał, że dla jego syna nie nadarzy się lepsza okazja niż poślubienie młodej księżnej. Żaden wasal nie spróbuje podważyć jego władzy, jeśli będzie za nim stało bogactwo Akwitanii. Ślub zorganizowano szybko – doszło do niego 12 lipca 1137 r. w Bordeaux. Ludwik był wystraszony, natomiast sama Eleonora była zdegustowana mężem. Po ceremonii państwo młodzi od razu ruszyli do Paryża.

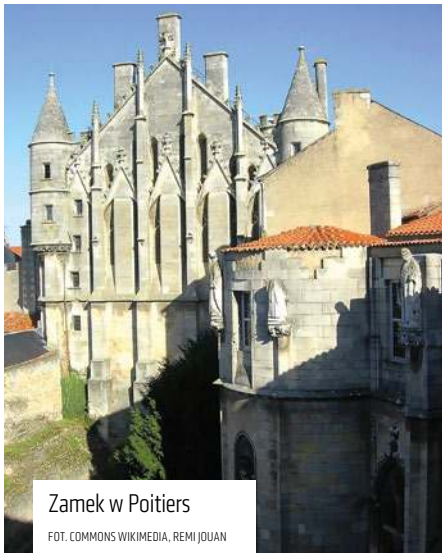
W drodze dotarła do nich wiadomość, że Ludwik VI zmarł. Stało się to zresztą w czasie modlitwy, gdy dziękował Bogu, że przyszłość jego syna została tak dobrze zabezpieczona. Tym samym zaledwie kilka miesięcy po śmierci ojca Eleonora została nie tylko panią Akwitanii – jej dziedzictwo mimo ślubu pozostawało jej własnością – lecz także królową Francji.

Na zamku w Poitiers

Eleonora, Aliénor, Eléanor – w jej czasach nazywano ją różnie – urodziła się w 1124 r. Jej rodzicami byli książę Wilhelm X Święty i pochodząca z hrabiowskiego rodu Aénor de Châtellerault. Dziadkiem od strony ojca był Wilhelm IX – książę, a jednocześnie poeta i trubadur, którego pieśni śpiewane były od Hiszpanii po Ziemię Świętą.

Akwitania wyróżniała się na mapie Europy. Była to zamożna kraina, gdzie ściągali artyści i uczeni z całego kontynentu, a książęta nie szczędzili na nich grosza. Eleonora wychowywała się na zamku w Poitiers, gdzie królowały poezja, muzyka, a kobiety miały zdecydowanie więcej swobody niż na innych dworach. Od najmłodszych lat Eleonory dbano o jej wykształcenie, co nie było standardem, nawet wśród wysoko urodzonych dziewcząt. Posługiwała się w mowie i piśmie przynajmniej dwoma językami: francuskim i oksytańskim, była inteligenta, lubiła czytać i słuchać trubadurskich występów. Minstrele nie szczędzili jej komplementów: przedstawiali ją jako dziewczę żywiołowe, urocze, o obliczu „godnym każdego króla" i nazywali „kwietniową królową".

Eleonora została koronowana na królową Francji w Boże Narodzenie 1137 r. Z różnych względów nie była jednak lubiana na francuskim dworze. Krytykowały ją tak znane postaci epoki, jak Bernard z Clairvaux i Suger – opat Saint-Denis i doradca francuskich królów. Czarna legenda zaczęła się jeszcze za jej za życia. Eleonorę porównywano do jej dalekiego przodka, królowej Konstancji z Arles, która ponoć niestosowanie się prowadziła. Zarzucano jej różne romanse, ale nie ma na to żadnych dowodów. Być może źródłem niechęci było po prostu jej pochodzenie (w sensie geograficznym) – ascetyczni mieszkańcy północy Francji mieli zgoła inny temperament niż południowcy. Akwitania z jednej strony uchodziła za mekkę artystów, a z drugiej za siedlisko frywolnych zabaw i rozwiązłości.



Zamek w Poitiers

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, REMI JOUAN

Zła opinia przylgnęła do Eleonory zwłaszcza po dwóch aferach: konflikcie w sprawie mianowania biskupów przez Ludwika VII i obyczajowo-politycznej historii z udziałem jej siostry.

Pierwsza afera zaczęła się w 1141 r., kiedy zmarł arcybiskup Bourges. Ludwik wyznaczył na jego miejsce swojego człowieka, jednocześnie odrzucając kandydata wybranego przez papieża i zamykając przed nim bramy miasta. Na wieść o „buncie" francuskiego króla papież Innocenty III określił go „głupim uczniem" i stwierdził, że to zapewne żona nakłoniła męża, by sprzeciwił się Rzymowi. Dla Ludwika takie insynuacje były wielką obrazą. Poprzysiągł, że kandydat papieża nie wjedzie do Bourges dopóty, dopóki on żyje. Schronienia odrzuconemu arcybiskupowi udzielił Teobald z Szampanii, z którym Ludwik był skonfliktowany.

Królowa na krucjacie

W spór z Teobaldem Eleonora faktycznie była bezpośrednio zaangażowana. Wszystko zaczęło się od ślubu siostry Teobalda z Raulem I z Vermandois, który z kolei nawiązał romans z siostrą Eleonory, Alix (Petronillą). Raul chciał uzyskać unieważnienie małżeństwa, powołując się na pokrewieństwo z żoną. Po jego stronie stanęli Ludwik i Eleonora. Król znalazł biskupów, którzy załatwili tę sprawę, a następnie pozwolili na ślub z Petronillą. Sprawa oparła się o Rzym. Teobald zwrócił się do papieża z prośbą o pomoc. Innocenty ekskomunikował wtedy Raula i Petronillę.

Konflikt trwał kilka lat. Ludwik VII próbował w tym czasie zająć Szampanię, ale bez powodzenia. W końcu kolejny papież, Celestyn II, skłonił obie strony do zaprzestania walk. Raul miał wrócić do żony.

Sprawa, w której poryw serca łączył się ze sporem terytorialnym, a dodatkowo dochodziła tu kwestia inwestytury, spowodowała, że biografia Eleonory Akwitańskiej obrosła wieloma mitami. W całej historii Francji nie zdarzyło się przecież wcześniej, aby jakaś kobieta, nawet królowa, tak dalece ingerowała w politykę...

eprasa.pl f4b9c5462d

Ten epizod ciążył, choć w inny sposób, również Ludwikowi. Zbrodnie, których dopuściły się wojska królewskie w Szampanii, powodowały u niego wyrzuty sumienia, co skłoniło go do udziału w krucjacie. Okazja nadarzyła się, kiedy muzułmanie zagrozili księstwu Antiochii rządzonemu przez Rajmunda z Poitiers, wuja Eleonory. Krzyżowcy zebrali się w 1145 r. w Saint-Denis. Podnosząc krucyfiks, Eleonora ogłosiła wówczas, że także rusza na krucjatę.

Jedynym pozytywnym epizodem podczas tej wyprawy był pobyt w Konstantynopolu, gdzie Eleonora zrobiła wielkie wrażenie. Trudno opisać wszystkie błędy, które popełniono podczas krucjaty. Druga wyprawa krzyżowa zakończyła się porażką. Ludwik okazał się beznadziejnym dowódcą, a do tego zaczął być coraz bardziej wrogi wobec Eleonory – zarzucał jej m.in. romans z wujem Rajmundem. W drogę powrotną do Europy małżonkowie wyruszyli na osobnych statkach, po czym dotarli do Rzymu, licząc, że papież unieważni ich związek.

Myśl o rozwodzie towarzyszyła im od dawna. Ludwik był poirytowany brakiem męskiego potomka (Eleonora, po początkowych problemach z zajściem w ciążę, w 1145 r. urodziła córkę). Eugeniusz III jednak nie tylko nie zgodził się na rozwód, lecz także nakazał małżonkom spać w jednym łóżku. Próby pogodzenia częściowo przyniosły rezultat: para poczęła drugie dziecko. Sprawa unieważnienia małżeństwa jednak wracała. Ostatecznie papież zgodził się na to w 1152 r. Córki królewskiej pary zostały pod opieką ojca, a Eleonora otrzymała na powrót pełnię władzy w Akwitanii i w pozostałych lennach.

Na tronie Anglii

Gdy związek z Ludwikiem uznano za nieważny, Eleonora od razu wyruszyła z powrotem do Poitiers. Po drodze dwa razy próbowano ją porwać. Ponownie była bogatą księżną bez męża, więc wymuszone małżeństwo znowu było realnym zagrożeniem.

Kiedy księżna dotarła do rodzinnego zamku, od razu odwołała wszystkie edykty Ludwika VII, zastępując je własnymi prawami. Jedną z jej pierwszych inicjatyw było napisane listu do księcia Andegawenii, Henryka Plantageneta, którego poznała na paryskim dworze. Już wtedy plotkowano, że ma z nim romans.



Ślub Eleonory Akwitańskiej z Ludwikiem VII. Poniżej: Ludwik VII

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BNF GALLICA



Henryk był młodszy od Eleonory o dziewięć lat. Władał ziemiami leżącymi na północ od Akwitanii, więc małżeństwo z nim zabezpieczałoby dobra księżnej od północy. Henryk był idealnym kandydatem na męża i dawał szansę na spłodzenie dziedzica. Po otrzymaniu listu z propozycją małżeństwa książę niezwłocznie przybył do Poitiers. Ślub odbył się zaledwie osiem tygodni po rozwodzie z Ludwikiem – w maju 1152 r. Była to na tyle skromna uroczystość, że dla odmiany Eleonorę krytykowano wtedy nie za nadmierną strojność, lecz za zbytnią prostotę. Małżonkowie nie chcieli jednak nadawać zaślubinom rozgłosu, bojąc się, że król Francji i były mąż Eleonory, Ludwik VII, będzie próbował zablokować mariaż.

Takie zagrożenie jak najbardziej istniało. Ludwik bowiem, kiedy dowiedział się o ślubie, wpadł we wściekłość. Henryk Plantagenet był jego rywalem – jako potężny wasal, a także jedna z osób mających (podobnie jak Ludwik) prawo do sukcesji w Anglii. Ludwik ogłosił, że skoro Eleonora wstąpiła w kolejny związek bez konsultacji z nim, to on nie zrzeknie się tytułu księcia Akwitanii. Jednocześnie król zaczął wojnę, najeżdżając ziemię Henryka – Normandię.

Konflikt nie trwał długo. Henryk odparł królewskie wojska. Niedługo później wyjechał do Anglii, chcąc zabezpieczyć dla siebie angielską koronę. W 1153 r. podpisano traktat westminsterski kończący długi konflikt zwany anarchią. Rok później Henryk został koronowany na króla Anglii jako Henryk II. Eleonora była wtedy przy nim, choć nie wiadomo, czy ją także namaszczono na królową. Być może uznano, że ceremonia nie jest konieczna, gdyż Eleonora była już raz koronowana. Nominalnie była jednak królową Anglii i tak do końca życia się podpisywała.

Bunt synów

Henryk większość czasu spędzał na kontynencie. Eleonora niekiedy mu towarzyszyła, choć częściej przebywała w Londynie, pełniąc rolę regentki. Małżeństwo z Henrykiem także nie dało jej szczęścia, jednak para doczekała się aż ośmiorga dzieci. Mąż jawnie zdradzał żonę, uznając kolejne nieślubne dzieci za swoje. Zdaje się, że Eleonora zaakceptowała niewierność męża. Zdrady Henryka nie wpływały zresztą na politykę – w tych sprawach oboje dobrze się dogadywali. Dużą pociechą dla Eleonory były też dzieci. Wiedziała, że synowie obejmą po niej akwitański, a po ojcu angielski tron. Jej ulubieńcem był Ryszard Lwie Serce – w nim pokładała największe nadzieje.

Pożycie z Henrykiem stawało się coraz trudniejsze. Częste i długie rozstania sprawiły, że w 1167 r. Eleonora zdecydowała o powrocie do Poitiers. Po latach zajmowania się sprawami Anglii królową na powrót wciągnęły problemy Akwitanii. Pod jej rządami dwór odżył na nowo.

W tym czasie wśród synów królewskiej pary narastał bunt. Chociaż Henryk obdzielił ich częścią terytoriów, to najstarszy żyjący syn, Henryk Młody, pragnął angielskiej korony i nie zamierzał z tym czekać do śmierci ojca. Starszego brata poparli Godfryd i Ryszard Lwie Serce. Bunt podsycał król Francji Ludwik VII, który był teściem Henryka Młodego, a jednocześnie wciąż pamiętał

eprasa.pl f4b9c5462d



Opactwo w Fontevraud

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PIERRE MAIRÉ, PIXAILE.COM

porażkę, której doznał z rąk Henryka II. Dla francuskiego władcy kłótnie wśród Plantagenetów były świetną okazją do wzmocnienia własnej – zresztą niezbyt mocnej – pozycji.

Za synami ująć się miała Eleonora, choć jej udział w spisku przeciwko Henrykowi II pozostaje nie do końca jasny. Kronikarze zarzucali jej snucie intryg, lecz być może już wcześniej byli do niej uprzedzeni. Ponadto królowa raczej musiała mieć jakiś związek z buntem, gdyż w 1173 r. mąż kazał ją aresztować i osadził w nieznanym miejscu, aby nie mogła wpływać na synów i swoich wasali.

Przez kolejne 15 lat Eleonora Akwitańska była przetrzymywana z rozkazu Henryka II w wielu różnych miejscach odosobnienia. Więzienia często zmieniano z obawy, że ktoś mógłby ją uwolnić. Półtorej dekady w zamknięciu pokazało, jak silną osobą była Eleonora. Choć nierzadko otrzymywała głodowe porcje i tygodniami nie miała się do kogo odezwać, to nie straciła hartu ducha – a trzeba pamiętać, że miała już ponad 50 lat, czyli jak na ówczesne realia była kobietą w zaawansowanym wieku.

Okup za syna

Sytuacja zmieniła się w 1189 r., gdy zmarł Henryk II. Następcą tronu został Ryszard Lwie Serce. Jego pierwszą decyzją było uwolnienie matki. Eleonora jakby na nowo się narodziła, w niepamięć poszły lata niewoli. Królowa odzyskała władzę i chciała rządzić. Miała ku temu sposobność: Ryszard niespecjalnie nadawał się na monarchę, sprawami Anglii się nie interesował i niemal nie przebywał na Wyspach. Rządy sprawowała więc de facto królowa matka. Pełnię władzy zyskała, kiedy Ryszard wyruszył na krucjatę. Eleonora próbowała odwieść go od tego pomysłu, podsuwając różne kandydatki na żonę. Ryszard unikał jednak tematu małżeństwa i nie wykazywał zainteresowania kwestią spłodzenia potomka, czym bardzo Eleonorę irytował. W końcu, pozostawiwszy rządy nad Anglią w rękach młodszego syna, Jana bez Ziemi, sama wyprawiła się po narzeczoną Ryszarda, Berengarię z Nawarry, i wraz z nią ruszyła za Ryszardem, zmuszając go do ślubu (odbył się on na Cyprze w maju 1191 r.).

Pół roku później Eleonora wróciła do Akwitanii, a stamtąd wyruszyła do Anglii. W tym czasie głównie łagodziła spory pomiędzy królem Francji a swymi synami oraz angielskimi możnymi i Janem. Już w Anglii dotarły do niej wieści o uwięzieniu Ryszarda, który wracając z krucjaty, dostał się do niewoli księcia Austrii, Leopolda V i został wydany cesarzowi Henrykowi VI. Za jego uwolnienie żądano wysokiego okupu i hołdu lennego. Eleonora osobiście zaangażowała się w zbieranie okupu, po czym sama wyruszyła do Spiry, wiozac pieniądze. W marcu 1194 r. wróciła z Ryszardem do Londynu.

Pobyt na Wyspach trwał krótko. Ryszard na nowo zaczął walczyć z królem Francji. Eleonora zamieszkała w tym czasie w opactwie Fontevraud. W 1199 r. była przy umierającym Ryszardzie, który odniósł w czasie bitwy śmiertelne rany. Po jego zgonie natychmiast nakazała przebywającemu w Normandii Janowi wrócić do Anglii i zabezpieczyć ziemie brata. Sama wybrała się jeszcze na objazd swych francuskich posiadłości, zyskując poparcie dla Jana, który miał zostać jej spadkobiercą. W tym czasie doprowadziła jeszcze do ślubu swej wnuczki Blanki Kastylijskiej z następcą tronu Francji, Ludwikiem VIII. Jednocześnie zajmowała się gruntowną przebudową swego rodzinnego zamku w Poitiers, który zyskał zupełnie inny, znany do dziś wygląd.

Eleonora niemal do końca swego długiego życia była aktywna. Zmarła w Fontevraud 31 marca lub 1 kwietnia 1204 r. Pochowano ją między synem Ryszardem I a mężem Henrykiem II. Grobowiec Eleonory Akwitańskiej jest nietypowy. Nie dziwi, że królowa została uwieczniona jako młoda kobieta – był to częsty zabieg. Ciekawsze jest to, że rzeźbiarz ukazał ją czytającą, z otwartą książką trzymaną w dłoniach, jakby tylko na chwilę przymknęła oczy ze znużenia. Eleonora wybijała się na tle epoki, co podkreślono nawet po jej śmierci.



Sarkofag Eleonory Akwitańskiej i Henryka II Plantageneta, opactwo w Fontevraud

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ELANORGAMGEE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



FOT. IPN, BIBLIOTEKA NARODOWA/12 KREDEK

1918–2015 / Czesław Blicharski

Tarnopolski wszechświat



Piotr Włoczyk

Poświęcił życie, by opowiadać kolejnym pokoleniom Polaków o swoim ukochanym Tarnopolu i kresach południowo-wschodnich. Liczne prace Czesława Blicharskiego, w tym jego opowieść o gehennie przeżytej w Związku Sowieckim, to niezwykłe świadectwo najszczerszego patriotyzmu

Czesław Blicharski jeszcze przed wojną doskonale zdawał sobie sprawę z tego, czym był Związek Sowiecki – urodził się i wychował w Tarnopolu, ledwie 30 km od granicy z ZSRS.

– W czasie głodu chłopi ukraińscy przechodzili przez granicę po ziarno i opowiadali o tym, co się u nich dzieje. Poza tym miałem w pamięci obrazy z książek Sergiusza Piaseckiego i Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego – powiedział podczas rozmowy ze mną w 2014 r., nieco ponad rok przed swoją śmiercią.

Gdy jednak trafił do łagru, nawet najgorsze wyobrażenia nie były bliskie rzeczywistości.

– Okazało się, że Europejczykowi nie sposób było sobie wyobrazić takie miejsce. To było przedpiekle – mówił Blicharski (rocznik 1918), tłumacząc, co było najgorsze. – Przede wszystkim wyniszczająca praca w zimnie i o głodzie. Coś niewyobrażalnego. Z dzisiejszej perspektywy ludziom ciężko jest zrozumieć wycieńczenie, które było dla nas codziennością.

Jeszcze do niedawna student prawa na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, teraz harujący na mrozie w łachmanach, z kawałeczkiem chleba zamiast obiadu, wiecznie zagrożony atakiem ze strony współwięźniów lub strażników.

– Ciężko opisać wrogość, z którą spotkaliśmy się w łagrze. Byliśmy otoczeni przez pełną nienawiści masę. Nas było ok. 20, a ich całe morze. Przed wybuchem wojny sowiecko-niemieckiej często zdarzało się, że setki ludzi obserwując, jak nasza polska brygada wychodzi w zwartej kolumnie do pracy, śmiały się, krzycząc jednocześnie: „Polsza nastupaje na Germańca!" – wspominał mój rozmówca.

Na Węgry!

Czesław Blicharski trafił do łagru na północy ZSRS, ponieważ chciał dołączyć do Armii Polskiej we Francji. W kwietniu 1940 r., tuż przed atakiem III Rzeszy na Francję, wraz z trzema braćmi próbował się przedrzeć na Węgry ze swojej „małej ojczyzny", zajętej pół roku wcześniej przez Sowietów. Czterej bracia szli nocami, brodząc w głębokim śniegu, przedzierając się przez lasy, byle dalej od ludzi. 27 kwietnia Blicharscy przeszli nocą przez dwie bariery z drewnianych

eprasa.pl f4b9c5462d



Czesław Blicharski (siedzi z lewej) z kolegami, po wyjściu z łagru

FOT. CENTRUM DOKUMENTACJI CZYNU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

kloców. Stwierdzili, że są już bezpieczni u „bratanków". Pod datą 28 kwietnia 1940 r. Czesław Blicharski zanotował w swoich zapiskach:

„Nie spieszyliśmy się, choć kiszki marsza grały. Byliśmy przecież za granicą, czyli u celu naszej wędrówki. To nam mówiła mapa. Gdy trochę podsuszyliśmy się, wyruszyliśmy w dalszą drogę. Ożywiły się nasze rozmowy, postanowiliśmy odbić się od granicy, by nie wpaść w ręce straży węgierskiej, a dotrzeć do jakiejś miejscowości i tam oddać się w ręce policji. Po pewnym czasie wyszliśmy z lasu na dobrze utrzymany gościniec. Minęliśmy jakiś słup z wielką czerwoną literą »C«. Wacek uważał go za dowód, że jesteśmy za granicą. Ja znalazłem kawałek rosyjskiej gazety i wieczko z pudełka papierosów pod nazwą »machorkowe«. Ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że nie wszystko jest tak, jak się to wydaje Wackowi. Może nie mam racji? W tym momencie zza zakrętu drogi, na parę kroków przed nami, wychodzi na nas patrol sowieckich pograniczników".

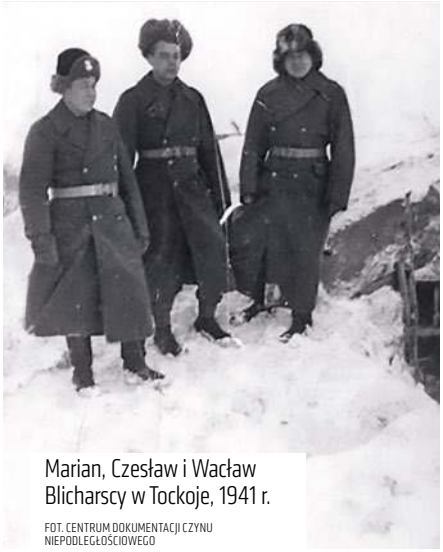
Młodzi mężczyźni wiedzą już, że to koniec. Pada komenda „Ruki w wierch", trafiają za kratki i zaczynają się niekończące się przesłuchania. Potem pociąg z wagonami bydlęcymi i jazda na Wschód, wraz z innymi aresztowanymi Polakami. Jeszcze 14 lipca 1940 r. los pozwoli mu ostatni raz spojrzeć na ukochany Tarnopol, gdy pociąg wtoczy się na stację. Traf chciał, że obok wagonu stanął znajomy kolejarz (ojciec braci Blicharskich pracował na kolei) i Czesław wyrzucił pod jego nogi przygotowaną wcześniej kartkę z wiadomością dla rodziny. Mężczyzna podniósł ją i odszedł. W niedługim czasie pociąg ruszył dalej na Wschód…

30 sierpnia 1940 r. Czesław Blicharski usłyszał wyrok za „szpiegostwo". Jego reakcja była iście filmowa, ale absolutnie nie chodzi tu o tragizm.

– Oficer NKWD, który odczytał wyrok, spytał, czy mam coś do powiedzenia i czy będę apelował. Uśmiechnąłem się tylko, powiedziałem, że nie, i podpisałem leżący przede mną papier. Gdy potem cała nasza polska grupa skazańców wracała do celi, co chwilę wybuchaliśmy śmiechem. Pamiętam, że strażnik, widząc nasze zachowanie, machnął na nas ręką, mówiąc: „Sowsiem zdurli Polaczki" – opowiadał Czesław Blicharski. Co tak śmieszyło młodych Polaków, którzy zaraz mieli być wywiezieni do łagrów?

– Wszystko. Gdyby pan widział tę scenerię, te głupie gęby enkawudzistów… – kontynuował mój rozmówca. – W grupie więźniów z Polski było nas czterech braci Blicharskich. Zostaliśmy wysłani do różnych obozów, ale wszystkim nam udało się przeżyć łagry. Gdy wydano na nas wyrok – każdy dostał po pięć lat – byliśmy młodzi i wierzyliśmy, że to tylko przejściowe kłopoty i wkrótce wyjdziemy z tego. Bez tej wiary i nonszalancji w stosunku do bolszewików nie wytrzymalibyśmy tego, co miało nas czekać przez następny rok. Wtedy, choć wiem, że brzmi to dosyć dziwnie, niemal śpieszyło nam się do łagrów. Chcieliśmy po prostu jak najszybciej mieć to za sobą.

Zanim wysłano mnie do obozu, w sowieckich więzieniach przesiedziałem ponad cztery miesiące. Przez ten czas nasłuchałem się o łagrach najróżniejszych rzeczy. Jedni więźniowie opowiadali nam o tym, jak tam się zdycha, inni – że wcale nie jest tam tak źle.



Marian, Czesław i Wacław Blicharscy w Tockoje, 1941 r.

FOT. CENTRUM DOKUMENTACJI CZYNU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

Gnijące ciało

Okazało się jednak, że nic nie było w stanie przygotować Czesława Blicharskiego na zderzenie z rzeczywistością GUŁagu.

– Żaden z nas – braci Blicharskich – nie miał zawodu. Byliśmy studentami, a najmłodszy z nas był licealistą. Trzeba było coś wymyślić, gdy padnie pytanie o zawód. Mnie przyszło do głowy, że podam się za cieślę. Bardzo szybko wyszło jednak na jaw, że nie mam zielonego pojęcia o tego typu pracy. W związku z tym wysłano mnie do zwyczajnej roboty: kopania rowów i rżnięcia drewna – opowiadał Czesław Blicharski. – Jeżeli brygada nie wyrobiła 100 proc. normy – my nigdy jej nie wyrabialiśmy – to nie dostawało się 800 gramów chleba, tylko 300. Komuś, kto nie widział tamtego chleba, może się to wydawać całkiem sporo – w końcu bochenek białego chleba waży 500 gramów. Ale tamten czarny chleb był bardzo mokry – w związku z tym 300 gramów to była jedna gruba kromka. Rano dostawaliśmy chleb, a po powrocie z pracy czekała na nas cieniutka zupka, właściwie ciepła woda.

Jedyną sensowną odpowiedzią więźnia na takie warunki było oszczędzanie energii i tak umiejętnie dobrane tempo pracy, by nie podpaść strażnikom. Jednak nawet ta strategia przetrwania może się skończyć załamaniem zdrowia. I tak też stało się w przypadku mojego rozmówcy.

– Cierpiałem z powodu egzemy. Po prostu gniło mi ciało. Poza tym dopadła mnie kurza ślepota i miałem bardzo opuchnięte nogi, ponieważ serce nie wytrzymywało tych warunków. Byłem ludzkim wrakiem – relacjonował były więzień łagru. W tej krytycznej sytuacji pojawiła się jednak deska ratunku: – Sowieci mieli w łagrach coś w rodzaju komisji zdrowotnych, które badały więźniów, czy przypadkiem celowo nie unikają pracy. Również ja stanąłem przed taką komisją. Badał mnie pewien lekarz z Moskwy. Później się dowiedziałem, że został on wysłany do pracy w łagrach

eprasa.pl f4b9c5462d

za zamordowanie swojej wiarołomnej żony. Gdy zobaczył, w jakim stanie byłem, przepisał mnie do tzw. słabosiłki. Wykonując lżejsze prace, człowiek mógł stanąć trochę na nogi. Dostawałem więcej chleba, gęstszą zupę, no i nie marzłem. Po miesiącu nieco odżyłem.

Tuż przed niemieckim atakiem na ZSRS Czesław Blicharski został przeniesiony, wraz z innymi więźniami, dalej na wschód – spod Archangielska aż pod Workutę. 23 czerwca, dzień po rozpoczęciu operacji „Barbarossa", więźniów obozu Workuta-Bolszaja Inta obudził świst kul. To Łotysze wszczęli bunt na wieść o niemieckim ataku, jednak załoga obozu szybko zapanowała nad sytuacją, zabijając kilku więźniów.

Polscy więźniowie łagru w październiku 1941 r. usłyszeli od „striełków" (strażników), że zostaną wkrótce zwolnieni na mocy układu Sikorski-Majski. Polacy zostali umieszczeni w specjalnym baraku, jednak wcale nie oznaczało to, że mogą się już czuć bezpieczni.

– Pewien oficer NKWD ostrzegł nas przed wychodzeniem w nocy do latryny. Żulicy [obozowi kryminaliści – przyp. red.] do ostatniej chwili nie dawali nam spokoju. Jeden z naszych wyszedł sam w nocy do latryny. Ktoś go tam utopił i zabrał dokument zwalniający z obozu. W nocy wystawialiśmy w baraku wartę, a w dzień wychodziliśmy jedynie w zorganizowanej grupie – opowiadał Czesław Blicharski. – „Striełok" wyprowadził nas z obozu 8 października w nocy, kiedy wszyscy spali. Nasz konwojent cały czas się oglądał za siebie, czy nie lecą za nami inni więźniowie. Czułem wielką ulgę, opuszczając to przedpiekle, ale jednocześnie szkoda mi było tych, którzy zostali za drutami. Ponad miesiąc zajęło mi wydostanie się z ZSRS. Potem przez Persję, Bombaj i Kapsztad dotarłem do Szkocji, gdzie dołączyłem do naszego wojska. W ten sposób dokończyłem wyprawę, którą 28 kwietnia 1940 r. przerwali mi sowieccy pogranicznicy.

Archiwum z serca

W 1956 r. Czesław Blicharski wrócił do Polski (po wojnie najpierw osiadł w Wielkiej Brytanii, gdzie dokończył studia, a potem przeniósł się na kilka lat do Ameryki Południowej). Ponieważ jego „mała ojczyzna" znalazła się po sowieckiej stronie granicy, zamieszkał na Śląsku. Mimo że był świetnie wykształcony i znał języki obce, z powodu swojej „przeszłości" miał problem ze znalezieniem pracy odpowiadającej jego kwalifikacjom.

Patrząc na dzieła jego autorstwa, które dotyczą Tarnopola, można odnieść wrażenie, że Czesław Blicharski niemal cały swój wolny czas poświęcił na zbieranie okruchów pamięci po swoim ukochanym mieście. „Dla mnie Tarnopol



Prezentacja książki Czesława Blicharskiego „W służbie mojej Małej Ojczyźnie Tarnopolem zwanej"

FOT. JWDYS/WIKIPEDIA/CC BY-SA 4.0

to był nie świat, ale wszechświat. Dopiero po tym, jak człowiek został wyrwany z tego miasta, rzucony w wir zdarzeń, to miasto nabierało jeszcze większego, symbolicznego znaczenia" – mówił po latach w rozmowie z PAP.

Czesław Blicharski wraz ze swoją żoną Kazimierą stworzył całe archiwum dotyczące Tarnopola. Pieczołowicie zbierał dokumenty, fotografie i relacje jego mieszkańców rozsianych po wojnie po całym świecie. A ponadto sam pisał. Efektem jest m.in. bardzo ciekawa autobiografia pt. „Tarnopolanina żywot niepokorny". Mimo że narracja jest tu typowo chronologiczna, książkę czyta się doskonale, bo autor wiedział, jak ciekawie opowiedzieć nawet najprostsze historie. Weźmy choćby fragment dotyczący wyjątkowego dnia w mieszkaniu przy ul. Puntscherta 28 w Tarnopolu: „Krzyk, a może płacz mój, który rozległ się w tym domu 5 lipca 1918 roku, był sygnałem przełamania złej passy, był krzykiem zwycięstwa życia nad śmiercią. Tak odebrała matka moje narodziny po stracie dwóch moich poprzedników, o czym dowiedziałem się dopiero po moim przyjeździe z wojny do kraju w 1956 roku, kiedy przełamała panieński wstyd, który w dziwny sposób towarzyszył jej do późnych lat jej życia. Z dziećmi nie rozmawiało się na te tematy. Wraz z moim urodzeniem ojciec utwierdził wśród kolejarzy swój przydomek »męskiego krawca«. Byłem przecież piątym męskim potomkiem. Ta sława mołojecka naszego ojca miała się kiedyś odezwać nostalgicznym echem, gdy czterech jego synów trafiło do sowieckich łagrów, a on skarżył się, że chłopców nie ma i że nie założył zakładu krawieckiego".

Autor „Tarnopolanina..." pochodził z tak patriotycznego domu, że jego ojciec gotów był za Polskę nawet zranić się siekierą. Gdy w listopadzie 1918 r. ukraińscy nacjonaliści przejęli władzę w Tarnopolu, zażądali od kolejarzy podpisania deklaracji lojalności wobec Ukrainy. Michał Blicharski odmówił, a gdy Ukraińcy naciskali i grozili represjami, „dla świętego spokoju, przy rąbaniu drzewa »pozwolił« siekierze zranić się w nogę, tak że potrzebna była hospitalizacja". I w ten oto sposób polskiemu kolejarzowi udało się przetrzymać okres ukraińskiej władzy nad Tarnopolem bez zhańbienia swojego nazwiska.

W 2010 r., w wieku 92 lat, Czesław Blicharski przekazał krakowskiej Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego swoje gromadzone od początku lat 70. archiwum tarnopolskie, liczące ponad 30 metrów bieżących dokumentów, w tym ponad 4 tys. unikatowych fotografii z wieków XIX i XX. Jak podkreślał w trakcie tej uroczystości, gromadzenie pamiątek o swoim ukochanym mieście uważał za służbę.

„Tarnopol jest symbolem. Gdy państwo wejdziecie w historię tych ziem, tych ludzi stojących od prawie tysiąca lat na straży zachodniej kultury, może nie tej obecnej, ale tej prawdziwej, która nas przyjęła, zobaczycie, że w obronie tej kultury lała się krew, płonęły zamki, ginęli zagończycy, chyba nie po to, żeby zapomnieć" – mówił tarnopolanin niepokorny. Czesław Blicharski odszedł 10 lat temu, ale dzieło jego życia cały czas jest na wyciągnięcie ręki – korzystajmy z tego i nie zapominajmy o polskim Tarnopolu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl f4b9c5462d

XX w. / W ogniu rewolucji



Barykada podczas walk w Berlinie, 12 lutego 1919 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Czerwona fala w Berlinie



Arkadiusz Karbowiak

Na przełomie lat 1918 i 1919 Niemcy ogarnęła rewolucyjna gorączka. Siły rządowe gotowe były użyć najbardziej brutalnych metod, by stłumić rebelię

To była zupełnie inna rewolucja niż bolszewicki zamach stanu. W 1918 r. w Niemczech wybuchła rewolta, która ani nie była zamierzona, ani też nie była inspirowana przez jakąkolwiek strukturę polityczną. Jej erupcja nastąpiła spontanicznie 3 listopada 1918 r. w Kilonii. Był to efekt sprzeciwu załóg marynarskich wobec rozkazu ataku na flotę brytyjską wydanego przez szefa sztabu Kaiserliche Marine, adm. Reinharda Scheera (rozkaz był sprzeczny z intencjami rządu Rzeszy, który zabiegał o rozejm z aliantami).

Fala rewolucyjna z Kilonii rozlała się po całych Niemczech, docierając 9 listopada także do Berlina. W stolicy Niemiec, głównie z inicjatywy działaczy organizacji Revolutionäre Obleute, ukonstytuowała się Rada Robotnicza i Żołnierska. Na czele 28-osobowej Rady Wykonawczej RRiŻ Berlina, składającej się z 14 bezpartyjnych żołnierzy i po siedmiu przedstawicieli robotników wywodzących się z USPD (Unabhängige Sozialdemokratische Partei Deutschlands) i MSPD (Mehrheitssozialdemokratische Partei Deutschlands), stanął Richard Müller.

W dniu wybuchu rewolucji kanclerz Maximilian von Baden, widząc, że nie ma innego wyjścia, ogłosił publicznie detronizację cesarza (choć sam Wilhelm II, który 10 listopada udał się na emigrację do Holandii, formalnie zrzekł się korony dopiero 28 listopada 1918 r.). Władzę kanclerską książę przekazał w ręce Friedricha Eberta, lidera największej partii.

Tego samego dnia ok. godz. 14 wiceprzewodniczący MSPD Philipp Scheidemann pojawił się na balkonie Reichstagu i ogłosił powstanie republiki. Nowy ośrodek rządowy występował pod nazwą Rady Pełnomocników Ludowych (RPL). W jej skład weszło trzech przedstawicieli MSPD oraz trzech delegatów z USPD. Przewodniczącym rady został socjaldemokrata Friedrich Ebert. Za jeden z najważniejszych celów politycznych uznał on niedopuszczenie do pogrążenia się państwa niemieckiego w odmętach rewolucji. Zupełnie inny pogląd w tej materii mieli jednak przywódcy lewicowej frakcji USPD, wychodzący z założenia, że stan rewolucyjnego wrzenia jest dla nich korzystny.

eprasa.pl f4b9c5462d



Proklamacja republiki, Berlin, 9 listopada 1918 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA. NATIONAL ARCHIVES AT COLLEGE PARK – ARCHIVES II

Podobnie patrzyli na ten problem znajdujący się na jeszcze bardziej skrajnych pozycjach lewicowych liderzy Związku Spartakusa. Przejęcie władzy wiązali oni z uprzednim zrewolucjonizowaniem społeczeństwa i przekonaniem go do swoich postulatów. Te dające się zauważyć rozbieżności celów prędzej czy później musiały doprowadzić do konfrontacji, tym bardziej że zapalnym tematem było wojsko. USPD zainteresowana była zachowaniem zdobyczy rewolucyjnych w postaci rad robotniczych i żołnierskich, co miało zaowocować reformą wewnętrzną i demokratyzacją armii. Tymczasem Ebert jeszcze 9 listopada 1918 r. uzgodnił z kwatermistrzem OHL (Oberste Heeresleitung – naczelnego dowództwa armii niemieckiej) gen. Wilhelmem Groenerem, że armia nie będzie podlegać procesom demokratyzacyjnym. Generał Groener ze swej strony zagwarantował przyszłemu prezydentowi, że wojsko będzie bronić rządu, który 9 listopada przejął ster władzy w państwie.

Przesilenie

Pogłębiające się wewnątrz RPL napięcia z końcem roku 1918 doprowadziły do rozpadu koalicji MSPD-USPD. W połowie grudnia komendant wojenny Berlina Otto Wels z MSPD, nie będąc pewny posłuszeństwa marynarzy z Volksmarinedivision sympatyzujących jego zdaniem z USPD i spartakusowcami, podjął kroki w celu zmniejszenia liczebności jednostki do 600 żołnierzy i dyslokowania jej poza teren miasta. Ponieważ marynarze nie chcieli się podporządkować Welsowi, ten wstrzymał im wypłatę żołdu. 23 grudnia doszło do przesilenia. Tego dnia marynarze przekazali klucze do budynków, w których stacjonowali, Emilowi Barthowi, członkowi RPL z lewicowej frakcji USPD. Ponieważ ten krok, poparty sugestią Bartha, nie skłonił komendanta miasta do wypłaty zaległego uposażenia, marynarze otoczyli dzielnicę rządową, przejmując kontrolę nad centralą telefoniczną.

Internowany wraz z dwoma oficerami Otto Wels został pobity. Ebert wezwał oddziały wojskowe do interwencji i 24 grudnia żołnierze rozpoczęli szturm na budynek, w którym przebywali marynarze. Kilkugodzinne walki kosztowały oddziały rządowe 56 zabitych i 35 rannych. Poza tym poległo 11 marynarzy, a rany odniosło kolejnych 23. Kres starciom położyły presja społeczna i wynikająca z niej decyzja Eberta. 29 grudnia, w reakcji na te wydarzenia, trzech przedstawicieli USPD zrzekło się członkostwa w RPL. Wolne miejsca zajęły osoby związane z MSPD. Jedną z nich był Gustav Noske, polityk skłonny do szybkich i zdecydowanych działań, niecofający się przed używaniem siły w celu przywrócenia porządku publicznego.

Na początku stycznia 1919 r. doszło do sytuacji, która wymagała takich posunięć. Władze MSPD – w obawie przed nielojalnym zachowaniem urzędników związanych z USPD – odwołały z funkcji szefa berlińskiej policji Emila Eichhorna, który w grudniu wspierał buntujących się marynarzy oraz był zwolennikiem współpracy USPD z Kommunistische Partei Deutschlands – KPD. Ta decyzja sprawiła, że USPD i Revolutionäre Obleute wezwały berlińczyków do rozpoczęcia 5 stycznia protestów. Ich frekwencja przeszła najśmielsze oczekiwania organizatorów, ponieważ na ulicach stawiło się kilkaset tysięcy ludzi. Zabrakło tylko planu działania i przywódcy potrafiącego wcielić go w życie...

Po kilku dniach napięcie opadło i ludzie zaczęli wracać do domów. Tymczasem Noske jeszcze 4 stycznia zabrał Eberta na tajemniczą wyprawę do oddalonego o 56 km od Berlina Zossen. Tam obaj politycy mieli okazję zetknąć się z żołnierzami jednego z pierwszych powstałych po zakończeniu pierwszej wojny światowej Freikorpsów. W jego skład wchodzili ochotnicy: oficerowie, robotnicy i studenci chętni do walki z rewolucyjnym zagrożeniem.

Człowiekiem, który witał obu liderów MSPD, był pruski oficer pochodzący z Pomorza Zachodniego, gen. Georg Maercker. Służył on jako oficer Schutztruppe podczas tłumienia powstania Herero w niemieckiej Afryce Wschodniej. Podczas Wielkiej Wojny walczył na froncie wschodnim i zachodnim, gdzie był kilkakrotnie raniony. W 1917 r. odznaczono go Orderem Pour le Mérite, a w styczniu 1918 r. objął dowodzenie nad 214. Dywizją Piechoty. Już 6 grudnia generał nakreślił swoim oficerom plan utworzenia nowej jednostki. Następnie założenia przedstawił również swemu zwierzchnikowi, gen. Kurtowi von Morgenowi, dowódcy XIV Korpusu Rezerwowego. Pierwszych wolontariuszy skierowano do Saltzkotten w Westfalii, gdzie szkolili się (lub doskonalili się) w wojskowym rzemiośle. Licząca 4 tys. żołnierzy jednostka przyjęła nazwę Freiwillige Landesjägerkorps i została podporządkowana gen. Waltherowi von Lüttwitzowi.

Bój o „Vorwärts”

Poza tą jednostką ważną rolę w walkach w Berlinie odegrał Freikorps

eprasa.pl f4b9c5462d



Zrewolucjonizowani marynarze z Kilonii

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

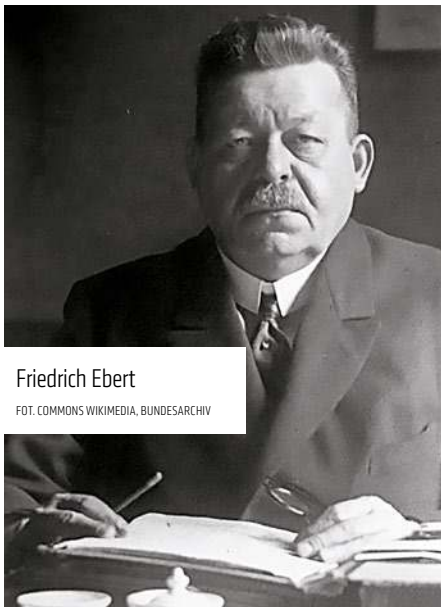
dowodzony przez płk. Wilhelma Reinhardta. Jego pododdziały w momencie wybuchu powstania Spartakusa (tak często w historiografii nazywane są styczniowe walki w Berlinie, choć działacze Związku Spartakusa stanowili niewielką, ale zdeterminowaną mniejszość sił rewolucyjnych) stacjonowały w dzielnicy Moabit, w koszarach przy Rathenower Strasse, i ochraniały budynki rządowe mieszczące się przy Wilhelmstrasse. Freikorzyści odparli atak na te obiekty przeprowadzony 6 stycznia 1919 r. Cztery dni później oddziały por. Eugena von Kessela przeprowadziły szturm na twierdzę spartakusowców – dzielnicę Spandau. Doszło wtedy do pierwszych egzekucji wziętych do niewoli rewolucjonistów.

Kolejnym obszarem odbitym z rąk czerwonych sił był Belle Alliance Platz. Zadanie to wykonał 11 stycznia Freikorps Potsdam dowodzony przez mjr. Franza von Stephaniego. Zacięte walki toczyły się o budynek gazety „Vorwärts", gdzie bronili się spartakusowcy. Ostrzelanie go z 75-milimetrowych haubic spowodowało, że na pozycjach freikorzystów pojawiła się siedmioosobowa delegacja obrońców gotowych rozmawiać o warunkach kapitulacji. Major Franz von Stephani nie zamierzał jednak prowadzić żadnych rozmów i nakazał członków delegacji rozstrzelać. Rozkaz został wykonany na dziedzińcu koszar Garde Dragon przy Belle Alliance Strasse 6. Straceni zostali wówczas m.in. znany lewicowy dziennikarz Werner Möller i były żydowski syjonista Wolfgang Fernbach. Z kolei 300 obrońców złożyło broń i trafiło do niewoli.

13 stycznia walki się zakończyły, a wspomniane Freikorpsy – wraz z utworzoną w Kilonii i dyslokowaną do Berlina marynarską „Żelazną Brygadą" płk. Emmo von Rodena oraz Freikorpsem Held, najliczniejszym Freikorpsem Hülsen, oraz Garde-Kavallerie-Schützen-Division gen. Heinricha von Hoffmanna – podzieliły między siebie miasto, utrzymując w podległych sobie dzielnicach porządek. Gustav Noske jeszcze tego samego dnia dokonał swego rodzaju triumfalnego wjazdu do Berlina, zbierając aplauz w zamożnych przedmieściach stolicy Rzeszy. Efektem walk toczonych pomiędzy 5 a 13 stycznia była śmierć 156 osób. W większości chodziło o poległych i rozstrzelanych rewolucjonistów, ale w tej liczbie zawierało się też 13 ofiar śmiertelnych po stronie freikorzystów (rannych było 20).

Eliminacja

Po opanowaniu miasta rozpoczęły się poszukiwania spartakusowskich przywódców. Na celowniku znaleźli się Karl Liebknecht i Róża Luksemburg. Oboje początkowo ukrywali się w dzielnicy Neukölln, by potem przenieść się bliżej centrum – na Mannheimer Strasse 53. Właścicielem mieszkania był Siegfried Marcusson, członek USPD; jego żona przyjaźniła się z Różą Luksemburg. Pod wieczór 15 stycznia w mieszkaniu pojawili się Bruno Lindner, Wilhelm Moering oraz trzy inne osoby – wszyscy byli członkami organizacji paramilitarnej Bürgerwehr Wilmersdorf. Ich przybycie nie było przypadkowe – był to efekt donosu. Troje zatrzymanych (trzecią osobą był Wilhelm Pieck, który przyniósł odbitkę mającego się ukazać 16 stycznia kolejnego numeru „Rote Fahne", gazety KPD) przetransportowano do hotelu Eden, gdzie mieściła się kwatera dowództwa Garde-Kavallerie-Schützen-Division. Około godz. 22 Liebknecht i Luksemburg stanęli przed obliczem kpt. Waldemara Pabsta, dywizyjnego oficera operacyjnego.



Friedrich Ebert

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV

Podczas przesłuchań liderzy komunistyczni byli bici przez żołnierzy, ponieważ najpewniej nie chcieli potwierdzić swojej tożsamości. Sytuację zmieniło znalezienie na koszuli Liebknechta wyhaftowanych inicjałów KL. W tym czasie Pabst zadzwonił do Noskego w celu otrzymania zgody na fizyczną likwidację dwojga zatrzymanych. Noske nie chciał samemu podjąć takiej decyzji, każąc dzwonić kapitanowi do dowódcy garnizonu berlińskiego, gen. Walthera von Lüttwitza. Pabst stwierdził, że nie uczyni tego, co Noske skwitował stwierdzeniem: „Wobec tego wiesz, co robić". Była to niezbyt zawoalowana zachęta do egzekucji rewolucjonistów. Tak też odczytał to Pabst.

Poprzez swojego adiutanta, kpt. Heinza von Pflugka-Harttunga, ściągnął on dowodzoną przez jego starszego brata, Kapitänleutnanta Horsta von Pflugka-Harttunga, grupę oficerów, którzy zabrali Karla Liebknechta w ostatnią podróż. Kiedy ten ostatni usiadł w aucie, dostał cios kolbą w głowę. Zamroczonego lidera niemieckich komunistów zawieziono do parku Tiergarten, gdzie kazano mu wysiąść i dalszą drogę odbyć na piechotę. Kiedy słaniający się Liebknecht szedł, Kapitänleutnant Horst von Pflugk-Hartung strzelił mu w plecy. Potem kolejne strzały oddało pięciu pozostałych oficerów. Ciało Liebknechta podrzucono następnie do placówki pogotowia ratunkowego, mieszczącej się naprzeciwko hotelu.

eprasa.pl f4b9c5462d

Nieco później niż Liebknechta wyprowadzono z hotelu Różę Luksemburg. Również i jej szeregowiec, Otto Runge, wymierzył dwa ciosy kolbą w głowę (obiecano mu za to pieniądze). Kobieta upadła, gubiąc torebkę i jednego buta. Następnie wepchnięto ją do otwartego samochodu. Po przejechaniu ok. 40 metrów ppor. Hermann Wilhelm Souchon strzelił jej w głowę, zabijając ją na miejscu. Była godz. 23.45. Ciało Róży Luksemburg wrzucone zostało do Landwehrkanal (jej zwłoki wyłowiono 31 maja 1919 r., kilka miesięcy po symbolicznym pogrzebie).

Kapitan Pabst napisał w raporcie skierowanym do swoich przełożonych, że Karl Liebknecht zginął w czasie próby ucieczki, a Róża Luksemburg została zlinczowana przez rozjuszony tłum. Oficerowie zamieszani w sprawę zabójstwa stanęli przed sądem dywizyjnym z udziałem cywilnych asesorów, jednak albo dostali symboliczne wyroki, albo ich uniewinniono. Kapitanowi Pabstowi w ogóle nie postawiono żadnych zarzutów, podobnie jak Gustavowi Noskemu.

Cena spokoju

19 stycznia 1919 r. odbyły się w Niemczech wybory, do których dążyła MSPD. Partia ta uzyskała w nich najlepszy wynik – 37,9 proc. głosów. Wraz z liberalną Deutsche Demokratische Partei (18,6 proc. głosów) i centrową Deutsche Zentrumspartei (19,7 proc. głosów) MSPD utworzyła Koalicję Weimarską, która stanowiła polityczne zaplecze dla gabinetu Philippa Scheidemanna.

W marcu 1919 r. doszło w Berlinie do kolejnej fazy zamieszek i protestów, tym razem organizowanych przez związki zawodowe. Berlińskie Rady Robotnicze, mimo że opanowane były częściowo przez MSPD, nie zapobiegły przeforsowaniu decyzji o rozpoczęciu strajku generalnego. Ogłoszono go w celu wymuszenia realizacji radykalnych postulatów (m.in. upaństwowienia części przedsiębiorstw) z okresu rewolucji 1918 r.

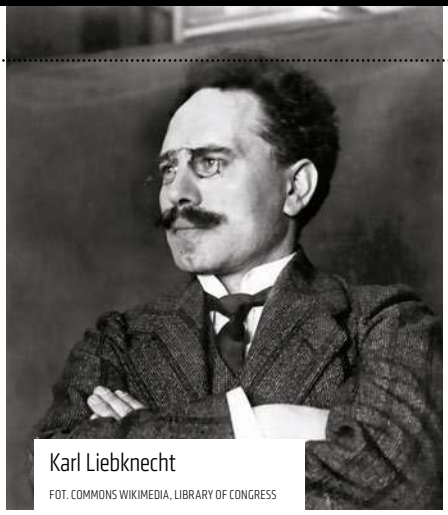
3 marca władze wprowadziły stan oblężenia, a protestujący – chcąc zaopatrzyć się w broń – zaczęli atakować posterunki policji. 4 marca do miasta wkroczyli żołnierze niezawodnych Freikorpsów. Rozpoczęły się pierwsze zbrojne starcia. Do walki po stronie antyrządowej stanęli komuniści, marynarze z Volksmarinedivision i robotnicy z Republikanische Soldatenwehr. Tym razem rząd nakazał podjęcie brutalnych działań wobec rewolucjonistów. Minister Reichswehry Gustav Noske wydał 9 marca rozkaz rozstrzeliwania rebeliantów ujętych z bronią w ręku. Było to pokłosie plotki o masakrze 60 policjantów, której mieli się rzekomo dopuścić rewolucjoniści.

Ta bezwzględność z całą mocą uderzyła w marynarzy – 29 wybranych z grupy 250 jeńców zostało zabitych. Podczas tzw. próby ucieczki zastrzelono Leo Jogichesa, jednego z przywódców komunistycznych. Generalnie w rezultacie marcowych walk i doraźnych egzekucji śmierć poniosło ok. 1,2 tys. osób po stronie rewolucyjnej i 76 freikorzystów. Była to cena, którą Niemcy zapłacili za uspokojenie sytuacji wewnętrznej w swoim kraju. Powiązana z bolszewikami, lansująca zbrodniczą ideologię KPD była bez wątpienia wielkim zagrożeniem – i to nie tylko dla Niemiec, lecz także dla reszty Europy. Tak samo byli nim Karl Liebknecht i Róża Luksemburg.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Jones N., ***„Hitler's Heralds: the story of the Freikorps 1918-1923"; Jurado C., „The German Freikorps 1918–1923"; Pomplun J., „Die Entstehung der Freikorps in der Revolution von 1918/19"***



Karl Liebknecht
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, LIBRARY OF CONGRESS

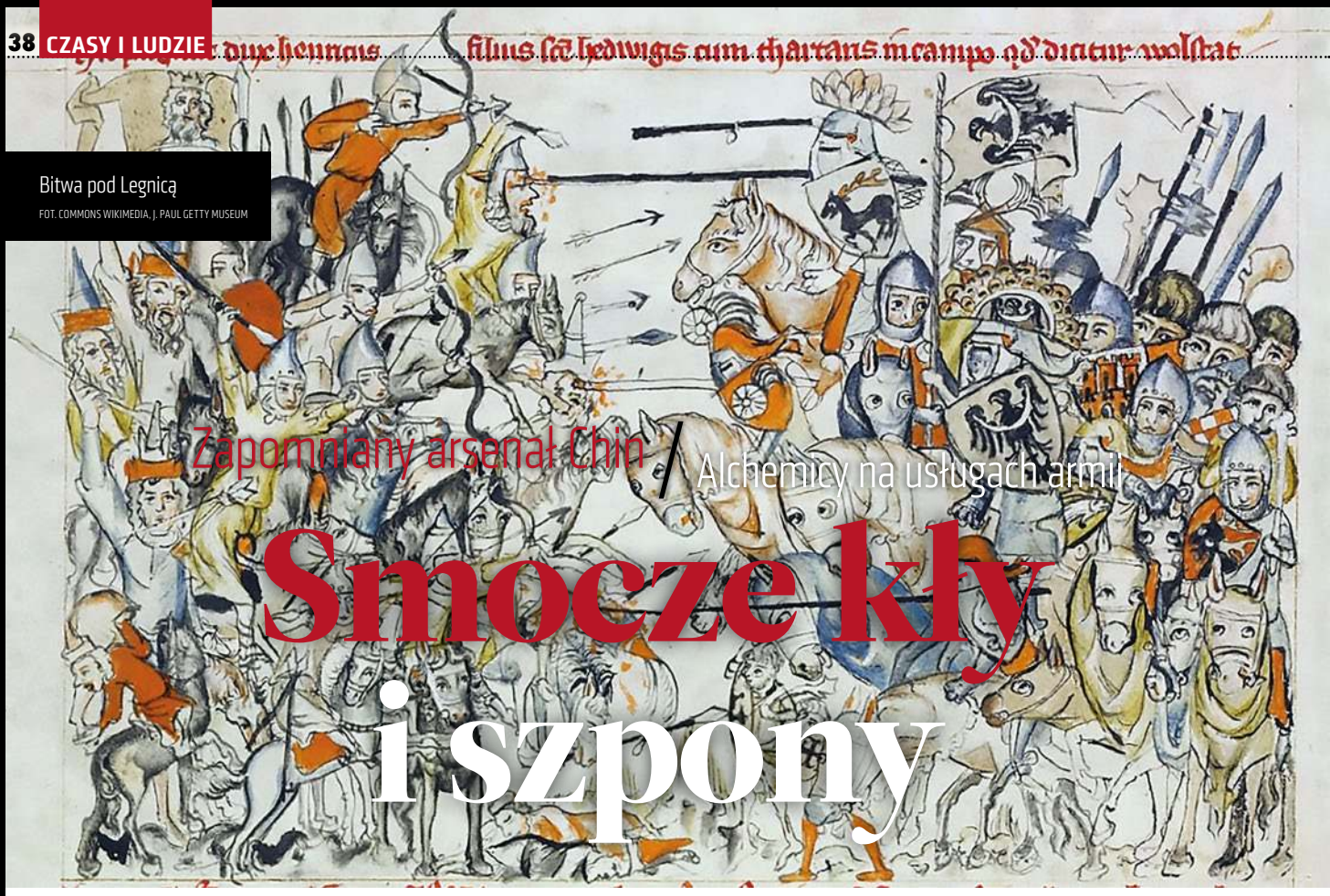


Róża Luksemburg
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Żołnierze Freikorpsu w Berlinie FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl f4b9c5462d



Bitwa pod Legnicą

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, J. PAUL GETTY MUSEUM

Zapomniany arsenał Chin / Alchemicy na usługach armii

Smocze kły i szpony



Łukasz Czarnecki

W czasach, gdy w Europie rycerze okładali się mieczami, chińskie armie strzelały rakietami i używały zabójczych gazów bojowych

W trzeciej dekadzie XXI w. Zachód z niepokojem patrzy na zbrojącą się Chińską Republikę Ludową. Co jakiś czas w mediach pojawiają się doniesienia na temat nowych technologii militarnych rozwijanych przez Chińczyków. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że w przypadku potencjalnej konfrontacji zbrojnej między wolnym światem a dalekowschodnią dyktaturą nie okaże się, że historia zatoczyła koło i wróciliśmy do punktu, w którym chińskie uzbrojenie góruje nad zachodnimi arsenałami.

A przecież taki stan był przez wiele stuleci czymś zupełnie naturalnym. Dopiero pod koniec XVIII w., wraz z początkiem rewolucji przemysłowej, Europa wyprzedziła Chiny pod względem technologii, również w aspekcie militarnym. Dobitnie pokazały to upokarzające klęski poniesione przez Cesarstwo Chińskie w trakcie dwóch wojen opiumowych z pierwszej połowy XIX w.

Szczęśliwie jednak w poprzednich stuleciach Chińczycy nie przejawiali zainteresowania Europą jako potencjalnym kierunkiem ekspansji. Gdyby bowiem w starożytności lub w średniowieczu doszło do starcia dowolnej europejskiej armii z choćby niewielkim chińskim korpusem ekspedycyjnym, wynik byłby z góry przesądzony – bitwa skończyłaby się błyskawiczną masakrą Europejczyków.

Pewien przedsmak tego, jak mogłoby to wyglądać, dostaliśmy my – Polacy – pod Legnicą w 1241 r., gdy Mongołowie wykorzystali przeciw naszemu rycerstwu niektóre z chińskich superbroni. W efekcie głowa Henryka Pobożnego, najpotężniejszego wówczas księcia dzielnicowego, skończyła nabita na mongolską włócznię.

Problem z kuszą

Przewaga dawnych Chin nad resztą świata w dziedzinie technologii militarnych sięga czasów głębokiej starożytności. Na długo przed zjednoczeniem ziem nad Rzeką Żółtą przez Pierwszego Cesarza z dynastii Qin Chińczycy dysponowali śmiercionośną bronią budzącą trwogę sąsiednich ludów. Mowa o kuszy.

Powstała ona najprawdopodobniej jako rozwinięcie koncepcji pułapki myśliwskiej – przechodzące zwierzę samo uruchamia jej prymitywny mechanizm i łuk o napiętej cięciwie wystrzeliwuje strzałę. Chińska tradycja przypisuje wynalezienie tej broni niejakiemu panu Qin z Państwa Chu, żyjącemu jakoby w VII w. p.n.e. Wybitny brytyjski badacz historii

eprasa.pl f4b9c5462d

chińskiej nauki, prof. Joseph Needham, przypuszczał, że jeśli pan Qin istniał naprawdę, to możliwe, iż tym, co rzeczywiście wynalazł, był mechanizm spustowy usprawniający kuszę, podczas gdy sama broń istniała już wcześniej. Przemawia za tym odkrycie w zeszłym stuleciu niewielkiego, przypominającego pistolet egzemplarza służącego do strzelania z dłoni. Wykonana z brązu broń ozdobiona była wzorami, które zidentyfikowano jako pochodzące z wczesnego okresu panowania królewskiej dynastii Zhou. Oznaczałoby to, że Chińczycy strzelali z kusz już w VIII, a być może nawet w IX w. p.n.e.!

W okresach Wiosen i Jesieni oraz Królestw Walczących kusza stanowiła podstawowe wyposażenie armii chińskich dynastów walczących o hegemonię. Sun Zi, autor legendarnej „Sztuki wojny", w swoim traktacie używał napiętej cięciwy kuszy jako metafory mającej zilustrować jego wywody. O broni tej rozpisywali się także będący mistrzami inżynierii wojskowej członkowie filozoficznej szkoły moistów. Na kartach ich najważniejszej księgi – „Mistrza Mo" – znajdziemy opisy zarówno klasycznych kusz przeznaczonych dla pojedynczych żołnierzy, jak i olbrzymich kusz-dział wyrzucających naraz wiele strzał.

Wyczerpujące informacje na temat konstrukcji kusz zawiera spisana w przededniu zjednoczenia Chin encyklopedia „Kronika Wiosen i Jesieni".



Sun Zi „Sztuka wojenna" z VI w., wyd. z XVIII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, VLASTA2, BLUEFOOTEDBOOBY ON FLICKR



Kusza z czasów dynasti Qin

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, DYNASTY PEOPLE

Czytamy w niej, że aby broń mogła działać skutecznie, jej mechanizm spustowy musi być wyrównany z dokładnością zbliżoną do rozmiarów ziarnka ryżu. Odkrywane przez archeologów egzemplarze rzeczywiście trzymają się tej zasady! Niedysponujący tokarkami ani innymi nowoczesnymi narzędziami chińscy rzemieślnicy byli w stanie wykonywać mechanizmy tak niesamowicie precyzyjne, że – jak wykazały próby ich rekonstrukcji – nawet dla współczesnych doświadczonych mechaników stanowią one wyzwanie. A warto wiedzieć, że kusz nad Rzeką Żółtą i Jangcy nie tworzyli z pietyzmem pojedynczy mistrzowie rzemiosła, lecz pracowały tam pełną parą całe fabryki produkujące tysiące egzemplarzy! Drugi Cesarz z dynastii Qin miał na wyposażeniu swej armii aż 50 tys. sztuk tej broni. Jednak nawet ta skala blednie przy informacji przekazanej nam przez Sima Qiana, historyka z II w. p.n.e., o współczesnym mu lokalnym (sic!) arsenale dynastii Han, w którym znajdowało się kilkaset tysięcy kusz!

Największy problem z kuszą polegał na wysiłku, który strzelec musiał włożyć w jej przeładowanie. W porównaniu z łukiem szybkostrzelność tej broni była stosunkowo niska. Na przestrzeni wieków Chińczycy usiłowali rozwiązać ten kłopot na wiele sposobów. W podręczniku wojskowości z XI w. znajdziemy technikę efektywnego działania oddziału kuszników, będącą ni mniej, ni więcej pierwszym w historii opisem taktyki kontrmarszów, która w Europie zaczęła być stosowana dopiero sześć wieków później, i to z wykorzystaniem broni palnej.

To samo stulecie stało się też świadkiem narodzin jednego z najbardziej zaskakujących wynalazków w historii wojskowości – kuszy automatycznej, czyli pierwszej na świecie broni maszynowej. Miotacz wyposażony był w samoczynnie przeładowujący się magazynek mieszczący 10 bełtów (plus bełt nałożony już na cięciwę). Po wystrzeleniu jednego broń natychmiast wypuszczała kolejny, dzięki czemu chińscy żołnierze mogli strzelać do wroga całymi seriami. Próby przeprowadzone na współczesnych rekonstrukcjach wykazały, że wyposażony w kuszę maszynową żołnierz opróżniał magazynek w ciągu 15 sekund. Broń miała mniejszy zasięg od poprzedniego modelu, ale możliwość błyskawicznego zasypania szarżującego wroga chmurą strzał (przeważnie zatrutych) niwelowała ten mankament.

Chociaż automatyczny miotacz bełtów stanowił ukoronowanie technicznego rozwoju kusznictwa, to z bliżej nieznanych powodów wyszedł z użycia u schyłku dynastii Ming. Za to samej kuszy Chińczycy pozostali wierni zaskakująco długo – znajdowała się ona na wyposażeniu oddziałów cesarskich jeszcze w trakcie wojny z Japonią w roku 1895! Tyle że wtedy budziła już nie strach, a śmiech.

Trujący oddech smoka

Bronią, która najbardziej przerażała żołnierzy kulących się w okopach pierwszej wojny światowej były gazy bojowe, a zwłaszcza iperyt, czyli gaz musztardowy. Do momentu eksplozji atomowych w Hiroszimie i Nagasaki właśnie gaz uznawany był za najbardziej śmiercionośny wynalazek XX w. Tyle że i w tej dziedzinie Zachód był daleko za Chińczykami.

Pierwsze wzmianki o broni chemicznej pojawiają się w piśmiennictwie chińskim już w IV w. p.n.e. Nie powinno nas zaskakiwać, że duże zainteresowanie tego typu orężem wykazali moiści, będący swego rodzaju wojującymi filozofami (i to nie tylko za pomocą argumentów).

eprasa.pl f4b9c5462d

W ich księgach znaleźć możemy przepis na trujący dym uzyskiwany dzięki spalaniu ziaren gorczycy, który podczas kontaktu ze skórą i drogami oddechowymi powodował takie same obrażenia jak gaz musztardowy. Autorzy traktatów poświęconych obleganiu i obronie twierdz rekomendowali ten środek jako niezawodny w zwalczaniu wrogich saperów, drążących tunele pod murami fortecy. Po zlokalizowaniu podkopu należało wprowadzić doń rury z wołowej skóry, podłączone do pieców, w których paliła się gorczyca, często wzbogacona innymi toksycznymi materiałami. Następnie kłęby trującego dymu wtłaczano do tunelu za pomocą miechów, niekiedy wspomagając się też wielkimi wachlarzami z bambusa. Skutki takich zabiegów były straszliwe. Wrodzy żołnierze ginęli w męczarniach.

Wynalezienie prochu strzelniczego umożliwiło Chińczykom nowatorskie zastosowanie broni chemicznej. Trujące ładunki można było teraz przenosić za pomocą wystrzeliwanych z katapult bomb z płonącym lontem. Gdy taki pocisk dolatywał nad linie nieprzyjaciela, eksplodował, rozsiewając duszącą mgłę. Jedną z substancji, które umieszczano wewnątrz tych ceramicznych bomb, było sproszkowane wapno – kłęby dymu oślepiały wrogie żołdactwo. W niektórych z zachowanych przepisów autorzy zalecali dołączanie ostrych odłamków metalu, tak by przeciwnik, miotając się po utracie wzroku, deptał po nich, kalecząc się.

Chińscy inżynierowie wojskowi prezentowali zatrważającą pomysłowość, jeżeli chodzi o tworzenie kolejnych odmian broni chemicznej. Nieustannie eksperymentowano z nowymi toksynami.

Na polu bitwy wykorzystywano mieszanki uzyskiwane zarówno z substancji biologicznych, jak i mineralnych. Zastosowanie znalazły nawet ludzkie odchody i suszone chrząszcze. O tym, jakiego efektu można się spodziewać po danym rodzaju trującej bomby, informowały bardzo szczegółowe opisy zawarte na kartach podręczników wojskowych. Nawet dziś przemawiają one do wyobraźni i wywołują gęsią skórkę. Przykładowo w tekście z 1606 r. czytamy „o truciźnie, która sprawia, że ciało wroga gnije do kości".



Działo z czasów dynastii Ming

FOT. WIKIMEDIA COMMONS/JIAO YU AND LIU JI

Kończąc rozważania na temat chińskiej broni chemicznej, warto wspomnieć, że zadziwiająco namieszała ona w historii… Polski! Oto bowiem według Jana Długosza pod Legnicą Mongołowie zastosowali machinę, z której „buchnęła […] jakaś gęsta para, dym i wiew tak smrodliwy, że za rozejściem się między wojskami tej zabójczej woni Polacy mdlejący i ledwo żywi ustali na siłach i niezdolnymi się stali do walki". W chwili gdy toczono katastrofalną dla polskiego rycerstwa bitwę, znaczne obszary Chin znajdowały się już pod władzą mongolską, więc zapewne w trakcie wyprawy na Polskę i Węgry hordom najeźdźców towarzyszyli chińscy specjaliści do spraw bojowego wykorzystania trucizn. Cytowany powyżej fragment „Roczników" dowodzi zatem, że pierwszymi Europejczykami mającymi kontakt z bronią chemiczną – w charakterze jej ofiar – byli niestety Polacy.

Owoc alchemii

Renesansowy angielski filozof Francis Bacon zaliczył proch strzelniczy do trzech największych wynalazków w dziejach ludzkości. Pozostałymi były kompas i druk. Uczony pisał, że ich pochodzenie okrywa mgła tajemnicy – nie był najwyraźniej świadomy, że cała ta „trójca" została wymyślona w Chinach, i to na długo, zanim zapoznali się z nią Europejczycy.

Proch z całą pewnością odmienił świat. Pytanie tylko, czy na lepsze, bo głównym zastosowaniem, które człowiek znalazł dla tej substancji, było zabijanie bliźnich. Biorąc pod uwagę setki milionów ofiar broni palnej, na ironię zakrawa fakt, że odkrycie prochu było wypadkiem przy pracy taoistycznych alchemików, poszukujących eliksiru nieśmiertelności.

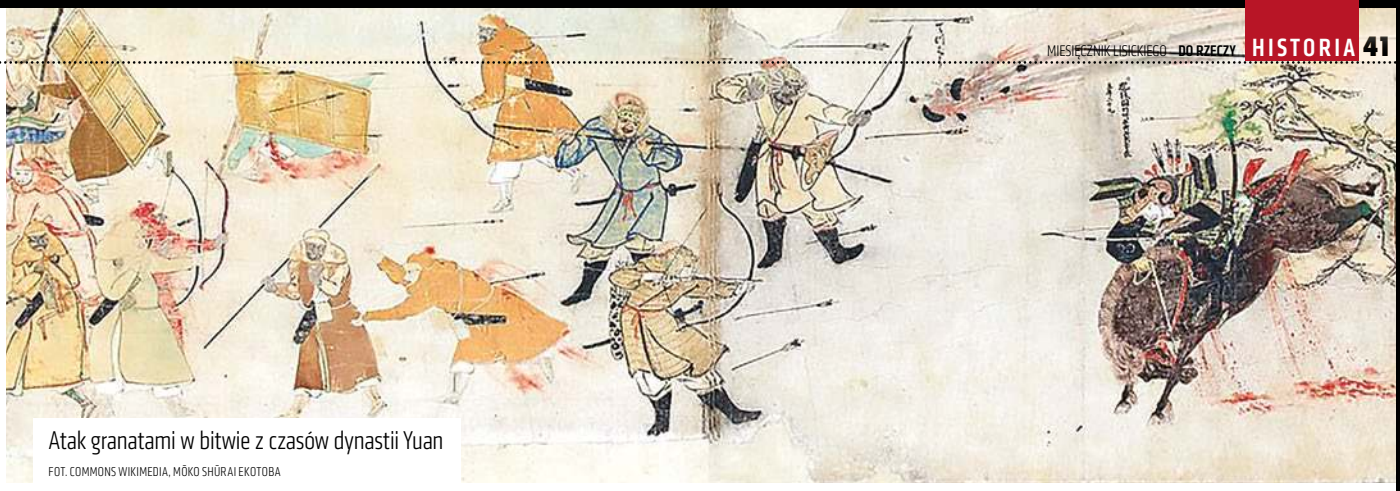
Substancje wchodzące w skład mieszanki prochowej znane były Chińczykom od czasów starożytnych. Już w II w. p.n.e. wykorzystywali oni w metalurgii i alchemii saletrę potasową, w tym samym okresie potrafili destylować siarkę z pirytu; używali też węgla drzewnego. Te trzy składniki często wykorzystywane były przez alchemików do tworzenia mikstur. W IV stuleciu n.e. mistrz Gong He użył saletry i siarki do stworzenia proszku mającego rzekomo przemieniać pospolite metale w złoto. Trzysta pięćdziesiąt lat później jeden z jego następców stworzył na bazie tych substancji kilka łatwopalnych mieszanek. Taoistyczni alchemicy byli już na progu odkrycia prochu,



Działo z XIII w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALDERMANSEVEN

eprasa.pl f4b9c5462d



Atak granatami w bitwie z czasów dynastii Yuan

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MŌKO SHŪRAI EKOTOBA

ale zaskakująco długo go nie przekraczali. Dokładna data i nazwisko mędrca odpowiedzialnego za epokowy wynalazek się nie zachowały, możliwe zresztą, że prototyp powstał niezależnie w kilku rożnych laboratoriach, i to jeszcze w sposób niezamierzony.

Przemawia za tym zresztą kontekst pierwszej źródłowej wzmianki o prochu strzelniczym. Pochodzi ona z wydanego w 850 r. anonimowego alchemicznego traktatu „Zarys tajemniczego Dao prawdziwego początku". Zawarte zostały w nim przepisy na 35 substancji o niebezpiecznych właściwościach, przed którymi autor ostrzegał innych adeptów nauk tajemnych. Wśród wymienionych preparatów znalazła się również mieszanka saletry, siarki i węgla. Mistrz z wyraźną dezaprobatą pisał o nierozważnych taoistach, którzy eksperymentując z ową substancją, wysadzali się w powietrze lub podpalali sobie brody.

Jak powszechnie wiadomo, takie przestrogi zwykle miewają skutek odwrotny do zamierzonego. I tak też się stało w tym przypadku. W 1040 r. opublikowano pierwszy znany nam przepis na proch strzelniczy z dołączonymi pomysłami praktycznego zastosowania – jako składnik bomb zapalających i toksycznych mieszanek do broni chemicznej. Początkowo proch wykorzystywano w ognistych pociskach wyrzucanych z katapult lub do produkcji zapalających strzał. Jeszcze w tym samym stuleciu, w którym pojawiła się pierwsza wzmianka źródłowa o broni prochowej, wynaleziono bombę piorunująco-uderzającą. Zawartość saletry była w niej tak wysoka, że powodowała autentyczną eksplozję.

Nowy oręż prędko zdobył uznanie chińskich wojskowych i przez następne lata był sukcesywnie rozwijany. U schyłku XII w. do użycia weszły ręczne granaty, a w przededniu mongolskiego podboju armia Południowej Dynastii Song miała na swoim wyposażeniu bomby odłamkowe. Gdy całe Chiny padły łupem wojsk Wielkiego Chana, w ręce zdobywców wpadła również ta technologia. Efektem była przykra niespodzianka, która w 1274 r. czekała na samurajów z Japonii. Zapoznali się oni z działaniem szrapneli, którymi zostali zbombardowani przez najeźdźców. Broń zrobiła na miejscowych tak duże wrażenie, że trafiła na ilustracje wydanej 19 lat później książki opowiadającej o mongolskiej inwazji. Część egzemplarzy tej książki zachowała się szczęśliwie do naszych czasów, dzięki czemu historykom znany jest wygląd owych wczesnych bomb odłamkowych.

Chińskie V–1

Innym sprytnym sposobem wykorzystania prochu strzelniczego jako narzędzia zagłady były rakiety. Początkowo technologia rakietowa służyła Chińczykom do produkcji fajerwerków. Bezpośrednim przodkiem bojowego pocisku był tzw. ziemny szczur, fajerwerk odpalany z pozycji poziomej i lecący równolegle do gruntu. Około roku 1150 jakiś pomysłowy projektant uzbrojenia doszedł do wniosku, że taką rakietę można by połączyć ze strzałą, wskutek czego poleci ona na wroga bez pomocy kuszy czy łuku.

Jego idea okazała się rewolucyjna, a kolejne generacje inżynierów wojskowych nieustannie ją rozwijały. Początkowo strzelano pojedynczymi rakietowymi strzałami, ale wydajność w zadawaniu śmierci znacznie wzrosła, gdy przerzucono się na wykorzystanie całych baterii. Najbardziej szokuje to, że w czasach, gdy w Europie zakuci w zbroje rycerze okładali się mieczami, chińscy piechurzy mieli już na swym wyposażeniu ręczne wyrzutnie rakiet, z których każda zawierała kilkanaście pocisków wystrzeliwanych jednocześnie. Jako że ładowanie było pracochłonne, opracowano lekki model z plecionki, który co prawda nadawał się tylko do jednorazowego użytku, ale z racji niewielkiej wagi każdy żołnierz mógł nieść kilka takich „bazook".

Oddział wojaków wyposażonych w ręczne wyrzutnie był już wystarczająco morderczy, ale stokroć bardziej przerażało pojawienie się na polu bitwy zorganizowanych wojsk rakietowych prowadzących średniowieczne odpowiedniki sowieckiej katiuszy – wielkie taczki, na których umieszczano obok siebie kilkaset strzał-rakiet, po czym oddawano salwę, wypuszczając wszystkie jednocześnie. Z zachowanych tekstów wiemy, że taka zabójcza machina wyposażona była zwykle w 320 pocisków. Tymczasem z okresu dynastii Ming pochodzi opis bitwy, w której trakcie cesarskie wojska wykorzystały tysiąc egzemplarzy „katiusz", jednorazowo zasypując nieprzyjaciela 320 tys. rakiet, po czym po przeładowaniu strzelały one dalej, siejąc we wrogich szeregach spustoszenie niemające sobie równych aż do początku XX w.

Wszystkie te śmiercionośne urządzenia stanowiły tylko wierzchołek góry lodowej. W arsenale cesarskich Chin znajdowało się jeszcze wiele różnych typów broni – lance ogniste, wszelkiego rodzaju armaty, miotacze ognia, miny lądowe i morskie. O poziomie starożytnej i średniowiecznej chińskiej techniki wojskowej najlepiej świadczy to, że w zainicjowanej przez Jospepha Needhama serii monografii „Nauka i cywilizacja w Chinach" poświęcono tej kwestii aż trzy tomy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Gabriel Czechowicz FOT. NAC

1929 r. / Pojedynek Marszałka z opozycją

Miliony ministra Czechowicza



Tomasz Stańczyk

Józef Piłsudski wziął na siebie odpowiedzialność za wydatki nieprzewidziane w budżecie. Wiedział, że opozycja nie ośmieli się postawić go przed Trybunałem Stanu

Pierwsze po przewrocie majowym wybory do parlamentu odbyły się w 1928 r. Obóz marszałka Piłsudskiego odniósł umiarkowany sukces. W Sejmie zasiadło 122 posłów Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, więc sporo brakowało, by miał on większość. Opozycja nie ośmieliła się wprawdzie obalić mniejszościowych rządów piłsudczyków, ale nie była zupełnie bierna. Wbrew Piłsudskiemu, którego kandydatem był Kazimierz Bartel, na marszałka izby wybrała wybitnego socjalistę – Ignacego Daszyńskiego, który oświadczył, że będzie bronił praw Sejmu.

W lutym 1929 r. parlament zmniejszył o 2 mln zł fundusz dyspozycyjny ministra spraw wojskowych, którym był Piłsudski. Marszałek bardzo się oburzył. Przybył na posiedzenie komisji budżetowej Senatu i zanim przeszedł do rzeczy, zaatakował przedmajowe budżety, twierdząc, że z tych publicznych środków finansowano „sute libacje z dziewczynkami z domów publicznych, robione dla panów posłów przez panów ministrów. »Wesołe budżety« były złotymi czasami dla panów posłów z sejmu. Z budżetu utrzymywano ich kochanki, ale utrzymywano również i partie". Co do obcięcia jego funduszu dyspozycyjnego oświadczył, że przeznaczony jest on na opłacenie pracy attaché wojskowych i na walkę z obcymi wywiadami. A „szpiegowanie jest tak gęste i tak silne w Polsce, że ja nazywam Polskę rajem dla szpiegów".

Kilka dni później, 19 lutego 1929 r., w Sejmie pojawił się wniosek PPS, PSL „Wyzwolenie" i Stronnictwa Chłopskiego o postawienie przed Trybunałem Stanu Gabriela Czechowicza, ministra skarbu za przekroczenie budżetu o 562 mln zł. Już wcześniej sprawę te usiłowała podnieść na forum Sejmu prawica, ale nie uzyskała poparcia lewicy.

Przekraczanie budżetu, wydawanie nadwyżek budżetowych i otwieranie przez rząd kredytów nie było niczym nowym. Jednak władza wykonawcza zawsze, uzasadniając konieczność wydatków, przedkładała je do zatwierdzenia

eprasa.pl f4b9c5462d

Sejmowi i taką legalizację otrzymywała. Tym razem jednak było inaczej. Najwyższa Izba Kontroli, która wykryła nieprawidłowości budżetowe (w skali dotąd niespotykanej), prosiła ministra Czechowicza o wyjaśnienia i pytała, kiedy wniesie on do sejmu odpowiednią ustawę dla zatwierdzenia nieujętych w budżecie wydatków. Czechowicz długo zwlekał z odpowiedzią, aż w końcu przyznał na posiedzeniu komisji budżetowej, że, owszem, domagał się napisana koniecznej ustawy, straszył nawet dymisją, ale jego usiłowania napotkały stanowczy opór premiera i ministrów. A premierem był wówczas Józef Piłsudski. „Byłbym nielojalny – tłumaczył się Czechowicz – gdybym wbrew opinii Rady Ministrów tę ustawę o kredytach dodatkowych przedkładał".



Rząd Kazimierza Bartla. Trzeci z lewej: Gabriel Czechowicz

FOT. NAC

Kasa na kampanię

Wzburzenie opozycji szczególnie wzbudziła jedna pozycja w pozabudżetowych wydatkach – 8 mln zł na fundusz dyspozycyjny premiera Piłsudskiego. Panowała zgodna opinia, że pieniądze te zostały wydane na kampanię wyborczą BBWR. Czechowicz spełnił polecenie Marszałka, który informował go w grudniu 1927 r.: „Sprawy państwowe zmuszają mnie do wymagania od Pana zwiększenia mojego funduszu dyspozycyjnego o 5 milionów złotych. Zechce Pan Minister przekazać tę sumę do Prezydium Rady Ministrów".

Czechowicz zastosował się do tego „wymagania", odnotowując jednak, że robi to na żądanie premiera, „mimo brzmienia artykułów 6. i 7. ustawy skarbowej na r. 1927/28". Ostatecznie na fundusz dyspozycyjny zostało przelane 8 mln zł.

20 marca 1929 r. Sejm, po zapoznaniu się z wynikami prac powołanej w poprzednim miesiącu komisji śledczej, stosunkiem głosów 240 do 126 podjął uchwałę o postawieniu Gabriela Czechowicza przed Trybunałem Stanu. Wybrał też trzech oskarżycieli, a jednym z nich był Herman Lieberman, wybitny działacz socjalistyczny. W swoim przemówieniu Lieberman powiedział o Czechowiczu: „Poddał się woli premiera, który mu drogę do Sejmu zamknął […]. Nie wolno ministrowi skarbu przemieniać się w urzędnika kasowego pana premiera". Lieberman zaznaczał, że Czechowicz przekazał premierowi pieniądze nie tylko bez ustawy, lecz także bez stosownej uchwały Rady Ministrów. I pytał retorycznie: „Czy rząd ma prawo bez ustawy wziąć pieniądze z kasy państwowej i powiedzieć: te pieniądze są tajne, z tych pieniędzy żadnych rachunków zdawać nie będę, do tych pieniędzy i do tych wydatków nikt nie ma się prawa mieszać".

Jednocześnie Lieberman, odrzucając zarzuty, że sprawa wymierzona jest w Piłsudskiego, apelował, by nie mieszać do niej Marszałka. Twierdził zresztą, że odpowiedzialność może ponosić tylko Czechowicz, bo bez woli i decyzji ministra skarbu żaden grosz nie może wypłynąć z kasy państwowej. I zaznaczał, że sprawy mogłoby nie być, gdyby Czechowicz przedłożył parlamentowi stosowną ustawę w sprawie przekroczeń budżetowych, ponieważ Sejm nigdy nie odmawiał zaakceptowania nadzwyczajnych wydatków, np. na walkę ze skutkami powodzi, wyżywienie wojska czy budowę portu w Gdyni.

To rzeczowe i mocne, ale nie agresywne przemówienie spotkało się z burzliwą reakcją. Lieberman wspominał: „Już po pierwszych zdaniach, które wygłosiłem jako referent, zawrzało i zawyło na ławach stronnictwa rządowego, czyli BBWR. Protokół stenograficzny Sejmu nie daje żadnego obrazu huraganu obelg, wyzwisk, okrzyków wściekłości i prowokacji, które padały wobec mnie z ław obozu rządowego".

Marszałek atakuje

Józef Piłsudski odniósł się do tej sprawy w artykule pt. „Dno oka, czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie". Pochwalił w nim Czechowicza za uporządkowanie spraw podatkowych i doprowadzenie do tego, że dochody państwa są większe niż wydatki. Stąd też rząd miał dodatkowe pieniądze do rozdysponowania. Marszałek przyznawał: „[…] uważam siebie osobiście, jako byłego szefa gabinetu, za odpowiedzialnego za te przekroczenia tzw. ustawy skarbowej, które są związane z budżetem inwestycyjnym. Pamiętałem bowiem dokładnie, że całe moje staranie, bardzo usilne, kierowałem zawsze do zgwałcenia p. Czechowicza, aby wszystko to, co jest inwestycją, nie szło pod obrady sejmowe. Zawsze bowiem obawiałem się, że wtedy będzie nie inwestycja, ale zgodnie z tradycją sejmu lekkomyślne trwonienie pieniędzy podatkowych". Piłsudski nie wspomniał o poleceniu przekazania mu jako premierowi 5 mln zł.

Jak zapewniał w Sejmie premier Kazimierz Bartel, wydatki pozabudżetowe wymagały uchwały Rady Ministrów po stwierdzeniu konieczności państwowej, a nigdy nie stawiano sprawy odpowiedzialności konstytucyjnej ministra

eprasa.pl f4b9c5462d



Posiedzenie Trybunału Stanu w sprawie ministra Gabriela Czechowicza FOT. NAC

skarbu za przekroczenia budżetowe. Bartel zapomniał jednak dodać, że do tej pory rząd przedkładał Sejmowi do akceptacji nadzwyczajne wydatki.

Poza obroną Czechowicza artykuł Piłsudskiego był brutalnym atakiem na dwóch posłów zajmujących się sprawą wniosku o Trybunał Stanu: Hermana Liebermana z PPS i Jana Woźnickiego z PSL „Wyzwolenie". O tym pierwszym, którego znał od lat, tak się wyraził: „Jakiś Lieberman, jako główny tenor w tej smrodliwej operetce". I dalej: „Lieberman był to komiczny dyszkant opery sejmowej". O drugim, przed majem 1926 r., zwolenniku Marszałka, zasiadającym od dawna w Sejmie tak się wyraził: „[...] jest więc żelaznym posłem i do niego w całej rozciągłości zastosować to, co mówiłem o chorobie fajdanitis poslinis". A także: „Stał się ludożercą polującym czy na tłuszcz p. Czechowicza czy jego worek" oraz: „Bo trudno, latarnia w głowie niezawieszona i może się stworzyć przysłowie »głupi, jak Woźnicki«, ale za to każdy minister ma słuchać z powagą głupstw tego pana, paskudnych jego oskarżeń, i ma zafajdaną i zapoconą od wysiłku myślowego zawodowego idioty bieliznę jeszcze lizać".

Piłsudski zadeklarował: „Jeżeli, czego bym zresztą w tym wypadku życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmieli mi się zebrać ani razu, gdyż takiej równi z kajdanami ja sobie nie życzę". Marszałek wziął na siebie całą odpowiedzialność za przekroczenia budżetowe i nieprzedłożenie ich do zatwierdzenia Sejmowi. Uznał, że w tej sytuacji stawianie Czechowicza przed Trybunał Stanu jest „nie tylko nonsensownym, ale i nieetycznym". Wiedział dobrze, że jego samego opozycja nie odważy się pociągnąć do odpowiedzialności.

Wybuch śmiechu

Rozprawa przed Trybunałem Stanu rozpoczęła się 26 czerwca 1929 r. Marszałek zebrał przed tym dniem swoich byłych ministrów, którzy wezwani zostali na świadków. Oświadczył im: „Zależy mi na skompromitowaniu dalszym Trybunału Stanu i Sejmu". Jak powiedział, tak zrobił. Sędziom trybunału oznajmił, że gdy przeczytał art. 1 ustawy o Trybunale Stanu, w którym mowa jest o odpowiedzialności ministrów m.in. za własne działania i zaniechania, a także za działania i zaniechania Rady Ministrów, wybuchnął śmiechem, tak bardzo ten artykuł wydał mu się „oryginalnie zabawny i wykoncypowany".

Podkreślił, że relacje ministra Czechowicza z Sejmem nie leżały w zakresie jego obowiązków (dotyczyło to zresztą wszystkich ministrów), gdyż to on sam – Marszałek – osobiście się tym zajmował. A to dlatego, żeby ukrócić suwerenność Sejmu wobec rządu i prezydenta. I z dumą wyznawał, że on jeden ośmielił się podjąć takiego wyzwania. „Nie mogę nie powiedzieć – kontynuował Piłsudski – że w systemie oskarżenia p. Czechowicza w tej mierze widzę chęć sfałszowania prawdy historycznej, zrobienia z siebie wstydu, a mnie ubliżenia". Dodawał, że na Czechowiczu chce się dokonać „mordu rytualnego". Zaatakował też parlamentaryzm, mówiąc, że kto wchodzi do Sejmu, ten szybko dostaje zaciemnienia umysłu, jakieś aberracji i „daltonizmu specjalnego". Na zakończenie zaś oświadczył, że uważa za śmieszną sytuację, gdy „rząd prowadzony przez największego człowieka w Polsce, którego ręce nie śmierdzą jak wasze [Piłsudski kierował te słowa do oskarżycieli Czechowicza – przyp. red.], może być oskarżony i otworzyć sobą pierwsze posiedzenie Trybunału Stanu".

Następnego dnia mowę wygłosił Herman Lieberman. Oświadczył, że „żądać uniewinnienia ministra Czechowicza, to znaczy żądać potwierdzenia, że rządowi wolno brać pieniądze, ile zechce, bez rachunku, że Polska dojrzała do samowoli mocnych". Lieberman konkludował: „Ale ja wierzę głęboko, że wyrok zapadnie wedle sumienia i zgodnie z ustawami, wierzę w to, że zwycięży prawo". Nawiązując do wzięcia przez Marszałka pełnej odpowiedzialności za całą sprawę, w tym zażądania 8 mln zł wydanych na wsparcie kampanii obozu rządzącego, Lieberman powiedział: „Odpowiedzialność prawna Marszałka Piłsudskiego jest w Polsce mrzonką i utopią". Nie będzie go sądzić 13 sędziów Trybunału Konstytucyjnego, lecz osąd wyda naród, przyszłe pokolenia i historia.

Kilka dni później Trybunał Stanu zawiesił obrady, uznając, że w sprawie przekroczeń budżetowych musi się szczegółowo wypowiedzieć Sejm i dopiero po wyrażeniu przez niego opinii będzie można wznowić postępowanie. Ale było to żądanie nierealne, gdyż rząd nie przesłał Sejmowi ustawy dotyczącej wydatków nieobjętych budżetem.

Przed następnymi wyborami (w 1930 r.), które dały większość w Sejmie obozowi Józefa Piłsudskiego, doszło do aresztowań polityków opozycji. Szczególnie haniebnie i brutalnie został potraktowany Herman Lieberman. Nowy Sejm zatwierdził wydatki ministra Czechowicza nieujęte w budżecie.

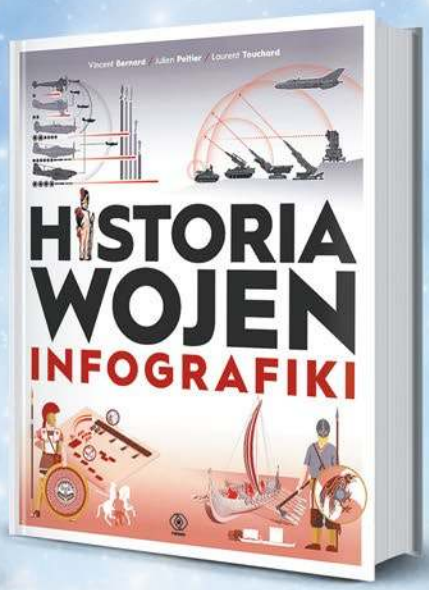
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d

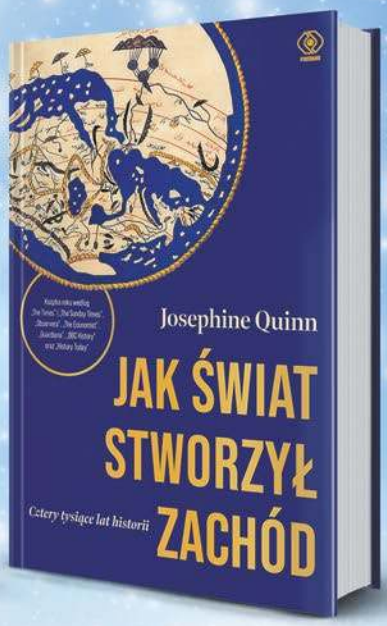
REBIS



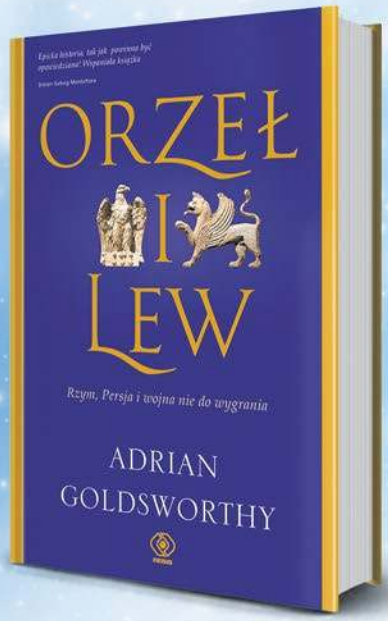
100 lat konfliktu z Palestyńczykami



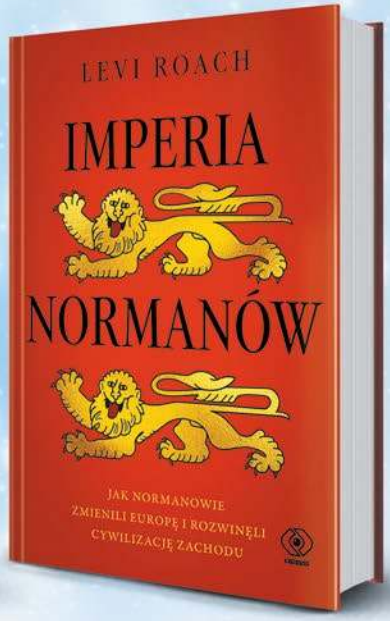
Niezwykle szeroki, a przy tym atrakcyjny i zrozumiały, historyczny obraz wojny



Dzieje dynamicznych relacji między społecznościami w ciągu czterech tysięcy lat



Epicka historia rywalizacji między dwoma supermocarstwami – Rzymem i Persją



Jak Normanowie zmienili Europę i rozwinęli cywilizację zachodu



Pierwsza tak całościowa historia ordy, pokazująca, że ich osiągnięcia nie ograniczały się jedynie do wojowania

REBIS Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o. www.rebis.com.pl

FB/DWREBIS @dom_wydawniczy_rebis

eprasa.pl f4b9c5462d



Bunt na pancerniku „Potiomkin". Obraz Konstantina Maksimowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

1905 r. / „Potiomkin" w ogniu buntu

Polowanie na czerwony pancernik



Mikołaj Iwanow

Wybuch rewolty na „Potiomkinie", dumie rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, był szokiem dla caratu. Buntownicy ruszyli na Zachód, szukając ochrony przed zemstą imperium

Pełna nazwa tego najpotężniejszego okrętu wojennego rosyjskiej Floty Czarnomorskiej brzmiała „Kniaź Potiomkin-Tawriczeskij". Był to najnowocześniejszy pancernik rosyjski, przekazany do eksploatacji pod koniec 1904 r. Bunt na jego pokładzie stał się – jak to określił Lenin – kulminacyjnym punktem pierwszej rosyjskiej rewolucji (1905).

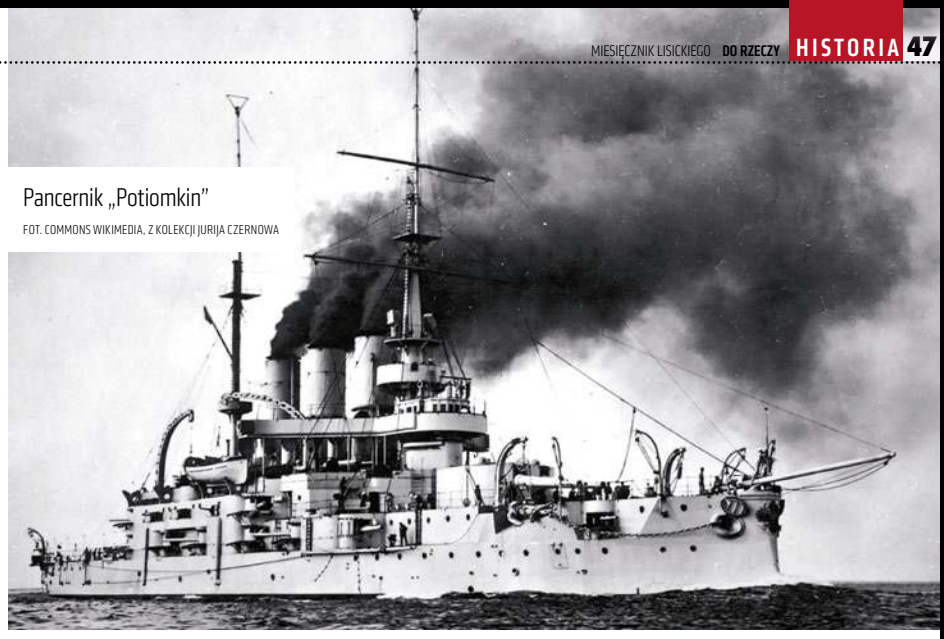
Przez długie lata historia tego zbrojnego wystąpienia przeciwko imperium Romanowów była na różne sposoby fałszowana przez komunistyczne środki masowego przekazu. Pierwotną legendę o rewolucyjnym buncie na okręcie, przeprowadzonym pod wodzą partii bolszewickiej, opowiedział w „Pancerniku Potiomkinie" (1925) genialny rosyjski filmowiec Siergiej Eisenstein. Jego film, nakręcony na polecenie Komitetu Centralnego partii, stanowił wyjątkowo udaną próbę heroizacji rewolty marynarzy. Ten mit w następnych latach był rozpowszechniany przez propagandę komunistyczną. Dopiero po upadku Związku Sowieckiego powoli wychodziła na jaw prawdziwa historia dramatycznych wydarzeń na pancerniku „Kniaź Potiomkin-Tawriczeskij".

Zepsuta zupa

Rewolta marynarzy trwała 11 dni – od 14 do 25 czerwca 1905 r. Była ona spowodowana wieloma przyczynami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Niepopularna wojna z Japonią na Dalekim Wschodzie przynosiła Rosji klęskę za klęską. W maju 1905 r. rosyjska marynarka wojenna poniosła druzgocącą klęskę w bitwie pod Cuszimą. Okręty rosyjskiej Drugiej Eskadry Pacyfiku, które poszły na dno pod Cuszimą, były częścią Floty Bałtyckiej. Po ich zatopieniu krążyły pogłoski, że okręty Floty Czarnomorskiej również będą skierowane na Daleki Wschód jako Trzecia Eskadra Pacyfiku.

Wewnątrz kraju szalał z kolei terror rewolucyjny. W styczniu 1905 r. eserowcy dokonali udanego zamachu na wuja

eprasa.pl f4b9c5462d



Pancernik „Potiomkin”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, Z KOLEKCJI JURIJA CZERNOWA

cara: generała-gubernatora Moskwy, wielkiego księcia Siergieja Aleksandrowicza. W czerwcu, niemal równocześnie z buntem marynarzy, doszło do zbrojnego wystąpienia robotników w polskiej Łodzi, krwawo stłumionego przez wojska carskie.

13 czerwca 1905 r. ten najnowszy i jeden z najpotężniejszych okrętów rosyjskiej Floty Czarnomorskiej po pomyślnym przejściu prób morskich rozpoczął testy uzbrojenia niedaleko Sewastopola. Tuż przed wyjściem w morze Jewgienij Golikow, dowódca pancernika, otrzymał anonimowe listy z ostrzeżeniami o nadchodzącym buncie. Dlatego dzień przed wypłynięciem na szkolenie artyleryjskie z okrętu usunięto 50 marynarzy, którzy złożyli stosowne podania, ponieważ wiedzieli o szykowanym buncie i nie chcieli w nim uczestniczyć. Tego samego dnia dowódca zwolnił 40 kolejnych marynarzy, których podejrzewano o działalność wywrotową.

Załoga pancernika liczyła w tym momencie 781 marynarzy i podoficerów, 15 oficerów, dwóch lekarzy i kapelana. Spośród marynarzy tylko 106 było mieszkańcami miast. Ponad połowa załogi pochodziła z rosyjskiej prowincji. Około 80 proc. marynarzy wyznawało prawosławie i tyle samo było narodowości rosyjskiej. Wśród załogi pancernika tylko jedna trzecia potrafiła czytać i pisać.

Bunt rozpoczął się 14 czerwca, gdy załodze podano barszcz ugotowany na zepsutym mięsie. Zdecydowana większość marynarzy odmówiła spożycia takiego obiadu, a trzeba pamiętać, że tuż przed posiłkiem wydano im obowiązkową porcję wódki... Wtedy kpt. Golikow rozkazał zgromadzić wszystkich marynarzy i udał się na rufę okrętu. Dowódca pancernika zagroził marynarzom karą za bunt i powiedział: „Kto chce jeść barszcz, niech idzie do wieżyczki artyleryjskiej”.

Kilka osób opuściło szeregi i poszło w kierunku wieżyczki. Byli to głównie podoficerowie. Część marynarzy poszła za nimi, ale w sumie nie więcej niż 100 ludzi opuściło szeregi. Widząc upór marynarzy, dowódca nakazał wezwać uzbrojoną wartę. Załoga dobrze wiedziała, co to oznacza – po wezwaniu warty zazwyczaj zapisywano nazwiska tych, którzy naruszyli dyscyplinę, co wiązało się z nieuchronną karą. Perspektywa ukarania rozjuszyła marynarzy. Nasilały się krzyki, groźby i przekleństwa rzucane przez tłum. W pewnym momencie załoga uznała, że grozi jej rozstrzelanie.

Wśród marynarzy rozległ się okrzyk: „Bracia, co oni robią naszym towarzyszom? Weźcie karabiny i amunicję! Bijcie ich, tych łobuzów! Dość bycia niewolnikami!”. Krzycząc „Hura!”, marynarze rzucili się na stojaki z karabinami i skrzynki z amunicją. Bunt rozpoczął się na całego. Na pokładzie rufowym pozostało nie więcej niż 70 marynarzy (jedna dziesiąta załogi); reszta schroniła się pod pokładem, grożąc użyciem broni.

Po wybuchu otwartego buntu dowódca okrętu za pośrednictwem posłańców wezwał wszystkich oficerów na pokład rufowy. Jednak część z nich została zablokowana pod pokładem i nie była stanie wykonać tego rozkazu. Sytuacja oficerów zgromadzonych na rufie stała się krytyczna: byli nieuzbrojeni i stali na otwartym pokładzie. Golikow rozkazał uzbrojonym wartownikom osłaniać oficerów i strzelać do każdego, kto próbował się do nich zbliżyć. Zbuntowani marynarze krzyczeli: „Bracia, nie strzelajcie do nas, tylko zabijajcie te smoki!”. Wartownicy byli zdezorientowani – nie wiedzieli, co w takiej sytuacji robić.

W tym momencie padł strzał ze strony zbuntowanych marynarzy. Zabito starszego oficera artylerii, rozległy się również chaotyczne wystrzały w stronę oficerów i marynarzy, którzy nie przyłączyli się do buntu. Po pierwszych salwach rebelianci wybiegli na rufę. Na czele pędzili przywódcy buntu, Afanasyj Matiuszenko i Grigorij Wakulenczuk. Trafiony dwoma kulami Wakulenczuk dobiegł do burty pancernika i wypadł do morza. W tym samym momencie buntownicy zmasakrowali zgromadzonych na rufie oficerów i wyrzucili ich ciała za burtę.



Kłótnia o zepsute mięso. Kadr z filmu „Pancernik Potiomkin” Siergieja Eisensteina

FOT. DOMENA PUBLICZNA

O godz. 13 okręt był już w rękach rebeliantów. Dla załogi przygotowano nowy posiłek, a na rufie odbył się „sąd marynarzy” nad schwytanymi podoficerami. Mimo żądań części załogi, by zabić najbardziej znienawidzonych z nich, większość zdecydowała, by darować im życie. Około godz. 14 odbyło się zebranie załogi pancernika, na

eprasa.pl f4b9c5462d



Bunt na „Potiomkinie" FOT. MUSEUM-KAM.RU

którym pancernik ogłoszono „terytorium Wolnej Rosji". Przywódcą oficjalnie obwołano Matiuszenkę.

Port w ogniu

W obawie przed działaniami odwetowymi ze strony dowództwa Floty Czarnomorskiej zbuntowany pancernik musiał natychmiast wypłynąć na otwarte morze. Załoga postanowiła udać się do Odessy – najbliższego dużego portu, w którym można było uzupełnić zapasy węgla, wody i żywności. Na dodatek w Odessie miał miejsce strajk generalny, o którym załoga doskonale wiedziała. Około godz. 16 14 czerwca pancernik „Potiomkin" i towarzyszący mu torpedowiec nr 267, którym również udało się zawładnąć zbuntowanym marynarzom, podniosły kotwice.

Gdy „Potiomkin" pojawił się u wybrzeża Odessy, w niektórych rejonach miasta odbywały się zbrojne potyczki między robotnikami i miejscową policją, a także ściągniętymi oddziałami wojskowymi. Po obu stronach byli zabici i ranni.

Buntownicy z pancernika w celu nawiązania współpracy z socjaldemokratami z Odessy wysłali do miasta swoich przedstawicieli. 15 czerwca na pokład pancernika przybyli działacze lokalnych organizacji socjaldemokratycznych. W porozumieniu z nimi na brzeg przeniesiono ciało Grigorija Wakulenczuka. Umieszczono je, w asyście uzbrojonej straży, na Nowym Molo w specjalnie postawionym namiocie. Załoga „Potiomkina" zwróciła się do władz miasta z prośbą o zorganizowanie pogrzebu. Powstańcom udało się również opanować statek transportowy „Emerance" z ładunkiem węgla i szybko rozpoczęto przerzucanie paliwa na pancernik. Włączyli się do tego odescy dokerzy – ok. 300 mężczyzn bezpłatnie pomagało marynarzom z „Potiomkina".

Na brzegu w rejonie portu i przy słynnych Schodach Potiomkinowskich zaczęli gromadzić się ludzie, wyrażające solidarność z marynarzami z pancernika. W momencie, gdy do załogi pancernika dotarła wiadomość, że wojska przybywające do portu zamierzają rozproszyć zgromadzenie, na maszcie podniesiono czerwoną flagę sygnałową, oznaczającą gotowość do ostrzału artyleryjskiego. Rebelianci zamierzali w ten sposób ostrzec dowództwo wojskowe, że zaczną ostrzeliwać strategiczne punkty miasta, jeśli wobec ludności cywilnej zostanie użyta siła.

Stopniowo sytuacja w porcie zaczęła się pogarszać. Pojawił się tam tłum, który – korzystając z nieobecności policji i wojska na terenie samego portu – zaczął rabować towary z magazynów i rozbijać beczki z wódką i winem. Wojsko, obawiając się ostrzału z pancernika, otoczyło teren portu szczelnym kordonem, uniemożliwiając wejście na ten teren kolejnym chętnym do rabowania. Dopiero po zmroku wojska otaczające port rozpoczęły atak, strzelając do tłumów próbujących uciec. Setki osób zginęły lub poniosły rany.

„Cicha bitwa"

Przebywający na emigracji w Szwajcarii Lenin dowiedział się o powstaniu już 15 czerwca 1905 r. i natychmiast zdecydował o wysłaniu do Odessy swojego kuriera, bolszewika Michaiła Wasiliewa-Jużyna. Otrzymał on dokładne instrukcje co do dalszych działań. Bolszewicki wódz w następujących słowach opisał zadanie partyjne: „Istnieją obawy, że odescy towarzysze nie będą w stanie należycie wykorzystać wybuchu powstania. Postarajcie się za wszelką cenę dostać na pokład pancernika, przekonać marynarzy do zdecydowanego i szybkiego działania. Dopilnujcie, aby desant nastąpił natychmiast. W ostateczności nie wahajcie się zbombardować budynków rządowych. Miasto musi zostać zdobyte. Następnie natychmiast uzbrójcie robotników i zdecydowanie podburzajcie chłopów. Zaangażujcie w to dzieło jak najwięcej dostępnych sił organizacji odeskiej. Wezwijcie chłopów do działania poprzez proklamacje i ustną agitację".

Lenin polecił działać zdecydowanie i szybko oraz zrobić wszystko, co możliwe, aby przyciągnąć do powstania resztę Floty Czarnomorskiej. Był przekonany, że większość załóg dołączy do „Potiomkina". Zamierzał też osobiście zaangażować się w rebelię, jeśli nie zostanie ona szybko stłumiona, i dlatego nakazał wysłać okręt do Rumunii, aby go zabrał następnie do Odessy. Kurier Lenina spóźnił się jednak i przybył do Odessy dopiero 20 czerwca, co prawdopodobnie uchroniło miasto przed działaniami wojennymi na większą skalę.



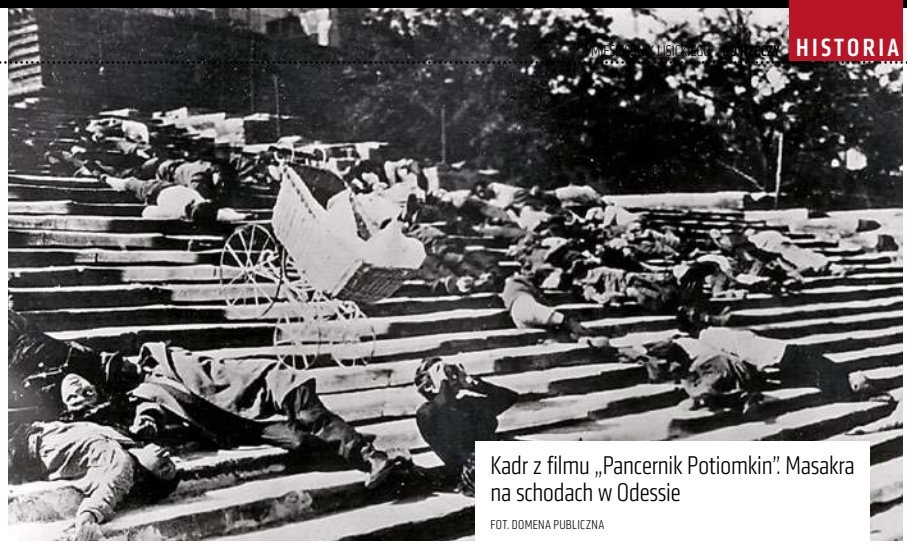
Grigorij Wakulenczuk

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ku zaskoczeniu sił rządowych wczesnym rankiem 17 czerwca pancernik oddał trzy „ślepe" strzały, tzw. żałobne, ku pamięci Grigorija Wakulenczuka, oraz dwa strzały ostrą amunicją z dział kalibru 6 cali w kierunku miasta. Przywódcy powstania twierdzili później, że zamierzali trafić w domy mera i dowódcy garnizonu wojskowego, ale chybili. Jeden pocisk uderzył w strych budynku mieszkalnego w centrum miasta, ale na szczęście nikt nie zginął. Drugi poleciał na obrzeża miasta i spadł, nie wybuchając, na teren cukrowni.

Następnego dnia do Odessy skierowano eskadrę Floty Czarnomorskiej pod dowództwem adm. Aleksandra Krigera. To spotkanie przeszło do historii jako „cicha bitwa". Pancernik „Potiomkin" przeszedł przez formację eskadry, nie otwierając

eprasa.pl f4b9c5462d



Kadr z filmu „Pancernik Potiomkin". Masakra na schodach w Odessie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ognia, później zawrócił i po raz drugi wykonał taki manewr. W ten sposób bunt na „Potiomkinie" nie tylko nie został stłumiony, lecz także się rozszerzył. Do powstania przyłączyła się bowiem załoga pancernika „Gieorgij Pobiedonosiec". Nie chcąc dalej narażać morale załóg pozostałych okrętów w eskadrze, dowódca wydał rozkaz powrotu do Sewastopola. Natomiast oba zbuntowane pancerniki dotarły do redy w Odessie i rzuciły kotwice. Admirał Kriger za swą postawę wobec buntowników stracił stanowisko głównodowodzącego Floty Czarnomorskiej i przeszedł na emeryturę.

W przeciwieństwie do „Potiomkina" bunt na „Gieorgiju Pobiedonosiecu" nie wiązał się z ofiarami wśród oficerów – po dopłynięciu do Odessy wszyscy zostali załadowani do łodzi ratunkowej i dostarczeni na brzeg. Jeszcze tego samego dnia większość załogi postanowiła zakończyć bunt i poddać się władzom.

Ordery za bunt

„Potiomkin" natomiast wyruszył na południowy zachód, najpierw kierując się do rumuńskiego portu Konstanca. Buntownicy liczyli, że władze rumuńskie przyznają im azyl polityczny. Rząd w Bukareszcie postanowił jednak zaoferować marynarzom co najwyżej możliwość poddania się w charakterze dezerterów. Pozwalało im to uniknąć przymusowej deportacji do Rosji, ale nie gwarantowało wolności osobistej.

Rebelianci odrzucili tę ofertę i postanowili wrócić do Rosji, „aby kontynuować walkę". Delegacja buntowników przekazała Rumunom 15 kopert z tekstem apelu, który miał zostać przekazany władzom rumuńskim, a także rządom innych państw świata. Rumuni jednak oddali wszystkie koperty rosyjskiemu chargé d'affaires w Bukareszcie, co pozwoliło wykorzystać je jako dowód rzeczowy podczas późniejszych procesów potiomkinowców.

22 czerwca pancernik „Potiomkin" w asyście torpedowca nr 267 przypłynął do Teodozji na Krymie. Była to już swoista agonia rewolty. Na pokładzie pancernika umieszczono wielką tarczę ze sklejki pomalowaną na czerwono z białymi napisami po obu stronach: „Wolność, równość i braterstwo" oraz „Niech żyje lud!". Aby uniknąć ostrzału miasta, czym grozili buntownicy, na pokład okrętu przybyła delegacja mieszkańców na czele z merem Teodozji Leonem Durantem. Przywódca buntowników przekazał przybyłym kopię apelu „Do całego cywilizowanego świata", domagając się jego natychmiastowego ogłoszenia na publicznym posiedzeniu rady miejskiej. Zażądał również, pod groźbą ostrzału miasta, dostarczenia na pancernik zapasów żywności, wody i węgla.

Pomimo zakazu ze strony władz wojskowych magistrat Teodozji, obawiając się ostrzału artyleryjskiego, postanowił wysłać prowiant. Na pokład „Potiomkina" dostarczono m.in. cztery żywe woły, 200 pudów mąki, 40 pudów mięsa i 30 wiader wina. Dostawa węgla i wody została wstrzymana z powodu surowego zakazu dowódcy garnizonu w Teodozji, który na własną rękę ogłosił w mieście stan wojenny. Do portu potajemnie sprowadzono wojska.

W tej sytuacji rebelianci postanowili przejąć barki z węglem zacumowane w porcie. Marynarze z „Potiomkina", którzy próbowali przyciągnąć je do pancernika, trafili jednak pod ogień żołnierzy. Dwóch członków załogi okrętu zabito, kilku zostało rannych.

Na pokładzie „Potiomkina" wybuchły zamieszki: część załogi domagała się ukarania miasta, podczas gdy inni, dowodzeni przez chorążego Dmitrija Aleksiejewa i młodszych oficerów, sprzeciwiali się tak drastycznej reakcji. Aktualny wynik walki obu grup można było ocenić po wielokrotnym podnoszeniu i opuszczaniu czerwonej flagi sygnałowej na maszcie pancernika, co oznaczało „strzał". Ostatecznie przeważyło zdanie, by zostawić miasto w spokoju, wrócić do Konstancy i przyjąć warunki władz rumuńskich.

W drodze powrotnej do Rumunii „Potiomkin" był zagrożony ponownym spotkaniem z rosyjską eskadrą składającą się z czterech pancerników, krążownika i czterech niszczycieli. Tym razem adm. Kriger otrzymał od cara Mikołaja II wyraźny rozkaz, by zatopić zbuntowany okręt. „Potiomkinowi" udało się jednak niezauważonym prześlizgnąć się do Rumunii.

Rząd w Bukareszcie odmówił wydania buntowników Rosji, mimo usilnych nalegań rosyjskich dyplomatów. Doprowadziło to do poważnego kryzysu w stosunkach między oboma państwami. Jednak część marynarzy – 245 osób, czyli niemal jedna trzecia pierwotnego stanu załogi „Potiomkina", nie zeszła na ląd, lecz wróciła do Sewastopola na pokładzie pancernika po tym, gdy Rumuni przekazali go Rosji. Inni wracali, wiele ryzykując, w kolejnych latach.

Procesy marynarzy z „Potiomkina" trwały do 1917 r. Ogółem postawiono przed sądem 173 członków załogi. Tylko jeden, przywódca buntu Afanasyj Matiuszenko, został skazany na śmierć przez powieszenie (był on członkiem partii anarchistów i po nielegalnym powrocie do Rosji w 1907 r. nadal prowadził działalność rewolucyjną).

Większość marynarzy z „Potiomkina" pozostała na długie lata w Rumunii – dopiero po rewolucji bolszewickiej powrócili do ojczyzny. W 1955 r., w związku z 50-leciem rebelii, 92 żyjących wciąż marynarzy buntowników zostało odznaczonych Orderem Czerwonej Gwiazdy, a dwóch otrzymało Order Czerwonego Sztandaru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Czołg rozpoznawczy TKS
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORTEPAN.HU

1939 r. / Kampania wrześniowa

Brygada walczy do ostatniego czołgu



Marek Gałęzowski

Pułkownikowi Stefanowi Roweckiemu przypadło trudne i niewdzięczne zadanie: dowodzenie nie w pełni zorganizowaną oraz niedostatecznie wyposażoną Warszawską Brygadą Pancerno-Motorową

Niespełna trzy miesiące przed wybuchem wojny płk Stefan Rowecki, dawny oficer I Brygady, aktualnie zaś dowódca piechoty dywizyjnej 2. Dywizji Piechoty Legionów, został wezwany do Ministerstwa Spraw Wojskowych. Spodziewał się powierzenia mu dowództwa dywizji, co byłoby naturalną koleją rzeczy w jego karierze wojskowej, tymczasem otrzymał propozycję objęcia szefostwa Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej.

Było to dla niego tak zaskakujące, że początkowo ten oficer, uchodzący za wyjątkowo karnego i subordynowanego, zawahał się, czy podoła zadaniu dowodzenia jednostką, którą dopiero trzeba było stworzyć. Jednak poczucie obowiązku przeważyło nad wątpliwościami, czemu dał wyraz w prowadzonych wówczas notatkach: „Nie mogę się wycofywać, po cóż w ogóle jestem od 25 lat żołnierzem. Gdy mi powierzają ciężką, a bardzo ważną pracę, od której zależy bardzo wiele [...], nie wolno mi z niej nawet próbować uciekać. Byłbym niesolidnym, niezdyscyplinowanym – po prostu tchórzem [...]. Wreszcie i ambicja moja nie pozwala na to, abym wybrany na dowódcę brygady spośród tylu kandydatów na dowódców dywizji miał się zgłaszać jako ten, który boi się podobnej roboty lub nie czuje na siłach”.

Gorycz pułkownika

Być może jakiś wpływ na decyzję o nominacji płk. Roweckiego na stanowisko dowódcy Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej miał jego udział w grze wojennej sprzed pięciu lat, w której sprawdzano zdolność oddziałów polskich

eprasa.pl f4b9c5462d

do zatrzymania niemieckich jednostek zmotoryzowanych. Wystąpił w tych ćwiczeniach jako dowódca sił przeciwnika, zyskując pochlebną opinię gen. Gustawa Orlicza-Dreszera, który podkreślił, że Rowecki znał zasady dowodzenia takim typem jednostek, mimo że sposób ich użycia przeciw WP nie był dotychczas studiowany.

Wybór ten jednak musiał być podyktowany przede wszystkim tym, że pułkownik należał do wyróżniających się oficerów polskiej armii. W oczach przełożonych uchodził za wybitnego, co znajdowało wyraz we wszystkich ocenach służbowych, z których może najbardziej wartość służby Roweckiego oddawała ta sformułowana przez gen. Franciszka Włada, bohaterskiego dowódcy 14. Wielkopolskiej Dywizji Piechoty, poległego w 1939 r. w bitwie nad Bzurą: „Wybitny oficer – przedstawia typ przyszłego wyższego dowódcy".

Rowecki był, jak wspomniano, początkowo zaskoczony nominacją i pełen obaw przed wzięciem odpowiedzialności za jednostkę, której – jak pisał – nie ma i dopiero on sam ma ją zorganizować. Trudności pogłębiało to, że brygada na mocy zadziwiającej decyzji władz wojskowych była przygotowywana do etatu pokojowego, który stanowił trzy czwarte stanu przewidzianego na czas wojny. Kiedy kilka tygodni przed jej wybuchem usiłowano to zmienić, żadne wysiłki nie mogły już jednak sprawić, aby osiągnęła oczekiwaną gotowość.

W przededniu niemieckiego ataku brygadzie nadal brakowało ludzi i wyposażenia do uzyskania pełnego stanu bojowego, nie zakończono też szkolenia obsługi pojazdów. W podległej Roweckiemu jednostce służyli w większości kierowcy po zaledwie dwu-, względnie trzymiesięcznym przygotowaniu. Brakowało samochodów, zaopatrzenie w paliwo było zdecydowanie niedostateczne. Dopiero w połowie sierpnia – jak pisał znawca biografii płk. Roweckiego Grzegorz Gołębiewski – decydenci w Ministerstwie Spraw Wojskowych „ocknęli się i nakazali jak najszybsze uzupełnienie etatu pokojowego do pełnego wyposażenia wojennego. Oznaczało to pracochłonne przerabianie dotychczasowych norm do 100% etatu wojennego oraz ponowną walkę w różnych departamentach i referatach



Stefan Rowecki FOT. IPN

ministerstwa o uzyskanie dodatkowych przydziałów brakującego sprzętu, tym razem w trudniejszych warunkach realnej już groźby wojny […]. W efekcie Brygada otrzymała nowy sprzęt w początkach września. Za późno, aby go dostatecznie opanować i wykorzystać w boju […]. Zatem do chwili rozpoczęcia wojny Brygada nie zdążyła opanować podstawowej dla niej zdolności poruszania się, nie mówiąc już o zgraniu jej jednostek i ich zdolności współdziałania oraz realizacji zamierzeń dowódcy. Do 1 września nie przeprowadziła żadnych ćwiczeń całością, a ćwiczenia na szczeblu pododdziałów dopiero się rozpoczynały".

Wszystko to budziło głęboki niepokój Roweckiego, wyrażający się czasami poczuciem bezsilności, którego ślad pozostał w jego notatkach, gdy pisał o konieczności „wydobycia, a właściwie wydrapania tego wszystkiego, co zwiększyło się o 25% różnicy z etatem wojennym […]. Po prostu chwilami ręce opadają, gdy się patrzy i widzi tę bezmyślność, ten brak wszelkiego przewidywania u naszych czynników kierowniczych i tę rozpaczliwą bezmyślność ich organów wykonawczych". I w innym miejscu: „Jak skostniałe są mózgi różnych potentatów Ministerstwa Spraw Wojskowych".

Były ostatnie dni sierpnia. Rowecki od kilku miesięcy dostrzegał bardzo ciężkie położenie Polski, na układ Ribbentrop-Mołotow reagując słowami, że jeżeli byłoby to coś na wzór traktatu w Rapallo, to położenie Polski stałoby się beznadziejne. „Chybaby przyszło nam tylko walczyć i zginąć z honorem, aby potem znowu w odpowiedniej chwili Polska powstała, by żyć!".

Ten pesymizm świetnego przecież oficera dostrzegł dawny znajomy ze Szkoły Podchorążych Polskiej Siły Zbrojnej, dyplomata Jan Gawroński. Kiedy w przededniu wybuchu wojny spotkał swojego dawnego wykładowcę w Ogrodzie Saskim, na zawsze zapamiętał jego powagę w obliczu spodziewanej wojny i słowa: „Zbliża się nasza ostatnia godzina".

Zatrzymać Niemców na Wiśle

Mimo tak poważnych braków krótko po wybuchu wojny Brygada wyruszyła z miejsca postoju w Garwolinie na pozycje nad Wisłą, na odcinku Dęblina, Kazimierza Dolnego i Józefowa. Wspomniane problemy organizacyjne dały



Oficerowie Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej FOT. NAC

eprasa.pl f4b9c5462d



Inspekcja płk. Stefana Roweckiego w 1. Pułku Strzelców Konnych, włączonym do brygady FOT. NAC

o sobie znać już w czasie drogi na pozycje bojowe. „Nocny marsz przyniósł pewną ilość przypadków rozbicia wozów i zranienia załóg. Nie napawało to optymizmem, tym bardziej że Brygada nie otrzymała nie tylko sprzętu brakującego do 100% etatu wojennego, ale nawet do – 75% etatu pokojowego. Brakowało amunicji, benzyny i beczek na nią. Szkolenie praktycznie jeszcze się nie zaczęło. Na czołgach ciągle widniały tabliczki z napisem »Szkoła jazdy« i nawet zwykły marsz podróżny stanowił poważny problem" – pisał Grzegorz Gołębiewski w książce „Zanim został »Grotem«. Służba Stefana Roweckiego w wojsku II Rzeczypospolitej do 1939 r.".

Wkrótce stało się oczywiste, że problemy z paliwem nie zostaną już rozwiązane do końca kampanii, ponieważ zapasy, które otrzymała Brygada, zanim jeszcze doszło do walki z Niemcami, są niewystarczające, a przybyłe z Warszawy uzupełnienie przywiozło brakujące samochody, ale nie cysterny na benzynę.

Po dotarciu na powierzony odcinek Brygada dołączyła do tworzonej pośpiesznie Armii „Lublin" gen. Tadeusza Piskora, która miała bronić przepraw przez środkową Wisłę. 5 września 1939 r. spotkał się on z Roweckim, który zanotował: „Przyjechał [gen. Piskor] z 3 oficerami, samochodami uzyskanymi w ostatniej chwili, bez sztabu, bez łączności – »pełna polska improwizacja«".

Trzy dni później pułkownik wysłał na drugi brzeg Wisły wzmocnione patrole w kierunku Zwolenia oraz Lipska i Ciepielowa. Stoczyły one walkę z niemiecką 29. Dywizją Piechoty (zmotoryzowaną) – tą samą, która dokonała zbrodni na polskich żołnierzach pod Ciepielowem – a w pierwszych dniach października miała przesądzić o konieczności kapitulacji pod Kockiem SGO „Polesie" gen. Franciszka Kleeberga, po ostatniej bitwie tej kampanii. Do tego wydawało się jednak jeszcze daleko i 9 września w rozkazie do swoich podkomendnych Rowecki nawiązywał do stoczonej poprzedniego dnia pierwszej walki z Niemcami: „Żołnierze! Trzy dni temu w rozkazie dziennym życzyłem Wam spotkania z wrogiem. Fakt ten wczoraj nastąpił. Bohaterska walka plutonu motocyklistów dyonu rozpoznawczego zadała Niemcom duże straty. Krew nasza również się polała. Widzę, że duch wasz bardzo dobry i potraficie bić naszego odwiecznego przeciwnika. Przyjdzie niedługo chwila, gdy my pójdziemy naprzód, by zwyciężać. Życzę Wam tego, żołnierze. Niech żyje Nasza Ojczyzna" (cyt. za: Grzegorz Gołębiewski).

Kilka dni później nieprzyjaciel znacznie większymi siłami przerwał jednak linię rzeki, rozbijając oddziały płk. Tadeusza Komorowskiego, tego samego, który kilka lat później zastąpił Roweckiego na stanowisku dowódcy Armii Krajowej, i mjr. Stefana Majewskiego. Wówczas dowódca Brygady rozkazał zaatakować Niemców w rejonie Annopola. Uderzenie wykonał 1. pułk strzelców konnych, wspierany przez czołgi i ogień artylerii. „Przez Księżomierz, wzdłuż lasu Gościeradów, poszło natarcie na miejscowość Huta i cypel lasu Gościeradów. Artyleria niemiecka (2, 3 baterie) strzelała znakomicie. Szybko nas uchwyciła i prażyła porządnie. Księżomierz był w bardzo silnym ogniu, po prostu czułem się jak w wojnie światowej, granaty rwały się tuż obok. Świadomość niebezpieczeństwa była bliska, lecz z zadowoleniem obserwowałem strzelców, którzy po raz pierwszy, doskonale jednak, znosili ten ogień. Było trochę rannych i zabitych, lecz w rezultacie Niemcy cofnęli się na Annopol, a zapadająca kompletna ciemność uniemożliwiła dalsze działanie" – zapisywał w swoim notatniku płk Rowecki.

Lokalny sukces żołnierzy Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej nie mógł jednak zatrzymać wojsk niemieckich, przekraczających w wielu miejscach Wisłę. Brygada musiała rozpocząć odwrót w kierunku Kraśnika, a następnie Frampola. Stamtąd, wieczorem 16 września, wyruszyła w rejon Tomaszowa Lubelskiego, do którego dotarła następnego dnia. W tym czasie z powodu braku paliwa do czołgów trzeba było zniszczyć większość taboru samochodowego. „Piękne limuzyny i inne świetne wozy poszły na drzazgi. Zostawiam tylko tyle, co konieczne dla naszego sprzętu bojowego – reszta na szmelc [...]" – zapisywał Rowecki. Co prawda, dzięki temu paliwo przeznaczone dla samochodów mogło być wykorzystane przez wozy bojowe, trudno jednak nie dostrzec, że wyższe dowództwo polskie powinno wcześniej zadbać o to, by do takiej sytuacji – niszczenia i tak nielicznych w WP samochodów – w ogóle nie doszło. Tym bardziej że podobny los spotkał wtedy także samochody pancerne, ponieważ – jak się okazało – były one niezdolne do poruszania się po piaszczystych drogach leśnych.



Czołgi Vickers E w Centrum Wyszkolenia Broni Pancernej FOT. NAC

eprasa.pl f4b9c5462d

Także do tej sytuacji można odnieść zapisane kilka dni wcześniej słowa pułkownika: „Mści się strasznie na nas krótkowzroczne przygotowanie nasze do wojny. Nie mówiąc już o brakach uzbrojenia i wyposażenia. Ale jak można było, konstruując plan wojny z Niemcami, nie wziąć pod uwagę konieczności solidnego przygotowania podstawy do manewru i bazy asekuracyjnej na ewentualne początkowe niepowodzenia, jaką stwarzała przyroda w postaci naturalnej linii oparcia na Wiśle, Sanie i Narwi? Tymczasem nikt o tym nie pomyślał, nic w tej sprawie nie zrobiono".

Tkwiło w tych zdaniach przeczucie nadchodzącej klęski, co dostrzegł jego dawny kolega z piotrkowskiego gimnazjum i towarzysz legionowych walk, spotkany na wrześniowym szlaku płk Antoni Sikorski: „Gdyby chociaż miał równorzędne wyposażenie i uzbrojenie, jakim dysponował nieprzyjaciel – porwałby się na wszystko. Niestety, czuł swoją bezsilność i to było jego tragedią".

Tomaszowska zapora

Brygada płk. Roweckiego kierowała się na Tomaszów Lubelski, ponieważ w jego pobliżu koncentrowały się polskie dywizje, głównie Armii „Kraków" i Armii „Lublin", by stoczyć jedną z ostatnich wielkich bitew kampanii polskiej 1939 r. w daremnym usiłowaniu przedarcia się na południe kraju. Tę drogę blokowały przeważające siły niemieckie, skoncentrowane w Lesie Ordynacji Zamojskiej i w samym mieście.

Natarcie polskie ruszyło rankiem 18 września, a jedna z głównych ról przypadła w nim żołnierzom Roweckiego, którzy uderzyli na Szarowolę, a następnie na Zamiany i Rogóźno na północny wschód od Tomaszowa Lubelskiego. Przełamawszy dwie linie niemieckiej obrony, obejmujące wzgórza 309 i 318, w ciężkim boju Polacy zdobyli Zamiany, ale wobec silnych kontrataków, wspieranych potężnym ogniem artylerii, musieli nie tylko zrezygnować z ataku na Rogóźno, lecz także w ogóle cofnąć się na pozycje wyjściowe. Inne oddziały pancerne Brygady w natarciu na Tomaszów zmusiły



Szkic bitwy pod Tomaszowem Lubelskim

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Niemców do panicznej ucieczki z miejscowości Pasieki i – jak malowniczo opisał ten atak Gołębiewski – kontynuowały je, »rozjeżdżając po drodze baterie armat ppanc. [przeciwpancernych] […]. Po wdarciu się do miasta Polacy natknęli się niespodziewanie na przygotowujący się do walki niemiecki pododdział, rozbijając go ogniem z najbliższej odległości". Niemcy ściągnęli jednak posiłki i mimo opanowania przez oddziały polskie połowy miasta i dotarcia do drogi prowadzącej na Bełżec groźba okrążenia zmusiła je do odwrotu. Oczekiwanego skutku nie dało także kolejne podjęte tego dnia natarcie, podczas którego utracono 10 czołgów, wskutek czego Roweckiemu pozostało już tylko siedem sprawnych maszyn.

Po tej porażce, która kosztowała brygadę utratę połowy sprzętu, o zmroku 19 września płk Rowecki – jak zapamiętał płk Adam Zakrzewski – „przedstawił tragiczną sytuację, z której było tylko jedno wyjście: zginąć lub przebić się przez otaczający kordon Niemców. Decydująca bitwa miała się rozegrać jeszcze tej nocy". Polacy uderzyli zgodnie z planem w kierunku Rawy Ruskiej, ale przewaga Niemców była tak miażdżąca, że atak został natychmiast zatrzymany. Jak wspominał oficer ze sztabu Roweckiego, Józef Szyrmer, w tym ostatnim nocnym natarciu „czołgi natrafiły bardzo szybko na zaporowy ogień niemiecki, który wprost je »rozstrzeliwał«. Część zawróciła, reszta została unieruchomiona".

*

Kiedy 20 września 1939 r. gen. Tadeusz Piskor wydał rozkaz kapitulacji swoim okrążonym i wykrwawionym wojskom, płk Rowecki powiedział: „Ja do niewoli nie pójdę, dla mnie wojna niezakończona, będę się bił dalej". Wieczorem tego dnia musiał – jak się okazało na zawsze – zdjąć mundur i przebrać się w ubranie cywilne. Następnego dnia wyruszył do Warszawy, do której dotarł w chwili kapitulacji miasta. Pobyt tutaj miał być chwilowy, ponieważ planował przedostanie się do powstającej we Francji armii polskiej. Okazało się, że czekało go zadanie o randze nieporównanie większej. Wykonał je w sposób imponujący, ale zapłacił za to najwyższą cenę, a okoliczności jego zamordowania przez Niemców do dziś nie zostały wyjaśnione. Tym zadaniem, które z podziwu godną odpowiedzialnością przyjął na siebie mianowany w 1940 r. generałem Stefan Rowecki, było stworzenie podziemnej armii. I rację miał szef jego sztabu, gen. Tadeusz Pełczyński, który napisał wiele lat po śmierci gen. „Grota", gdyż pod takim mianem na zawsze już w polskiej historii pozostał ten dowódca jednej polskiej dużej jednostki pancernej we wrześniu 1939 r.: „On jeden i tylko on mógłby powiedzieć o sobie: Armia Krajowa – to ja".

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

W artykule wykorzystano fragmenty rozdziału o udziale płk. Roweckiego w kampanii 1939 r. z broszury ***„Tylko on mógłby powiedzieć o sobie: »Armia Krajowa – to ja«. Generał Stefan Rowecki »Grot« (1896–1944)"****, która ukaże się nakładem Muzeum Armii Krajowej im. gen. Emila Fieldorfa „Nila" w Krakowie. Wykorzystane w tekście cytaty pochodzą z książki Stefana Roweckiego* ***„Wspomnienia i notatki autobiograficzne (1906–1939)"*** *(Warszawa 1988), w opracowaniu Andrzeja K. Kunerta i Józefa Szyrmera.*

Wyjaśnienie od redakcji:

W poprzednim numerze tekst Marka Gałęzowskiego został omyłkowo podpisany imieniem „Adam". Przepraszamy Autora oraz Czytelników za ten błąd.

eprasa.pl f4b9c5462d

1866–1895 / Władysław Podkowiński

„Dzieciobójstwo” Podkowińskiego



Leszek Lubicki

„Nic od dnia owego nie robię, nic robić nie mogę. I gdybym przynajmniej był pewny, że ofiara nie będzie daremną, że postępek mój zrozumiany został i oceniony!” – mówił po wszystkim tragiczny malarz

Okres twórczości artystycznej Władysława Podkowińskiego zamyka się w jednej dekadzie. Tylko 10 lat wystarczyło, aby zapisał się on trwale – i to złotymi zgłoskami – na kartach polskiej historii sztuki. W tak krótkim czasie stworzył 500 dzieł, w tym 200 obrazów olejnych i ok. 300 prac w innych technikach rysunkowych.

Tragiczne losy naszego państwa, w tym przede wszystkim powstanie warszawskie, spowodowały, że do naszych czasów zachowało się jedynie ok. 75 obrazów oraz 105 rysunków i akwarel. Artysta był bowiem „dziecięciem Warszawy” i to z tym miastem związana był znaczna część jego dorobku.

Półsierota

W „Kurierze Warszawskim” z dnia 12 czerwca 1866 r. w informacjach z mia-

eprasa.pl f4b9c5462d



Władysław Podkowiński, „Dzieci w ogrodzie", 1892 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

sta, gdzieś pomiędzy notatką, że jeden z zakładów fotograficznych ukończył prace nad zdjęciami Azteków-Liliputów, a wiadomością, że na ulicach widać coraz większy ruch, ponieważ rozpoczyna się jarmark wełny, zamieszczono tę oto informację:

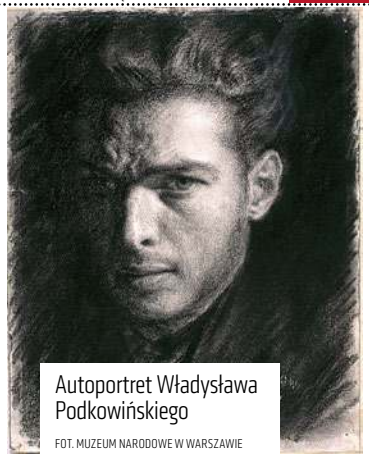
„W dniu wczorajszym, o godzinie 7 1/4 rano, na drodze żelaznej Warsz:-Wied:, przy wejściu na Stację Piotrków, pociąg towarowy wyszedł z szyn, skutkiem czego Nadkonduktor, Antoni Podkowiński, tenże pociąg prowadzący, śmierć poniósł [...]; a część wagonów, ładowanych beczkami starego żelastwa, podruzgotaną została".

Niewielu ludzi pewnie owa notatka zainteresowała. Ot, wypadek kolejowy, zdarza się. Na pewno poruszeni byli władze i pracownicy Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. A najbardziej Waleria Podkowińska, 21-letnia żona wspomnianego w komunikacie nadkonduktora Antoniego Podkowińskiego. Dziewiętnaście lat od niej starszy mąż zginął, a ona pozostała sama z czteromiesięcznym synkiem. Nasz bohater był zatem półsierotą. „Cień tej tragedii niewątpliwie naznaczył dzieciństwo i młodość Podkowińskiego, wpływając na jego rozwój emocjonalny i dalsze koleje życia. Obowiązki utrzymania, wychowania i wykształcenia spoczęły całkowicie na 21-letniej wdowie, niezwykle samodzielnej jak na owe czasy młodej kobiecie. Ten nieoczekiwany dramat ujawnił jej twardy charakter, zahartował silną wolę i skupił całą miłość na jedynaku. W najtrudniejszych chwilach znaczną pomoc materialną niosła silnie rozgałęziona rodzina Gardowskich, szczególnie dwaj bracia Wacław i Jan, którzy również później wykazali się zrozumieniem dla sztuki siostrzeńca, stając się nabywcami wielu jego obrazów" (Charazińska, 2002).

Tak naprawdę nic nie wiemy o dzieciństwie Władysława. Zapewne matka otrzymała rentę po mężu, który uległ śmiertelnemu wypadkowi przy pracy. Kolej Warszawsko-Wiedeńska była potężną firmą i nie zostawiłaby wdowy z dzieckiem bez środków do życia.

Szesnastoletni student

Po ukończeniu III Gimnazjum Męskiego, idąc w ślady nieboszczyka ojca, za namową matki i zapewne jej brata Jana, urzędnika kolejowego, młody Władysław w roku 1878 rozpoczyna naukę w Szkole Technicznej Drogi Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej. Jednak uczy się niezbyt pilnie. Z pierwszej klasy znamy jego



Autoportret Władysława Podkowińskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

oceny z podstawowych przedmiotów oraz z tzw. pilności – widać, że się nie przykładał. Jedynie z rysunków i kaligrafii miał noty odpowiednio piątkowe i czwórkowe. „W szkole tej pozostał kilka lat i tam już na lekcyach rysunków technicznych poczęło się w nim budzić nieśmiałe jeszcze pragnienie zostania malarzem. Dziecięca imaginacya, rozbudzona kilkoma rocznikami pism ilustrowanych, które chciwie przeglądał, a wieczorami kopiował, roiła o przyszłej sławie artystycznej, budując zamki na lodzie. Niedaleka przyszłość miała, prędzej nawet, aniżeli można było się tego spodziewać, urzeczywistnić pragnienia młodego ucznia technicznego" (Piątkowski, 1896).

7 kwietnia 1882 r. zostaje zapisany do Rządowej Klasy Rysunkowej, jedynej szkoły artystycznej w Kongresówce. Tak naprawdę liczył się tam tylko jeden nauczyciel – Wojciech Gerson. Podkowiński miał wtedy 16 lat. Już jako uczeń Klasy Rysunkowej zaczął publikować swoje prace w warszawskich czasopismach ilustrowanych. Rysunki 18-letniego wówczas młodzieńca od roku 1884 pojawiają się w tak poważnych czasopismach warszawskich jak „Tygodnik Ilustrowany", „Biesiada Literacka" czy „Wędrowiec". Jest przede wszystkim rysownikiem reporterem. Ten ostatni tytuł jest niezwykle ważny dla przyszłości Podkowińskiego i jego dalszego rozwoju artystycznego. Mając szerokie kontakty w świecie literackim i artystycznym, Gerson poleca młodego Podkowińskiego Stanisławowi Witkiewiczowi i Antoniemu Sygietyńskiemu, którzy skupili wokół siebie grono ludzi pragnących propagować sztukę realistyczną.

W jednym z dwóch zachowanych listów pisanych do matki donosi: „Po-

eprasa.pl f4b9c5462d

znaliśmy się dobrze z Witkiewiczem, jak przyjdę do niego, to zawsze mię zaprasza na obiad. Zaproponował mi, żebym rysował typy i widoki Warszawy, że można dawać tytuł nad rysunkami: »Typy warszawskie rysowane przez Podkowińskiego« [...]. Narysowałem latarnika w chwili, gdy czyści latarnie wieczorem [...], powiadam mamie, że ogromnie się podobały i Gersonowi, i Witkiewiczowi. I koniecznie mi Witkiewicz mówił, żebym jak najwięcej takich rzeczy rysował... A trzeba mamie wiedzieć, że on nie każdego chwali" (Olszewski, 1911).

W szkole tej Podkowiński poznaje Józefa Pankiewicza, także adepta nauk plastycznych, co będzie niezwykle istotne dla ich artystycznej przyszłości. Józef Czapski, późniejszy uczeń Józefa Pankiewicza, tak oto pisał o Władysławie: „Ubierał się starannie, przychodził do szkoły z poduszeczką, na której siadał, by nie zawalić modnych, jasnych spodni, o które szczególnie dbał; nosił króciutki paltocik i przewieszony przez ramię aparat migawkowy od Brandla". Naukę Podkowiński kończy z wyróżnieniem w maju 1885 r.



Władysław Podkowiński, „Zapalacz latarni" FOT. „WĘDROWIEC" 1885 R.

Najgorszy rysownik

Jesienią 1885 r. wraz z Józefem Pankiewiczem wyjeżdża do Petersburga, gdzie obaj podejmują naukę jako wolni słuchacze w tamtejszej Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych. Pankiewicz otrzymuje prywatne stypendium w wysokości 50 rubli miesięcznie, natomiast Podkowiński próbuje pokryć koszty z otrzymanych wcześniej honorariów za rysunki dla czasopism. Doskwiera mu jednak okrutna bieda i w końcu składa prośbę do władz Akademii o przyznanie mu „świadectwa ubóstwa". Otrzymuje je, dzięki czemu nie musi już płacić za drugi semestr nauki. „Szybko topniały pieniądze przywiezione z Warszawy i sytuacja materialna artysty stawała się z każdym dniem trudniejsza do tego stopnia, że Podkowiński zaczyna głodować. Udało mu się wprawdzie zamieścić kilka prac w pismach petersburskich, a kompozycja »Latarnika« zamieszczona w »Ilustracji Wszechświatowej« przyniosła mu pewną sławę, nie były to jednak środki wystarczające na spokojne życie" (Wierzchowska, 1981).

Głoduje, obiady jada co drugi lub co trzeci dzień. Z Pankiewiczem już nie mieszka, ponieważ jest mu tak „niewygodnie". W drugim liście do matki pisze: „Zegarek ojca, choć zepsuty, zastawiłem, więcej już nie ma co zastawiać, a i pożyczać też nie mam od kogo, bo chociaż moi znajomi są bogaci, ale też dużo wydają, więc mi dać nie mogą. Wyglądam kiepsko, chudnę, z sił opadam, ale może jakoś to będzie [...]. Mam na 4. piętrze pokoik ładny z wodociągiem i umywalnią za 10 rub. sreb. Sypiam na ziemi lub też na koszu, walizce i stołku". List kończy tymi słowami: „Nade wszystko proszę ani grosza mi nie przysyłać, albowiem w tej chwili nazad odeszlę".

Nasz młody artysta ma problemy nie tylko z codzienną egzystencją. „Do narastających trudności finansowych dołączyły się kłopoty na uczelni – konflikt z profesorami o zbyt realistyczną interpretację modelu. W rezultacie tego konfliktu obaj z Pankiewiczem uzyskali ostatnie lokaty podczas dorocznych zaliczeń. Rozgoryczeni i rozczarowani wrócili do Warszawy i doprawdy trudno dziś odnaleźć w ich twórczości jakieś widoczne ślady rocznego pobytu w Petersburgu" (Wierzchowska, 1981). Możemy przypuszczać, że pierwsze objawy gruźlicy wystąpiły już w Petersburgu, sądząc po warunkach, w jakich żył tam Podkowiński.

Pierwszy polski impresjonista

Po powrocie do Warszawy w 1886 r. artysta od razu rzuca się w wir pracy „szalonego reportera". Bywa na wystawach artystycznych, przemysłowych, wyścigach konnych, lodowiskach, w domach dla żebraków i ciemnych zaułkach miasta. Dokumentuje ołówkiem na papierze codzienne życie mieszkańców Warszawy i publikuje swoje rysunki w kilku stołecznych czasopismach. Pankiewicz natomiast jedzie do Kazimierza i tam poznaje Aleksandra Gierymskiego. Przez jakiś czas zajmują nawet wspólnie pracownię, gdyż Gierymski potrzebował górnego światła, aby wykończyć swój słynny obraz „Piaskarze".

Pankiewicz maluje „Targ na jarzyny na placu Żelaznej Bramy", za który otrzymuje 400 rubli. Ta kwota oraz honoraria Podkowińskiego za rysunki pozwalają im wreszcie udać się do wymarzonego Paryża – stolicy światowej sztuki. Jest wczesna wiosna 1889 r. Tak się składa, że po wielu latach w Paryżu, po osiągnięciu sukcesów artystycznych, do kraju wraca Józef Chełmoński. Na przedmieściach miasta pozostawia, prawdopodobnie opłaconą do końca roku, pracownię dużych rozmiarów. Dwaj przyjaciele w niej właśnie zamieszkują. To, że była ogromna, okazało się jednak równie dużym problemem, gdyż nie było ich stać na ogrzewanie.

eprasa.pl f4b9c5462d

Podczas swojego krótkiego w gruncie rzeczy pobytu w Paryżu (wrócili już w styczniu 1890 r.) poznali nowe trendy w malarstwie. „W ciągu lata otwarto w galerii Petit wielką wystawę retrospektywną Claude'a Moneta wespół z rzeźbami Rodina. Zgromadzono tu około 140 płócien z ostatnich dwudziestu lat twórczości artysty. Impresjonizm zaimponował wielką manifestacją swego dorobku, zdobywając uznanie krytyki i częściowo nawet publiczności" (Osęka, 1957).

Zaraz po tym nastąpiły kłótnie o obejrzane płótna francuskiego mistrza. Pankiewicz był zachwycony, Podkowiński powściągliwy i mówił do przyjaciela: „Ty będziesz malarzem, a ja rysownikiem". Próbował nawet sprzedać swoje rysunki, jednak w Paryżu nikt nie był nimi zainteresowany. Przez miesiąc nawet nie rozmawiali ze sobą z uwagi na rozbieżność poglądów. W końcu pierwszy rękę do zgody wyciągnął Podkowiński, z właściwym sobie entuzjazmem i otwarciem na to, co nowe – przyznał rację koledze. Namalowali jeszcze po kilka obrazów, ale ich portfele były już puste i czas było wracać do kraju.

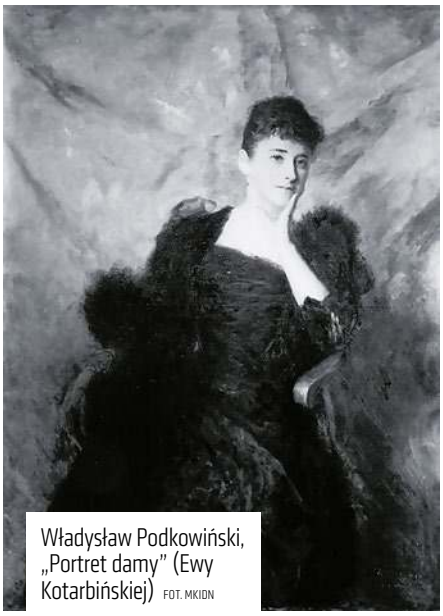
Na miejscu spotkało ich duże zaskoczenie. Mieli nadzieję, że prace przywiezione przez nich z Paryża, tworzone zgodnie z najnowszym trendem, który po 20 latach walki z akademikami przemówił nawet do zatwardziałych umysłów, znajdą w ojczyźnie akceptację. Podkowiński na początku 1890 r. „daremnie próbował wystawić swe paryskie obrazy w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych. Odrzucone przez stojące na straży tradycyjnych wartości jury Zachęty prace – »Jesień«, »Fragment lasu w Fontainebleau«, »Portret młodego mężczyzny«, »Krajobraz« i »Latarnika« – zaprezentował jednak, wraz z obrazami Pankiewicza, Salon Aleksandra Krywulta" (Kossowska 2006).

Oddajmy głos jednemu z bardziej znanych krytyków sztuki owych czasów, Cezaremu Jellencie, który tak oto skomentował zaprezentowane paryskie obrazy (było to jeszcze przed jego zmianą oglądów na malarstwo): „Żywioł świeżo sprowadzony z Paryża przedstawiają dzieła Podkowińskiego, tak zarażone impresjonizmem, że aż pstro się robi człowiekowi w oczach. Fioletowe drzewa, niebieski pies, różowy parkan, karminowe kałuże itp., mające razem składać się na »Jesień«, rażą wprost śmieszną manierą, nienaturalnością, a jeśli podobają się jakiemu z malarzów, to mu zazdroszczę… oczów".

Po tych wydarzeniach drogi dwóch malarzy się rozchodzą. W tym czasie Witkiewicz leczy się w Zakopanem, Gierymski opuszcza kraj, a po stolicy Kongresówki hula sobie w najlepsze nędza artystyczna. Podkowiński podejmuje pracę rysownika w „Tygodniku Ilustrowanym" i rusza w Polskę.

„Persona non grata"

Lato 1891 r., tak jak następne, malarz spędza w mazowieckich wsiach Chrzęsne i Mokra Wieś, w majątkach sióstr Koskowskich. Jedna z nich, Stanisława, jest żoną Juliana Maszyńskiego, także malarza, który zaprosił Podkowińskiego. Druga z sióstr, dziedziczka Chrzęstnego, Wincentyna Karska, gości u siebie zamieszkałą na stałe w Warszawie kolejną siostrę – Ewę, również zamężną z malarzem, Miłoszem Kotarbińskim. Początkowo powiadano, że kobieta popełniła mezalians, ponieważ jej mąż był synem administratora majątku w Chrzęsnem, a ona jedną z dziedziczek. Co innego później – Miłosz stał się ważną osobistością w życiu kulturalnym Warszawy, był szanowanym profesorem Szkoły Sztuk Pięknych.



Władysław Podkowiński, „Portret damy" (Ewy Kotarbińskiej) FOT. MKIDN

Pośród tej elity Podkowiński oddaje się bez reszty pracy. Maluje dużo: pejzaże, sceny rodzajowe, a także portrety osób z miejscowego towarzystwa. Stworzy tam portrety wspomnianych sióstr. Na uwagę zasługuje obraz uważany za pierwszy polski portret malowany w plenerze, który przedstawia panią Wincentynę stojącą pośrodku parkowej dróżki. Artysta „machnął" go w jeden dzień. Podkowiński maluje także „Dzieci w ogrodzie", które łatwo można uznać za jeden z najpiękniejszych obrazów wykonanych techniką impresjonistyczną. Widzimy na nim potomstwo Miłosza Kotarbińskiego i jego żony Ewy, bawiące się w ogrodzie pełnym kolorowych kwiatów. Ten starszy, z konewką w ręce, to – wtedy sześcioletni – Tadeusz Kotarbiński, w latach dorosłości światowej sławy filozof i uczony. Drugi chłopiec, przyglądający się „pracy" starszego brata, to Mieczysław Kotarbiński, przyszły artysta plastyk, twórca m.in. projektu buławy marszałkowskiej dla Józefa Piłsudskiego, zamordowany przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej. Czy tworząc ten obraz, mógł Podkowiński przewidywać, że uwiecznia na płótnie dwoje niewinnych dzieci, które w przyszłości na trwałe zapiszą się w dziejach naszego narodu?

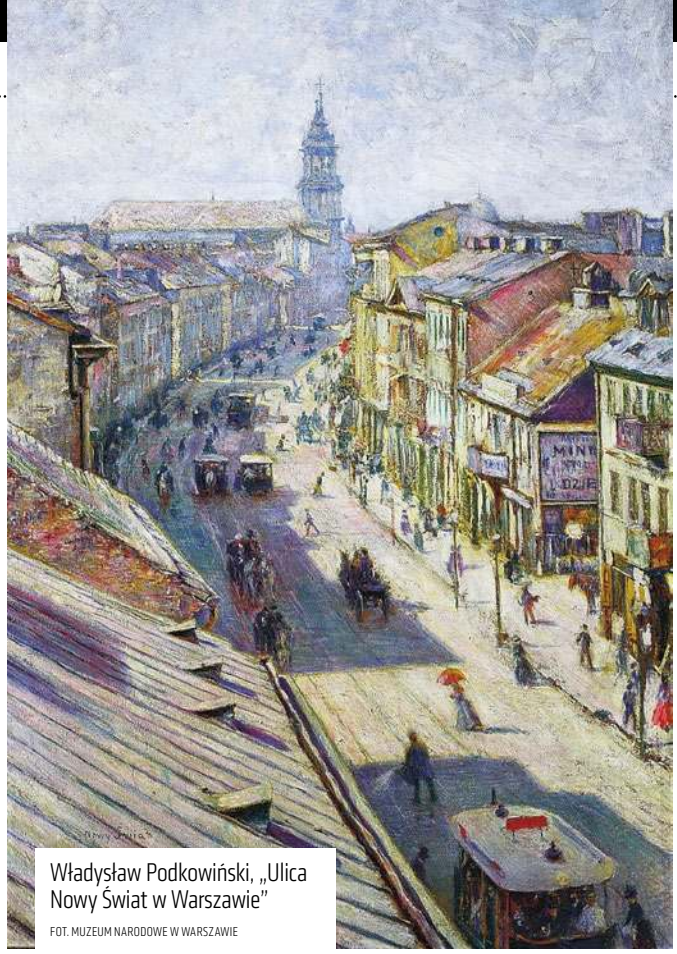
Jednak dla dalszych losów naszego bohatera najważniejszy wydaje się inny obraz powstały w trakcie pierwszych letnich wakacji w tej mazowieckiej wsi – „Portret damy" (1891), czyli wizerunek Ewy Kotarbińskiej. Za to dzieło artysta otrzymuje II nagrodę w konkursie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w wysokości 300 rubli. Zaraz potem Wojciech Gerson w sprawozdaniu z tej wystawy („Przegląd Tygodniowy" 1892, nr 3) napisze: „Przedstawiona na portrecie osoba, elegancko i ze smakiem sadowiona, ma wiele wdzięku tak w całej postaci, jakoteż i w wyrazie twarzy portret ten żyje, robi wrażenie prawdy" (niestety obraz zaginął). Zapewne ten „wdzięk postaci" zrobił na Podkowińskim tak silne wrażenie, ponieważ zakochał się bez pamięci w tej mężatce, i to do tego stopnia, że podczas kolejnych wakacji

eprasa.pl f4b9c5462d

wyznał publicznie przed całym zebranym towarzystwem swoje uczucia. Od tej pory był już tam persona non grata.

Pocięty obraz

Po powrocie z Paryża Podkowiński wynajmuje górny prawy belweder pałacu Kossakowskich, mieszczący się przy ul. Nowy Świat w Warszawie (obecnie nr 19). Tam też aż do swojej przedwczesnej śmierci mieszka i tworzy. Wiktor Gomulicki tak opisywał odwiedziny u twórcy „Szału". „Poważna jest zresztą cała pracownia, mieszcząca się w »wieży« pałacu [...]. Drogę do niej wskazują lampki. Chorobliwie żółte światełka płoną wśród białego dnia na schodach wąskich i zupełnie ciemnych. Wstępuje się tam ze wzruszeniem – niemal z trwogą".



Władysław Podkowiński, „Ulica Nowy Świat w Warszawie"

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

W tej pracowni i zarazem miejscu zamieszkania artysty powstaje wiele jego obrazów, w tym cudownie impresjonistyczny „Ulica Nowy Świat w dzień letni" (1892), malowany z okna owej „wieży". Wspomnijmy także ostatni obraz, znaleziony w pracowni razem z jego zwłokami – niedokończony, acz wystawiany obecnie w Muzeum Narodowym w Krakowie „Marsz żałobny" (1894). Jednak najsłynniejszym obrazem, który przyniósł Podkowińskiemu nieśmiertelność artystyczną i miano „artysty tragicznego", jest „Szał uniesień". Czy jednak było to jego najlepsze dzieło? Tutaj zdania są podzielone. Malowany już w ciężkiej chorobie, zwanej wówczas suchotami, przez trzy miesiące, na przełomie lat 1893 i 1894.

O dziele tym napisano już wszystko, więc wspomnijmy tylko, co stało się z nim dalej. Zaprezentowano je na wystawie jednego obrazu w warszawskiej Zachęcie wczesną wiosną 1894 r. Od samego początku pokazowi towarzyszyła aura sensacji. Podobno tylko pierwszego dnia obejrzało go tysiąc osób, a przez miesiąc, bo taka była zasada tej ekspozycji, ok. 12 tys. ludzi. Dzień po jej zakończeniu zawitał tam także sam Władysław Podkowiński. Poprosił woźnego o drabinę, postawił ją obok swego obrazu, wspiął się i ostrym nożem zaczął ciąć płótno. Najzacieklej wokół twarzy kobiety. Bo zdaje się, że właśnie o tę niewiastę poszło.

„Warszawka" dopatrzyła się w jej rysach twarzy podobieństwa do pewnej damy z towarzystwa. Chodziło oczywiście o Ewę Kotarbińską. Tak naprawdę do dzisiaj nie ma pewności, co malarza skłoniło do pocięcia swojego dzieła. Prawdopodobnie pozostanie to już na zawsze zagadką. Sam Podkowiński nigdy wprost nie wypowiedział się na ten temat, a jak już nawiązał do tego, to jego wyjaśnienia były zagmatwane. Mówił m.in.: „Zrobiłem ofiarę z rzeczy, która w danej chwili była mi najdroższą. Zniszczyłem obraz, a kto wie, czy nie uśmierciłem zarazem talentu swego. Nic od dnia owego nie robię, nic robić nie mogę. I gdybym przynajmniej był pewny, że ofiara nie będzie daremną, że postępek mój zrozumiany został i oceniony!" (Gomulicki, 1961).

Najważniejsze jednak, że obraz udało się odrestaurować. Doszło do tego dopiero po śmierci artysty (niestety rychłej), gdyż wcześniej autor nie zgadzał się na naprawę. Płótno zakupił od matki Podkowińskiego Feliks „Manggha" Jasieński za „mizerne 1000 rubli", a później przekazał je w darze Muzeum Narodowemu w Krakowie. Możemy je oglądać w Sukiennicach i gdy bliżej się przyjrzymy, to dokładnie ujrzymy ślady po cięciach zadanych nożem. Zaraz po zniszczeniu obrazu tak pisał na ten temat autor podpisujący się jako „Urbanus": „Motywy więc czynu, który dzieciobójstwem nazwać by można, są – zagadką. Zagadką psychologiczną – twierdzą niektórzy. Klucza do tej zagadki szukamy". Szukali wówczas, zaraz po tym czynie „samobójstwem talentu" zwanym, szukano i później, i raczej... nie znaleziono. Co najwyżej uproszczenia.

Choroba duszy

Autorka „Albumu" o Podkowińskim poprosiła w latach 50. XX w. ludzi, którzy znali artystę, o napisanie o nim wspomnień. Zygmunt Badowski: „Miał też wielkie powodzenie u pań z tzw. towarzystwa jako modny malarz i... naiwny (mimo Paryża), nieznający życia, a pełen szczerości i ognia młodzieniec. Nic więc dziwnego, że tak rychło po powrocie do Warszawy dał już wyraz swoim uczuciom [...], zakochał się bowiem nieborak w pewnej pięknej pani, która miłość jego potraktowała jako chłopięcy kaprys – i pomimo że pod jej wpływem wymalował później swój słynny »Szał«, to jednak w decydującej chwili dała mu do zrozumienia, że to, co ich łączyło, był to tylko niewinny flirt, że w ogóle nie traktowała go wtedy poważnie, niech więc sobie wyperswaduje niewczesne amory itp. Dla Podkowińskiego było to ciosem druzgocącym, którego wrażliwa natura i duma artysty znieść nie mogła. Nastąpiła katastrofa: zniszczenie obrazu na wystawie, a w dalszej smutnej konsekwencji powolna, przedwczesna śmierć młodego malarza" (Wierzchowska, 1981).

eprasa.pl f4b9c5462d

Gruźlicy zapewne nabawił się jeszcze w Petersburgu, a po powrocie z Paryża było tylko gorzej. Lekarze zalecali wyjazd na leczenie sanatoryjne. Stać go było na to, zamówień na portrety miał mnóstwo, a jednak nie pojechał. Co prawda, niedługo przed śmiercią wyjechał z Warszawy, ale było już za późno. „Kilka letnich miesięcy spędził na łonie natury w majątku pana S.M. Po powrocie w jesieni przywiózł z sobą kilka krajobrazów i portret p. D., profesora uniwersytetu odeskiego. Prace te wystawił w Towarzystwie, podpisując pod niemi dwa imiona, Andrzej Ansgary" (Piątkowski, 1896). Plenerowe obrazy od razu znalazły nabywców.

Od współczesnych malarzowi wiemy, że jego stosunek do choroby był wręcz samobójczy. Posłuchajmy: „Kiedy wiadomość o śmierci Podkowińskiego rozeszła się po mieście, ten i ów, smutnie kiwając głową, dodał: Ha, sam się zabił. Jak on z sobą postępował, ten chłopiec! Spotykałem się z nim często w lecie. Wychodził ze swojej »wieży«, gdzie miał pracownię na Krakowskim Przedmieściu wieczorem, po całym dniu pracy. Rano nie jadł, odmawiając wszelkiego posiłku. Wieczorem szedł do mleczarni – na talerz kwaśnego mleka. Tak potrafił żyć cały tydzień. – Zjedz pan kawałek mięsa. Co to za pożywienie? Machnął ręką. I raz, w chwili, kiedy człowieka gniecie potrzeba szczerości, rzekł mi, zachowując obojętność na twarzy: – Ja nie chcę żyć. Wiedziałem o tem od doktora, który od dawna po to tylko dawał rady i wskazówki, aby ten wprost przeciwnych się trzymał. Pewnego razu w listopadzie ostatnim, w jesienny brzydki dzień, spotykam się z Kamieńskim [Antoni Kamieński, wybitny rysownik, malarz, przyjaciel Podkowińskiego – przyp. red.]. Był wzruszony i wzburzony. – Wracam od Podkowińskiego – rzekł mi. – Wyobraź sobie, co on teraz robi: siedzi w oknie, wychylony, z rozpiętą bluzą i koszulą, z nagą piersią […]. Tego młodego i pełnego energii człowieka, tego utalentowanego i pełnego przyszłości artystę jadła straszna choroba duszy" (A. Aliński, „Tygodnik Ilustrowany 1895 nr 2).

Lata później Tytus Czyżewski, także malarz, napisze („ABC" 1932, nr 30): „Jakieś dwa lata po powrocie z Paryża Podkowiński zakochał się w kobiecie, która ani zrozumieć jego temperamentu, ani odpowiedzieć mu równie namiętnem uczuciem nie mogła. Powstał konflikt i walka, z której Podkowiński wyszedł pokonany jako mężczyzna. Ambitny i namiętny wziął to sobie głęboko do serca i powstał dramat. Podkowiński, dotychczas towarzyski i wesoły, począł unikać swych przyjaciół, a w sztuce jego nastąpił zwrot zasadniczy. Podkowiński zaczął myśleć samobójczo o śmierci, a wreszcie narażając się na umyślne zaziębienie, nabawił się ciężkiej choroby płuc, która w szybkim tempie zniszczyła jego organizm".

I jeszcze jeden fragment potwierdzający samounicestwianie się naszego „artysty tragicznego". Mieczysław Wallis („Robotnik" 1932 nr 393): „Chory już od pewnego czasu na płuca Podkowiński, w przystępie rozpaczy, postanawia przyśpieszyć przebieg choroby. Pewnego dnia kładzie się na wilgotną murawę. Choroba przechodzi w stan ostry i kładzie kres jego krótkiemu, lecz bogatemu życiu 5 stycznia 1895 roku". Przed samą śmiercią prosił swojego lekarza o ratunek. Było już jednak za późno.

W rubryce „Z tygodnia na tydzień" dziennikarz „Tygodnika Ilustrowanego" (1895, nr 8) tak pisał zaraz po śmierci Podkowińskiego. „I przyszła śmierć, do której się uśmiechał z jakąś naiwnością dziecka, wyjęła mu z rąk paletę i pędzle, zabrała od stalug, na których zaczęte zaledwie stanęły obrazy i zaprowadziła – na cmentarz. Umarł w kwiecie wieku i talentu, kochały go widocznie bogi, bo go wzięły młodo... Jako artysta mógł jednak powiedzieć o sobie, że życia nie zmarnował".

Później w polskiej historii sztuki Podkowiński zostanie uznany za pierwszego polskiego impresjonistę. Choć zaczynali razem z Józefem Pankiewiczem, to ten drugi jednak bardzo szybko zniechęcił się do tego kierunku. Podkowiński był mu wierny praktycznie do końca swoich dni, choć ostatnie jego malarskie dzieła są już tworzone w nurcie symbolizmu. „Dziś możemy uznać Podkowińskiego za prekursora zarówno w dziedzinie polskiego malarstwa pejzażowego, jak i malarstwa symbolicznego. Podkowiński-artysta, przeżył Podkowińskiego-człowieka" (Charazińska, 1990).



Władysław Podkowiński, „Szał"

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Charazińska E., ***„Władysław Podkowiński"****, Wrocław 2002, Charazińska E.,* ***„Władysław Podkowiński. Katalog wystawy monograficznej"****, Warszawa 1990; Czapski J.,* ***„Józef Pankiewicz. Życie i dzieło. Wypowiedzi o sztuce"****, Warszawa 1936, Reprint Lublin 1992; Gomulicki W.,* ***„Warszawa wczorajsza"****, Warszawa 1961; Jellenta C.,* ***„Śród muz"****, „Prawda" 1890, nr 8; Kossowska I.,* ***„Władysław Podkowiński"****, Warszawa 2006; Olszewski M.,* ***„Dwa listy"****, „Gazeta Wieczorna", 23 grudnia 1911 r.; Osęka A.,* ***„Epizod impresjonizmu warszawskiego (1890–1894)"****, „Szuka i Krytyka" 1957, nr 1; Piątkowski H.,* ***„Władysław Podkowiński"****, Warszawa 1896; Urbanus,* ***„Śmierć obrazu"****, „Kraj" 1894, nr 17; Wierzchowska W.,* ***„Władysław Podkowiński"****, Warszawa 1981.*

eprasa.pl f4b9c5462d



1895–1962 / Potwór z Auschwitz

„Czarny Diabeł” nr 1

FOT. ADOBE STOCK



Sebastian Reńca

Bruno Brodniewicz, starszy obozu Auschwitz, zrobił wiele, by więźniowie go znienawidzili. „Jak sobie upatrzył ofiarę, to zabijał natychmiast, bawiąc się z nią jak kot z myszą: kopiąc, depcząc, skacząc na piersi, łamiąc żebra, kopiąc obcasem w głowę” – wspominał jeden z więźniów obozu

Pociąg wolno wtoczył się na dworzec kolejowy w Krakowie. Było piątkowe południe 14 czerwca 1940 r. Perony przystrojone nazistowskimi flagami ze swastykami tętniły życiem. Z okien wagonu, w którym jechali więźniowie z Tarnowa, widać było wszędzie rozentuzjazmowanych Niemców. Z megafonów wciąż puszczano, na przemian, to marsze, to krzykliwe przemówienia o zajęciu Paryża, o wiktorii Wehrmachtu we Francji.

„Jedziemy dalej. Nastrój wśród nas podły. Nic dziwnego po takiej wiadomości. Za to Niemcy aż tryskają humorem” – pisał Wiesław Kielar w swych obozowych wspomnieniach zatytułowanych „Anus mundi”.

Kielar był jednym z 728 więźniów politycznych, którzy tego dnia w pierwszym transporcie zostali przywiezieni przez Niemców do nowego obozu koncentracyjnego Auschwitz. „Wśród niesamowitego wrzasku esesmanów, popychani i bici, wtłaczamy się w otwartą bramę jak stado ogłupiałych baranów. Na placu przed budynkiem utworzono znowu trudny do przebycia szpaler, składający się tym razem nie z esesmanów, ale z ponurych dryblasów dziwnie ubranych w coś przypominającego do złudzenia pasiaste piżamy. Każdy z nich trzyma w ręku spory kij i macha nim wytrwale w prawo i lewo” – czytamy w „Anus mundi”. Być może tym, który zdzielił wtedy Wiesława Kielara, był Bruno Brodniewicz, więzień numer 1 w KL Auschwitz.

„Czarny Diabeł”

W poniedziałek 20 maja 1940 r. Rapportführer Gerhard Palitzsch przywiózł do obozu oświęcimskiego 30 więźniów – przestępców wybranych na rozkaz komendanta Auschwitz Rudolfa Hössa spośród kryminalistów siedzących

eprasa.pl f4b9c5462d



Bruno Brodniewicz. Zdjęcie obozowe z 1940 r. FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU W OŚWIĘCIMIU

w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Zostali wybrani na więźniów funkcyjnych, którzy – jak pisze Danuta Czech w monumentalnej pracy „Kalendarz wydarzeń w KL Auschwitz" – byli „przedłużeniem" „władz obozowych SS i sprawowali bezpośredni nadzór nad więźniami w obozie i drużynach (komandach) roboczych". Kryminaliści otrzymali numery od 1 do 30. Numerem pierwszym był Bruno Brodniewicz, nazywany przez niektórych więźniów „Schwarzer Teufel" (Czarny Diabeł) lub „Schwarzer Tod" (Czarna Śmierć).

Rotmistrz Witold Pilecki w jednym ze swych raportów tak charakteryzował Brodniewicza: „Największą władzą w lagrze był starszy obozu (Lagerältester). Z początku byli tacy dwaj: Bruno i Leo – więźniowie. Dwóch drani, przed którymi trzęśli się wszyscy ze strachu. Mordujący na oczach wszystkich, jednym czasem uderzeniem kija lub pięści. Prawdziwe nazwisko pierwszego – Bronisław Brodniewicz, drugiego – Leon Wieczorek, dwóch eks-Polaków na służbie niemieckiej… Ubrani inaczej niż wszyscy, w długich butach, granatowych spodniach, kurtkach i takichże beretach (czarna opaska na lewym ramieniu z białym napisem). Stanowili ciemną parę, często chodząc razem".

Andrzej Domagała, autor książki „Należał do przeciętnie złych. Śladem pierwszych trzydziestu więźniów funkcyjnych z KL Auschwitz", dokładnie zbadał i opisał życiorys Brodniewicza, tak jak 29 pozostałych kryminalistów przywiezionych z Sachsenhausen. Bruno, tak jak raportował rtm. Pilecki, faktycznie miał na imię Bolesław, co wynika z aktu urodzenia wydanego przez Urząd Stanu Cywilnego w Poznaniu. Urodził się 22 lipca 1895 r. w stolicy Wielkopolski. Domagała pisze, że Brodniewicz trudnił się włamaniami i kradzieżami, większości z nich dokonał w Berlinie, wraz ze swoim starszym bratem Stefanem.

Był przed czterdziestką, gdy w roku 1934 wylądował w KL Lichtenburg. Następnie był więźniem obozów Esterwegen i Sachsenhausen, gdzie pełnił funkcję blokowego. W tym ostatnim obozie „pracował" również Rudolf Höss, przyszły komendant obozu oświęcimskiego, który opisując Palitzscha, lakonicznie wspominał o Brodniewiczu, nazywając go „»nieśmiertelnym« starszym obozu". Autor jego biografii, Volker Koop, uważa, że Höss świetnie znał Brunona, który „uchodził za brutalnego bandytę, nienawidził wszystkich Polaków i wszystkiego, co polskie, nie tylko ich torturował, ale i znęcał się nad nimi na wszelkie możliwe sposoby", a przecież KL Auschwitz powstał z myślą o polskich więźniach politycznych. Koop dodaje, że dzięki wsparciu Hössa Brodniewicz mógł zawsze czuć się bezpiecznie.

Na kozioł!

Lagerältester, czyli starszy obozu, „otrzymywał od Lagerführera lub Rapportführera polecenia dotyczące szczególnie spraw porządkowych, czystości i dyscypliny, które przekazywał na odprawach blokowym i kapo, i egzekwował ścisłe ich wykonywanie" – tłumaczy Domagała. I cytuje słowa Brodniewicza skierowane do funkcyjnych, przytoczone przez więźnia Jerzego Pozimskiego:

„Wiecie, co macie robić. Macie dbać o czystość i porządek. I jeżeli ktoś nie będzie posłuszny, to macie bić, bo inaczej sami pójdziecie na kozioł!".

W relacjach więźniów Auschwitz zachowały się wspomnienia, które pokazują, że Rapportführer Palitzsch i Lagerältester Brodniewicz często razem poruszali się po obozie. Na przykład Witold Pilecki widział, jak prowadzili oni grupę więźniów idących na śmierć, paląc przy tym papierosy i rozmawiając o jakichś błahostkach.

Wiesław Kielar pisał, jak Palitzsch z Brodniewiczem przyłapali go wraz z jego kolegami na nielegalnym odpoczynku. Zamiast pracować, siedzieli i rozmawiali. „Tak właśnie zastał nas Palitzsch. Stał w drzwiach już od dłuższego czasu, niezauważony przez nas. Za jego plecami czaiła się czarna sylwetka Lagerältestera Bruna" – wspominał Kielar. I dodawał: „Wpadliśmy sromotnie, i to u najgorszych". Według przedstawicieli władz obozowych siedmiu polskich więźniów zasłużyło na karę. Kielar posłusznie położył się na taborecie. „Wypiąłem tyłek. Bruno, trzymając moją głowę między swoimi kolanami, mocno podciągnął mi spodnie, żeby były dobrze opięte. Palitzsch zamierzył się.

– Licz! – warknął Bruno.

– Eins! – Uderzenie mocne, krótkie. Ból tępy, umiejscowiony wzdłuż pręgi, do której przylgnął na moment drąg oprawcy.

– Zwei-i-i-i…! – Co za piekielny ból. Usiłowałem się wyrwać, ale Bruno, stary praktyk, trzymał dobrze.

– Drrreeei…! – Boże! Nie wytrzymam. Rwie, pali, pęcznieje, czuję, jak puchnie. Jeszcze raz: Viiiiier…! jeszcze raz: Fünf!".

Sadysta – tego określenia więźniowie często używali w swych wspomnieniach wobec Brodniewicza. „Wyjątkowy sadysta i okrutnik, szczególnie w pierwszym okresie pobytu w obozie. Organizator osławionego sportu na kwarantannie w czerwcu 1940 roku. Wykonawca kar chłosty, bezlitosny wykonawca tej i innych kar" – relacjonował Eugeniusz Niedojadło. „[…] jak sobie upatrzył ofiarę, to zabijał natychmiast, bawiąc się z nią jak kot z myszą: kopiąc, depcząc, skacząc na piersi, łamiąc żebra, kopiąc obcasem w głowę, twarz i przyrodzenie, wieszał na słupku czterech więźniów na jednym, ręce w tyle" – opowiadał Jan Liwacz. „Rozumiał bardzo wiele po polsku i z tego powodu był szczególnie niebezpieczny dla Polaków. Z niewiadomych powodów właśnie w stosunku do Polaków i księży polskich odnosił się z niespotykanym sadyzmem i ich najbardziej nienawidził" – podkreślał Julian Kiwała. „Przed kuchnią więźniowie pewnego komanda

eprasa.pl f4b9c5462d

zgromadzili się przed kotłami z zupą, gdyż mieli prawo do dolewki. Brodniewicz bił ich kijem po głowach i dwóch z nich zabił, innych ciężko poranił, tak że na bloku 10a jeden z nich umarł" – wspominał Mieczysław Kościelniak.

Bokserski sędzia

2 marca 1941 r. przypadł w niedzielę. Dzień ten był w Auschwitz wolny od pracy. Tadeusz Pietrzykowski, więzień oznaczony nr. 77, znany przedwojenny pięściarz boksujący w warszawskiej Legii, siedział na stosie cegieł i tak jak jego koledzy, rozebrany do naga, wyłapywał wszy w bieliźnie i pasiakach. Nagle od strony budynku kuchni obozowej doszła ich wrzawa i krzyki: „Bij! Zabij!". Chwilę później do więźniów polujących na wszy podszedł kolega i powiedział, że Niemcy się boksują. „Podobno ktoś z was też potrafi" – zagadnął. Ktoś pokazał palcem na Pietrzykowskiego.

– Co, mały, chcesz sobie zarobić na chleb? – zapytał więzień. – No to chodź, poboksuj sobie.

W zaimprowizowanym ringu czekał na Polaka przeciwnik – niemiecki kapo Walter Düning, podobnie jak „Teddy" przedwojenny bokser, który teraz „trenował" na słabych więźniach. Pietrzykowski opisał go jako „blondyna doskonale zbudowanego, o potężnej masie mięśni, malutkich oczach i porozbijanych łukach brwiowych". Ktoś z więźniów rzucił w kierunku Pietrzykowskiego: „Ty, on zabije cię, zje cię". Więzień nr 77 jednak był głodny, a wygrana dawała szansę na przeżycie w obozie.

„Nie byłem fachowcem, nie miałem zbyt wiele możliwości stania się użytecznym w obozie. Moją szansą była walka na ringu. Wszystko kotłowało się w mojej głowie…" – wspominał Pietrzykowski. W końcu „sędzia" krzyknął: „Ring wolny!" i pięściarze ruszyli na siebie. Tym „sędzią" był nie kto inny jak Lagerältester Bruno Brodniewicz.

Tamtej niedzieli Pietrzykowski wygrał dwie walki: na ringu oraz o życie, ponieważ przeżył wojnę, wygrywając kolejne walki. Jednak nie zapomniał o swych kolegach, pomagając im, a ponadto działał w konspiracyjnej obozowej organizacji rtm. Pileckiego.

Fortel Küsela

Przyszedł koniec 1942 r. 29 grudnia z obozu uciekli trzej Polacy: Jan Komski-Baraś, Bolesław Kuczbara, Mieczysław Januszewski, a wraz z nimi Niemiec – więzień funkcyjny nr 2, kapo oddziału zatrudnienia Otto Küsel. Podobnie jak Bruno trudnił się złodziejskim fachem w Berlinie. Wydaje się, że życie przestępcy i więźnia wyrobiło w nim swego rodzaju kodeks honorowy, skoro tak mówił po wojnie o motywach swej ucieczki:

„Miałem do wyboru: zadenuncjować ich albo z nimi uciekać. Gdyby uciekli beze mnie, nikt by mi nie uwierzył, że nie zauważyłem przygotowań do ucieczki. A wtedy przyszłaby kolej na mnie. Denuncjować ich jednak nie chciałem".

O tamtej ucieczce tak opowiadał były więzień Kazimierz Albin: „Küsel zorganizował wóz drabiniasty zaprzężony w dwa konie. Wjechał przez bramę z napisem »Arbeit macht frei« na teren obozu i zgłosił, że z bloku 24 przylegającego do bramy ma zabrać cztery szafy. Wszedł do środka i kazał więźniom przenieść szafy na wóz. Po minięciu posterunków z jednej z szaf wyszedł Januszewski ubrany w mundur SS, z karabinem. Przejechali przez łańcuch zewnętrzny, gdzie okazali dokument uprawniający esesmana i jednego więźnia do przejazdu na zewnątrz. Po oddaleniu się na bezpieczną odległość z dwóch szaf wyszli Kuczbara i Jan Komski-Baraś".

„Dowcipnie zmontowana ucieczka, ułatwiona tym, że Arbeitsdienstowie mogli się poruszać pomiędzy małym a wielkim łańcuchem wart, z dodatkiem sprytnego przebrania się za esesmana i bezczelnego wyjechania w biały dzień wozem z końmi za obóz, za podrobioną przepustką, koło »posta«, któremu domniemany esesman pokazał ją z daleka, miała ten zasadniczy pieprzyk dla wszystkich więźniów obozu, że na skutek znalezionego listu Otta, Lagerältestera Bruna, więźnia nr 1, kata obozu, władze zamknęły na noc sylwestrową do bunkra" – pisał Witold Pilecki.

Rotmistrz nazwał Küsela „wrogiem" Brodniewicza. Zostawił on bowiem rozmyślnie w płaszczu, na wozie porzuconym razem z końmi kilkanaście kilometrów od obozu, list z tekstem: „Szkoda bardzo, że nie mogą Bruna zabrać ze sobą tak, jak się umówili, bo nie mają czasu i muszą spieszyć, a to wspólne złoto, co ma Bruno, trudno – niech już zostawi sobie!".

Faktycznie, w zajmowanej przez Brodniewicza sztubie znaleziono ukryte w piecu złoto i w ten sposób zdegradowany Bruno wylądował w areszcie w bloku 11. Rotmistrz Pilecki, kończąc swą opowieść o Brunie, pisał, że „obóz szalał z radości […], zajadając żywność z paczek od rodzin i opowiadając sobie ostatni kawał o Brunie…". Według Pileckiego Bruno siedział w bunkrze przez trzy miesiące. Po wyjściu wrócił na funkcję starszego obozu, ale w Auschwitz II – Birkenau. Potem pełnił to samo stanowi-



„Początki udręki – łaźnia" Władysława Siwka, reprodukcja pracy prezentowana na wystawie fotograficznej w Oświęcimiu

FOT. SERGII FIGURNYI/ADOBE STOCK

eprasa.pl f4b9c5462d



Leon Wieczorek FOT. PAŃSTWOWE MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

sko w tzw. obozie cygańskim. W czerwcu 1943 r. na kilka dni znów trafił do bunkra w bloku 11, a gdy skończyła mu się kara, został przeniesiony 14 czerwca 1943 r. do nowego podobozu, który mieścił się w Jaworznie.

„W grupie więźniów, którzy przybyli do Jaworzna, znajdował się również więzień numer 1 Bruno Brodniewicz, który tak jak w Oświęcimiu pełnił tu funkcję Lagerältestera. Traktowany był on tutaj jako tak zwany »Ehrenhäftling«, czyli więzień honorowy. W związku z tym przysługiwały mu różne przywileje, jak na przykład wychodzenie do miasta czy otrzymywanie za pracę zapłaty. Pamiętam, że miał do mnie pretensję, że nie daję mu łapówek w postaci żywności, o czym wyraził się do jednego z moich kolegów – relacjonował po wojnie Mieczysław Zięć-Zewski.

Równy esesmanom

Podobóz KL Auschwitz – Neu-Dachs" – w Jaworznie działał od 15 czerwca 1943 r. Zbudowano go przy skrzyżowaniu szosy Jaworzno – Katowice z drogą biegnącą do Wysokiego Brzegu. Więźniowie pracowali w pobliskich kopalniach oraz przy budowie elektrowni.

„Praca w kopalni była niebezpieczna dla życia ludzkiego, a szczególnie dla nas, ludzi niewykwalifikowanych. Można śmiało porównać pracę w kopalni z niebezpieczeństwem, jakie grozi żołnierzowi na froncie, gdyż codziennie było sporo wypadków śmierci, a w najlepszym wypadku złamania rąk, nóg" – opowiadał po wojnie Natan Leibel z Krakowa.

Czech Miloš Nový w wydanej w 1949 r. w Pradze książce „Návrat nežádoucí" opisał, jak Bruno witał nowych więźniów w Jaworznie. Byli oni bici nie tylko przez esesmanów, lecz także przez kapów oraz z ręki Brodniewicza. Czeski komunista nazwał go „potworem w ludzkiej postaci, który terroryzował cały obóz, który nieludzko znęcał się i torturował niewinnych więźniów, który znajdował satysfakcję w sadystycznym biciu innych po gołych pośladkach i który był równorzędnym partnerem SS".

Wkrótce po utworzeniu obozu kilkudziesięciu więźniów postanowiło uciec podkopem, który zaczęli drążyć pod jednym z baraków. Podkop długi na ok. 30 m miał minąć ogrodzenie i zakończyć się przed pobliskim lasem. Niestety, został odkryty 18 października, a ucieczkę planowano na następny dzień. Pracę przy podkopie zauważył jeden z kapo, który nazywany był przez więźniów „Margaryna". Według więźnia Augusta Pietruszki „Margaryna" doniósł o podkopie Brodniewiczowi, a ten władzom obozowym. Dwudziestu siedmiu więźniów biorących udział w pracach przy podkopie zawieziono do KL Auschwitz i tam trafili oni do bloku 11 na śledztwo.

W pierwszych dniach grudnia w jaworznickim obozie zaczęto budować szubienicę – prace nad nią nadzorował Bruno Brodniewicz. Źródła – zarówno dokumenty, jak i relacje – nie pozwalają na jednoznaczne ustalenie liczby skazanych na śmierć. Waha się ona od 17 do 28. Jedno jest pewne – wyrok wykonano w podobozie Neu-Dachs 6 grudnia 1943 r. i jest on jednym z najważniejszych wspomnień więźniów, którzy składali relacje lub zeznawali po wojnie na procesach oświęcimskich.

Szubienicę zbudowano z szyny kolejowej wspartej na trzech słupach. Stanęła ona wzdłuż dłuższego boku baraku numer 8, naprzeciwko placu apelowego. Więźniów zgromadzono na placu, a chwilę później podjechała ciężarówka, z której wysiedli skazańcy. Z pewnością jednym z tych, którzy zakładali im pętle na szyje, był Bruno Brodniewicz. Następnie jeden z esesmanów odczytał wyrok – zarówno po niemiecku, jak i po polsku – podpisany przez Heinricha Himmlera. Zanim ich powieszono, niektórzy krzyknęli na całe gardło po polsku lub po czesku: „Niech żyje Polska!", „Chłopcy, trzymajcie się!", „Niech żyje Czechosłowacja!". Gdy skazańcom wytrącono już stołki spod nóg, Bruno Brodniewicz podchodził do każdego wiszącego więźnia i ciągnął go za nogi.

Bez kary

Więźniowie ponownie posłużyli się podstępem, by pozbyć się „Czarnego Diabła" z Jaworzna. Podrzucili Brodniewiczowi m.in. cywilne ubranie, pieniądze i żywność, a następnie donieśli Niemcom o rzekomo planowanej przez niego ucieczce. Dalszy życiorys Brodniewicza dokładnie opisał Andrzej Domagała. Znów mu się upiekło, nie trafił na szafot ani pod ścianę, tylko został przeniesiony najpierw do podobozu w Świętochłowicach, a później do podobozu w Chorzowie. Gdy do Górnego Śląska zbliżała się Armia Czerwona, Niemcy ewakuowali obóz. Brodniewicz wylądował najpierw w KL Mittelbau-Dora, skąd w marcu 1945 r. został przeniesiony do podobozu Ellrich-Juliushütte, a w kwietniu do KL Bergen-Belsen. 15 kwietnia obóz został wyzwolony przez wojska brytyjskie.

Przez wiele lat sądzono, że Bruno Brodniewicz został tam zlinczowany przez więźniów, którzy trafili do Bergen-Belsen z Auschwitz. Andrzej Domagała pisze jednak: „Brodniewicz po wyzwoleniu KL Bergen-Belsen przybył 30 lipca 1945 roku do Bremy, gdzie po kilku przeprowadzkach zamieszkał przy ulicy Fratenkamp 17. Nie ukrywał swoich personaliów, o czym świadczą choćby wpisy na karcie meldunkowej, gdzie figuruje pod swoim prawdziwym nazwiskiem. Nie próbował natomiast ubiegać się o odszkodowanie za uwięzienie w obozach koncentracyjnych, co mogłoby sugerować, że dawny starszy obozu Auschwitz unikał powrotu do swojej przeszłości. Z zachowanych dokumentów wynika, że w Bremie zajmował się handlem oraz że powojenne lata spędził jako kawaler, nie pozostawiając potomstwa.

Bruno Brodniewicz zmarł 30 października 1962 r. w szpitalu Sebaldsbrück w Bremie w wieku 67 lat".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



FOT. NAC

1916–2000 / Autor „Kamiennych tablic”

Brzemię Wojciecha Żukrowskiego

Po 13 grudnia 1981 r. wystąpił w wojskowym mundurze przed kamerami telewizyjnymi, popierając stan wojenny. To wtedy do mieszkania Żukrowskiego na Karowej zaczęto znosić stosy jego książek, zwracanych przez rozczarowanych postawą pisarza, oburzonych czytelników. Gdy w 1986 r. objął po Halinie Auderskiej prezesurę tzw. neozlepu, nie pomógł chylącemu się ku upadkowi Związkowi Literatów. Sobie zresztą już też specjalnie nie zaszkodził. Mleko dawno było rozlane.



Krzysztof Masłoń

Najwyraźniej wierzył w trwałość PRL, co udokumentował w stanie wojennym, najbardziej szkodząc samemu sobie. „Dobry pisarz, ale czasem coś obrzydliwego potrafi napisać” – oceniał go Stefan Kisielewski

Od dawna przecież uchodził – zdaniem tych, którzy zawsze wszystko wiedzą lepiej – za moczarowca, kryptoendeka i antysemitę. Na nieszczęście piekielnie utalentowanego i nad wyraz poczytnego. Można było robić z niego pupilka władzy,

eprasa.pl f4b9c5462d



Spotkanie pisarzy Hanny Ożogowskiej i Wojciecha Żukrowskiego z Ryszardem Wosińskim, naczelnikiem ZHP FOT. NAC

ale nikt Polakom nie nakazywał wykupywać na pniu kolejnych edycji „Kamiennych tablic" (było ich 13, a osiągnęły nakład ponadmilionowy), opowiadań zebranych w tomie „Z kraju milczenia" czy świetnego, bynajmniej nie tylko dla dzieci, „Porwania w Tiutiurlistanie".

Początki pisarskie Wojciecha Żukrowskiego nie zapowiadały jego przyszłych problemów. W styczniu 1949 r. Jerzy Giedroyc tak oceniał go w liście do Stanisława Stempowskiego: „Jest to największy talent nowy, jaki kraj wydał po wojnie… Żukrowskiego napadają w kraju ze wszystkich stron, i marksiści, i starsi, którzy czytali Gide'a i Paula Valery. Jestem z nim w korespondencji i staram się podtrzymywać go w jego dotychczasowej linii dickensowsko-narracyjnej".

A o tomie „Z kraju milczenia" Kazimierz Wyka wyrażał się z uznaniem nie tylko dlatego, że ten zbiór siedmiu opowiadań uznał w roku 1946 za najpełniejszą książkę o latach walki i okupacji, jaka się dotąd ukazała. Od siebie dodajmy, że podobnie pełnych książek na ten temat i w latach następnych, aż do dnia dzisiejszego, nie napisano wiele. Nie wszystkie teksty z tomu się obroniły, ale „Lotna", „Kantata", a w mniejszym stopniu „Przed furtą" i „Czysta robota" to wciąż absolutne wyżyny pisarstwa oddającego sprawiedliwość tysiącom tych, którzy walczyli i umierali za Polskę.

W wyjątkowo patetycznym – ale w tym wypadku patos był usprawiedliwiony – przedsłowiu do „Z kraju milczenia" Wojciech Żukrowski pisał: „[…] chcę zawlec was, opornych, szyderczych i trwożnych. Cisnąć na kolana przy tych grobach, gdzie pod jarzębiną hełmy strzaskane rdzewieją, gdzie w cieniu kolumnady sosnowej darń zaklęśnięta, stratowana koleinami aut. Poznajcie świętą woń ziemi i krwi! Pochylcie głowy nad dołami pełnymi zmartwychwstania! Może wtedy pojmiecie brzemię, jakie na was spoczywa. Może wtedy uderzy w wasze piersi ich głos. Ten głos bijący z kraju milczenia, głos, który jest prawdziwym – głosem Wolności!".

„Zacieki sarmackie"

Stefan Kisielewski w swoim „Abecadle" tak charakteryzował Żukrowskiego: „[…] – no cóż – bardzo dobry, kiedyś – pisarz. Wystartował świetnie. »Z kraju milczenia« – takie nowele okupacyjno-wojenne, potem »Porwanie w Tiutiurlistanie« dla dzieci – też bardzo dobre. A potem nie wiem, co się z nim stało. Uwierzył w niezniszczalność komunizmu i Polski Ludowej w dawnej postaci, no i zaczął się podlizywać… »To tędy, to owędy«, jeździł na placówki, na wyprawy różne, do Wietnamu, nie do Wietnamu, i myślę, że zatracił właściwie poczucie, kim jest i co robi. Może teraz żałuje, ale jest trochę za późno… Dobry pisarz, ale czasem coś obrzydliwego potrafi napisać, i to publicystycznego. Może Pax go też zatruł trochę, niepotrzebnie się do nich przyłączył".

Cóż, PAX nie dla wszystkich był żelaznym wilkiem, a o jego o przywódcy Wojciech Żukrowski pisał wprost: „Bolesław Piasecki był jedną z najciekawszych postaci politycznych. Nie myślę nawet o ewolucji, jaką przeszedł od Falangi po współpracę z naszymi socjalistami, ale o tym, że działał skazany na inspirowanie innych polityków, świadomy, że jako katolik nigdy się nie dopcha do władzy. W kierownictwie partii wielu oceniało go właściwie, jako jednostkę wybitną, myślącą nie o własnej karierze, tylko o przyszłości narodu. Podkreślam – o przyszłości, nie o losie, jaki już nie od nas zależy".

Wreszcie, poza wszystkim innym, Instytut Wydawniczy PAX był jednym z najlepszych w Polsce edytorów, a Żukrowski publikował, gdzie tylko mógł, a mógł wszędzie, bo był czas, gdy wyrywano sobie jego książki, gwarantowały bowiem sukces finansowy. A czytelnicy jakoś bezbłędnie odnajdywali w jego książkach to, co Piotr Kuncewicz ujął następująco: „W systemie literackich wyobrażeń Żukrowskiego, co nie zawsze musi się pokrywać z wyobrażeniami osoby autora, najwyższą chyba wartością jest kształt świata, jego bujność, wielostronność, tajemniczość czy też piękno po prostu". I nie przeszkadzały im, wytykane przez Wykę przy okazji recenzji opowiadań z tomu „Piórkiem flaminga", występujące w tej prozie „zacieki sarmackie". Powiedziałbym nawet, przeciwnie; była to jej wartość dodana.

Dawno, dawno temu Włodzimierz Maciąg wyliczał takie zalety pióra Żukrowskiego: „Żywość i malowniczość narracji, wyraziste portrety bohaterów, zręczność dramatycznej konstrukcji. Dobre rzemiosło zadecyduje niewątpliwie o »trwałości« czytelniczej tej prozy, plastycznej, krwistej i zmysłowej". Trwałości? Kto dziś, ponad ćwierć wieku po jego śmierci (zmarł 26 sierpnia 2000 r. w wieku 84 lat) czyta Wojciecha Żukrowskiego, pisarza, który śmiał napisać: „Poczucie polskości bywa w pewnych środowiskach kłopotliwe, trzeba mieć sporo odwagi, żeby bronić racji narodu, narażając się na piętno nacjonalisty"?

Zdanie to znalazło się w eseju o Adolfie Rudnickim („Piękny Adolf"), będącym sam w sobie najlepszym dowodem na to, że o jakimś programowym antysemityzmie Żukrowskiego mowy być nie może. A jednak zadziwiająco długi żywot ma historia, którą tu przypomnimy, posiłkując się „Dziennikami politycznymi" Mieczysława F. Rakowskiego. 11 listopada 1978 r. Rakowski odnotował: „Po południu odwiedziłem Jarosława Iwaszkiewicza w Stawiskach. Od lipca już nie opuszcza swego domu. Jest poważnie chory. W gruncie rzeczy można powiedzieć o nim, że gaśnie. Zachowuje jednak świeżość umysłu, z tym że już nie może pisać. »Wszystko, co miałem do napisania – powiedział – już napisałem«. Opowiadał mi także o Żukrowskim, który kilka miesięcy temu w liście do niego napisał, że dziwi mu się, że przyjął funkcję prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, w którym jest jeszcze kilku niedoszlachtowanych Żydów. List był pisany na blankiecie: Wojciech Żukrowski, poseł na Sejm PRL. Jarosław, o co Żukrowski

eprasa.pl f4b9c5462d

miał pretensje, rozgłosił ten fakt. Jarosław mówi: »Uważałem to za swój obowiązek«. Żukrowski – mówi – jest człowiekiem, który nie lubi ludzi, co u pisarza jest raczej rzadkością. Bardzo mu zależy na tytułach, odznaczeniach, nagrodach. Ja osobiście nie przepadam za nim. Uważam go za pieczeniarza. Jego naczelną dewizą, podobnie jak wielu innych, jest – wyciągnąć od państwa i tych głupich komunistów wszystko, co tylko się da. Uważam, że powinno się ustanowić Order Pieczeniarza Polski Ludowej. Na liście tych, którzy powinni go otrzymać, widzę sporo szacownych nazwisk. Teraz, po wyborze papieża, chodzi w glorii, ponieważ Wojtyła był jego kolegą szkolnym. Kilka dni po konklawe Żukrowski i Osmańczyk wystąpili z interpelacją poselską, zapytując ministra łączności, czy nie pomyślał o wydaniu pamiątkowej serii znaczków dla uczczenia tego historycznego wydarzenia. Osmańczyk nagle doznał iluminacji, że jest katolikiem. Podobnego odkrycia dokonał także Hanuszkiewicz".

Kąśliwe uwagi przyszłego premiera i przywódcy, a zarazem grabarza PZPR wystawiają odpowiednie świadectwo tylko jemu samemu, a Żukrowski nie był szkolnym kolegą Karola Wojtyły; znali się i przyjaźnili w okresie krakowskim, z czasów okupacyjnych, gdy studiowali na tajnych kompletach i pracowali w kamieniołomach firmy Solvay (Soda Natronen Fabricke). Pisarz był na papieskim ingresie swego kolegi, korespondowali ze sobą i spotykali się podczas wizyt Jana Pawła II w Polsce. Po śmierci Żukrowskiego papież przesłał telegram, odczytany na pogrzebie przez Piotra Kuncewicza.

Bez mydła

Nie wszyscy przyjaciele z okresu okupacji i pierwszych lat powojennych dochowali mu wierności, ale też trudno mieć o to do nich pretensje. Pisarz im nie pomagał, co można prześledzić, czytając choćby „Dzienniki powojenne" Marii Dąbrowskiej, dla której autor „Z kraju milczenia" był osobą bliską.

30 listopada 1950 r.: „Żukrowskiemu zlecono napisać powieść o kampanii wrześniowej 1939 roku z podkreśleniem bohaterstwa żołnierzy [chodziło o »Dni klęski« – przyp. K.M.]. Widać to jest potrzebne do ewentualnej propagandy patriotyzmu bojowego na wypadek wojny.

Żukrowski piekielnie się boi, ale i niezależnie od tego jest już właściwie »uformowany« na komunistę moskiewskiego obrządku. Jako zdyscyplinowanemu katolikowi (pamiętam, jak jeszcze parę lat temu, nocując u nas, odmawiał wieczorny pacierz na klęczkach) jest mu o wiele łatwiej przystać na komunizm, który jest systemem tak podobnym do katolicyzmu jak lewa rękawiczka do prawej. Pominąwszy tylko zasadniczą różnicę w poglądzie na istotę jednostki ludzkiej. W katolicyzmie cele społeczne realizują się przez jednostkę, w komunizmie cele indywidualne realizują się tylko poprzez społeczność".

Z Dąbrowskiej jej „wolnomyślicielstwo" wychodziło przy każdej okazji, każdym porem skóry, jednak następne uwagi o Żukrowskim są więcej niż wymowne:

28 października 1955 r.: „Zebranie [Związku Literatów Polskich – przyp. K.M.] było niesmaczne, robiono dobrą minę do złej gry. Kruczkowski »rozdarł szaty« nad nieoczekiwaną przemianą Ważyka, który napisał był piękny wiersz »Lud wchodzi do śródmieścia«, a teraz zbezcześcił lud polski wierszem »Poemat dla dorosłych«. W odpowiedzi na to Putrament, Broszkiewicz i Żukrowski wygłosili mowy o własnych »przemianach«, nie żeby bronić Ważyka, tylko że niby są i dobre przemiany, a mianowicie, którym oni ulegli. Żukrowski powiedział nawet, że on uległ swojej zbawczej przemianie, »stawiając – dla partii – na kartę życie, bo w Wietnamie był jak na froncie«. Ten chłopak włazi już bez mydła, robi się kompletnie nieprzyzwoity tak w życiu prywatnym, jak publicznym. Żal mi go".

10 stycznia 1959 r.: „[...] był u nas na obiedzie Wojtek [...].













Było bardzo nieprzyjemnie. Zrobił się paksowsko-partyjny, wściekły antysemita, zupełnie przedwojenny oenerowiec. Nic żadne wysiłki nie pomogą. Tej przyjaźni nie da się nadal utrzymać. Szkoda. Smutno".

Gustaw Herling-Grudziński w 2000 r. w rozmowie z Anną Bikont i Joanną Szczęsną powiedział, że tak czy inaczej Żukrowski „nie był taką świnią jak Brandys, nie pisał takich rzeczy jak opowiadanie »Nim będzie zapomniany«". Natychmiast jednak czujne „wywiadowczynie" z „Gazety Wyborczej" upomniały go:

„– Proszę Pana, Kazimierz Brandys był potem przez całe lata w opozycji, zaś Żukrowski ześwinił się wystarczająco w stanie wojennym, by ich nie porównywać.

– Wiem, dlatego nie utrzymuję dziś z Żukrowskim stosunków. Podczas pobytu w Warszawie dowiedziałem się zresztą, że spytał kogoś: »Czy Gustaw zechce się ze mną zobaczyć?«. I bardzo się z tego cieszę. Wie, że był nie w porządku".

Wcześniej, w latach 60., uważano Żukrowskiego za czołowego moczarystę, zwracając uwagę na napisanie przez niego scenariusza do ekranizacji „Barw walki" Mieczysława Moczara dokonanej w 1964 r. przez Jerzego Passendorfera. Z czasem upowszechniono wieść, jakoby Żukrowski sam te generalskie wspomnienia napisał, w co uwierzył m.in. Edward Gierek, powtarzając ten zarzut w swojej „Przerwanej dekadzie". Żukrowski konsekwentnie zaprzeczał plotce, tym razem jednak poszedł ze sprawą do sądu i po ciągnącym się przez cztery lata procesie zapadł wreszcie wyrok nakazujący Gierkowi przeproszenie pisarza za pomówienie. Czymś innym było w końcu napisanie scenariusza do filmu, a zgoła czymś innym napisanie książki

eprasa.pl f4b9c5462d

Wojciech Żukrowski zbyt blisko trzymał się komunistycznej władzy, wierząc w jej trwałość. Ale był jednym z takich pisarzy, którzy nie rodzą się na kamieniu. A to niemało

czy chociażby współudział w jej powstawaniu.

Nawiasem mówiąc, Żukrowski miał wcale poważny dorobek filmowy, zaczynając od „Lotnej" Andrzeja Wajdy (1959), w której nawet wystąpił jako żołnierz. Zrealizowane zostały i inne jego utwory, powieści i opowiadania, m.in.: „Skąpani w ogniu" (1963), „Lis" (1975) czy „Kamienne tablice" (1983). Był scenarzystą „Barw walki", a także „Kierunku Berlin" i „Ostatnich dni", a nawet „Potopu" (1973–1974), przykrawając dzieło Sienkiewicza na potrzeby kinematografii. Pisywał dialogi do filmów, bywał też konsultantem, m.in. „Hubala" (1973).

Owoce Azji

Miał Żukrowski bogaty, a i pod wieloma względami wyjątkowy życiorys. Brał udział w wojnie 1939 r., bronił Różana, został ranny pod Tomaszowem Lubelskim, dostał się do niewoli, z której zbiegł. W okupacyjnym Krakowie konspirował, był w Armii Krajowej, wchodził w skład Unii, ważnej organizacji Polski Podziemnej, zrzeszającej takie postaci jak m.in. Zofia Kossak-Szczucka, Artur Górski, Stefan Jaracz, a i Jerzy Turowicz, Kazimierz Wyka, jak również, wtedy jeszcze student, Karol Wojtyła.

Po zajęciu Krakowa przez Armię Czerwoną wstąpił do Wojska Polskiego, gdzie objął dowództwo batalionu samochodowego, pozostając do dyspozycji gen. Aleksandra Zawadzkiego. Kariery w wojsku Wojciech Żukrowski jednak nie zrobił, w czym zaszkodziła mu i AK-owska, i katolicka przeszłość. Przeniósł się wtedy do Wrocławia, dokończył studia i cały czas pisał. Po świetnym początku, z różnym już powodzeniem. Socrealizm, w który zresztą zbytnio się nie zaangażował, był dla niego marnym czasem. Napisał wówczas, wbrew tytułowi, nie za mądre „Mądre zioła", a w 1953 r. wydał „Dni klęski", porównywane z „Wrześniem" Putramenta, co trudno uznać za tytuł do chwały. Tyle że władze w końcu uznały go, po okresie nieufności, za swojego, otwierając przed nim… przejście graniczne. Tyle że do… Azji, co w efekcie zaowocowało wydanymi w 1966 r. bestsellerowymi „Kamiennymi tablicami".

Wcześniej jeździł do Chin, Laosu i Wietnamu, opiewał bohaterstwo tamtejszego ludu, poznając przy okazji Azję na tyle dobrze, że nagrodzono go za to stanowiskiem radcy kulturalnego polskiej ambasady w New Delhi (1956–1959). I to tam znalazł materiał do „Kamiennych tablic", choć naprawdę czytelnicy masowo kupowali tę powieść nie dla opisów egzotycznych zwyczajów, nie dla ognistego romansu nawet, ale dla wątku dotyczącego Węgier, dokąd w 1956 r. wjechały czołgi Armii Czerwonej, kładąc kres wolnościowym nadziejom Madziarów.

Sukces „Kamiennych tablic" miała, w zamierzeniu, powtórzyć, zakrojona na podobną, powieść „Plaża nad Styksem" (1976). Rzeczywiście, sprzedawała się dobrze, tyle że ta dziejąca się w Rzymie na pisarskim kongresie historia miała fragmenty nie do zaakceptowania. A już ocena marca 1968 r., z przypominaniem, że „ani jeden pisarz w Polsce nie był w czasie zajść aresztowany. Żaden, żaden! Nawet ci, co Sartre'a podpompowali, nie ośmielili się podać nazwisk. Wobec zajść na Sorbonie, w Belgradzie i tu u was w Rzymie, na sąsiednich ulicach nasze demonstracje studenckie były chłopięcymi wybrykami", budzić mogła jedynie niesmak.

Dysproporcje

Plastyczność jego prozy powodowała, że swego czasu przylgnęła do niego etykieta batalisty, po cichu porównywanego ze Stanisławem Rembekiem. W jakiejś mierze wynikało to z popularności „Lotnej" sfilmowanej w 1959 r. przez Andrzeja Wajdę. Warto przypomnieć, co po premierze tego filmu napisała w dzienniku Maria Dąbrowska: „Jest kilka świetnych scen, zwłaszcza stary Rómmel (brat generała) doskonale gra księdza-kawalerzystę, porzucającego pogrzeb zabitego oficera dla przejechania się na jego »Lotnej«. Ale w całym filmie jest mnóstwo dysproporcji, których albo u Żukrowskiego nie ma, albo też zostały dopiero przez ekran obnażone.

Gdy do tragedii, jaką był wrzesień, wprowadza się taką dawkę groteski, to i tragedia musi być potraktowana w innej, nie tak realistycznej konwencji (co zostało tak świetnie zachowane w filmie »Czerwona oberża«). I ograniczenie września 1939 roku wyłącznie do akcji kawaleryjskiej zakrawa na kpinę". Autorka „Nocy i dni" w tym wypadku miała stuprocentową rację.

W przeciwieństwie do wielu swych kolegów po piórze nie stał się Żukrowski zakładnikiem jednego, wojennego tematu. Znakomicie radził sobie i w zgoła innej literaturze, choćby dziecięcej, że wspomnieć tu wypada dziejące się w baśniowej krainie „Porwanie w Tiutiurlistanie", które doczekało się po latach – w 1985 r. – kontynuacji w książce „Na tronie w Blabonie". Ale wtedy Żukrowski był już pisarzem wyklętym i w „dobrym" towarzystwie nie wymieniało się jego nazwiska.

Tak to trwało, pisarz gryzł się pewnie tym wszystkim, ale na szczęście nie poniechał pisania, zajmując się m.in. zawsze go pasjonującymi opowieściami niesamowitymi, nadrealnymi, historiami o duchach i wszelkich zjawiskach paranormalnych. Jakoś wtedy popełniłem, chyba po wydaniu „Za kurtyną mroku", bo raczej nie był to „Czarci tuzin", recenzję książki, publikując ją w „Rzeczpospolitej", co zdumiało Daniela Passenta, tradycyjnie postrzegającego w sobie samym arbitra elegancji. No bo do czego to podobne, by przypominać pisarza wyklętego?!

Trudno i darmo. Był budowniczym Polski Ludowej, łasym na splendory wzorcowym bezpartyjnym poputczykiem, stanowczo zbyt blisko trzymającym się władzy i chyba wierzącym w trwałość PRL, co udokumentował w stanie wojennym, najbardziej szkodząc samemu sobie. Ale był jednym z takich pisarzy, którzy nie rodzą się na kamieniu. A to niemało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Józef Piłsudski w Sali Malinowej hotelu Bristol w Warszawie, 1923 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Książka miesiąca / Ścieżki Piłsudskiego

„Wiktor”, Komendant, Marszałek

Profesor Mariusz Wołos pisze we wstępie do swojej książki, że jest to opowieść biograficzna o Józefie Piłsudskim, mająca charakter eseju. Nie mamy tu zatem do czynienia z klasyczną biografią i dlatego nie znajdziemy w książce przypisów. Nie jest to też praca obciążona mnóstwem dat, miejsc, nazwisk i innych szczegółów. To w gruncie rzeczy książka o nieprzeciętności Piłsudskiego, którą czyta się świetnie. Nieprzeciętność bohatera nie oznacza jednak, że mamy do czynienia z jego hagiografią.

Czy Piłsudski był socjalistą? Bywało, że bohatera książki prof. Wołosa usiłowano odgrodzić od socjalizmu i uczynić z niego jedynie działacza niepodległościowego, który w drodze do celu instrumentalnie wykorzystał PPS. Autor uważa, że Piłsudski, towarzysz „Wiktor”, był socjalistą, zaznaczając zarazem, że był twarzą „socjalizmu niepodległościowego”. Powstał on w ogniu sporów z „socjalizmem internacjonalistycznym”.

Piłsudski znał Rosję jak żaden inny kraj, wychował się przecież w imperium carów i odbywał tam karę zesłania. Ale, zdaniem autora, ta znajomość Rosji była ważna w kontekście pytania, które stawiał sobie Piłsudski: ustrój demokratyczny czy silne państwo. I właśnie z Rosji czerpał on wzór silnego państwa, budowanego po przewrocie majowym. Bez wątpienia rozlew krwi był dramatem dla Marszałka, gdyż wydawało mu się, że obalenie rządu, tylko na skutek wejścia do Warszawy wiernych Piłsudskiemu wojsk, obędzie się bez jednego wystrzału. Profesor Wołos podkreśla starania obu walczących stron, by walki jak najszybciej się skończyły i nie rozlały się w formie wojny domowej na cały kraj.

Jednym z aspektów nieprzeciętności bohatera książki było to, że – jak stwierdza autor – potrafił porywać ludzi swoją ideą. A mowa tu m.in. o budowaniu przed 1914 r. kadr przyszłego Wojska Polskiego – związków strzeleckich. Wbrew powiedzeniu, przypisywanemu Piłsudskiemu, nie wysiadł on z czerwonego tramwaju na przystanku niepodległość. Uczynił to, jak zauważa Wołos, 10 lat wcześniej, gdy założył mundur organizacji strzeleckiej. Tworząc ją, nawiązywał do swego przekonania, że każde pokolenie Polaków musi podjąć walkę o niepodległość. A – jak stwierdza autor – wówczas, w pierwszych latach XX w., wielu młodych ludzi miało dość konformizmu, ugody z zaborcami, rwało się do czynu. I właśnie czyn strzelców, wymarsz z Oleandrów w sierpniu 1914 r., był inspiracją dla stworzenia Legionów Polskich. Jak jednak podkreśla prof. Wołos, powstały one w opozycji do insurekcyjnej idei Piłsudskiego

Przekonująco brzmi opinia autora, że Piłsudski, decydując się w 1930 r. na brutalną rozprawę z opozycją, która zapowiadała masowe demonstracje, chciał uniknąć kolejnego, po tzw. wypadkach krakowskich z 1923 r. i przewrocie majowym, rozlewu krwi. Jednocześnie prof. Wołos stwierdza, że działaczy opozycji, cywilów wtrąconych do wojskowego aresztu, pozbawionych wolności bez decyzji sądu, potraktowano haniebnie. Co się zaś tyczy Berezy Kartuskiej, autor nazywa ją obozem pracy przymusowej, podkreślając, że trafiali do niej głównie komuniści i ukraińscy nacjonaliści. A więc zdeklarowani przeciwnicy II RP i jej integralności terytorialnej. Autor nie zgadza się z pokutującym opiniami, że powstanie obozu w Berezie było inspirowane niemieckimi obozami koncentracyjnymi. ©℗

Tomasz Stańczyk



MARIUSZ WOŁOS
„JÓZEF PIŁSUDSKI. RZECZ O NIEPRZECIĘTNOŚCI”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

eprasa.pl f4b9c5462d

Zapomniane sowieckie ludobójstwo

Operacje narodowościowe" prowadzone w Rosji sowieckiej pozostają wciąż jednymi z mniej znanych zbrodni. „Operacja polska" NKWD jest jedną z nich. Jest tak dlatego, że w ostatnich latach skupiono się w Polsce głównie na ofiarach zbrodni katyńskiej, oficerach WP, policjantach, a także na cywilach wymordowanych w 1940 r. Z tego powodu inne masowe sowieckie zbrodnie pozostawały na uboczu zainteresowań historyków i społeczeństwa. Katyń stał się symbolem sowieckiego okrucieństwa, ale przecież nie był jedynym miejscem gehenny Polaków. Do innych zbrodni zaliczyć można choćby obławę augustowską z lipca 1945 r. i „operację polską" NKWD. Jej ofiarami padło kilka razy więcej Polaków, niż było ofiar zbrodni katyńskiej.

Początek „operacji polskiej" NKWD to 11 sierpnia 1937 r. Komisarz spraw wewnętrznych Nikołaj Jeżow wydał tamtego dnia rozkaz nr 00485 aresztowania tysięcy Polaków zamieszkujących Związek Sowiecki. Zatrzymywano tych, którzy brali udział w wojnie polsko-bolszewickiej, oraz rzekomych członków organizacji uznanych za wrogie wobec systemu komunistycznego, jak Polska Organizacja Wojskowa, wymyślona przez NKWD. Winą było samo bycie Polakiem, nasi rodacy w Sowietach zostali uznani gremialnie za element niepewny i wrogi. Zgodnie z logiką Sowietów każdy podejrzany stawał się automatycznie winny. Uwięziono ok. 140 tys. Polaków, spośród których 111 tys. zamordowano. Pozostałych zesłano do łagrów. Polacy stanowili prawie 45 proc. wszystkich śmiertelnych ofiar operacji narodowościowych NKWD.

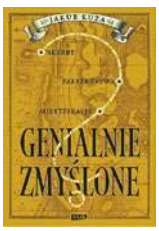
Praca jest pokłosiem konferencji naukowej z 2017 r. i – jak piszą redaktorzy – wszystkie teksty pozostają aktualne. Niestety, zablokowany dostęp do archiwów rosyjskich i represje wobec ludzi zajmujących się dziś w Rosji wielkim terrorem zahamowały dalsze ustalanie prawdy o tych dramatycznych wydarzeniach. W pracy zebrano wszystkie najważniejsze informacje dotyczące „operacji polskiej" NKWD. Autorami tekstów są badacze z Polski i kilku innych państw, dzięki czemu do naszej wiedzy o tej sowieckiej zbrodni wprowadzone zostały nowe wątki. ©℗ ***Annna Szczepańska***



RED. PAWEŁ LIBERA, MACIEJ WYRWA
„»OPERACJA POLSKA« NKWD 1937–1938. PRZYWRACANIE PAMIĘCI O ZBRODNI"
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Szczyty mistyfikacji

Na ścianie muzeum zamkowego w Liwie zawieszono tabliczkę z hołdem: „Ottonowi Warpechowskiemu, bohaterskiemu obrońcy zamku podczas II wojny światowej". Jak ten młody fascynat archeologii uratował zamek przed barbarzyńskimi planami SS-Sturmbannführera Ernsta Gramssa? Otóż rozbiórkę powstrzymała sprytna bajeczka o Krzyżakach. Autor ma rację: rozmowa przeprowadzona przez młodego Polaka z esesmanem byłaby świetnym początkiem filmu sensacyjnego. Takich historii znajdziemy w tej książce dużo więcej. ©℗ ***(p.w.)***



JAKUB KUZA
„GENIALNIE ZMYŚLONE"
ZNAK



TOMASZ SIKORSKI
„ELIGIUSZ NIEWIADOMSKI"
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

MALARZ ZABÓJCA

Eligiusz Niewiadomski pewnie już zawsze będzie kojarzony wyłącznie jako morderca prezydenta Gabriela Narutowicza. Biografia Niewiadomskiego jest jednak znacznie bogatsza, co udowadnia autor. Przed zabójstwem Niewiadomski był uznanym malarzem, historykiem sztuki, wykładowcą. Co popchnęło go do zamachu w Zachęcie? Kim naprawdę był? ©℗ ***(a.s.)***



RYSZARD LEGUTKO
„REKAPITULACJA"
FRONDA

CZAS PODSUMOWAŃ

Wspomnienia jednego z najbardziej znanych po prawej stronie sceny politycznej intelektualistów, a przede wszystkim filozofa. Legutko wraca myślami do wydarzeń i spraw, które go ukształtowały. Nie brakuje tu także Platona, którego Legutko był tłumaczem i komentatorem. Ciekawe spostrzeżenia i lekcja historii z perspektywy autora. ©℗ ***(a.s.)***



ROGER LANCELYN GREEN
„MITY I LEGENDY STAROŻYTNEGO EGIPTU"
ZYSK I S-KA

W KRÓLESTWIE OZYRYSA

Starożytny Egipt, o którym wiele napisano, nie przestaje fascynować. Niełatwo zrozumieć tamtą cywilizację, tym bardziej że zmieniała się przez ponad 3 tys. lat. Mity i opowieści zebrane przez Greena przybliżają realia starożytnego Egiptu. W co wierzyli Egipcjanie? Kto ich zdaniem stworzył świat? Jak żyli faraonowie, a jak przeciętni mieszkańcy krainy nad Nilem? ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl f4b9c5462d

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Wykiwać Pana Boga

Dopiero niedawno znalazłem w przypadkowo zdjętej z półki książce – rzecz czytałem już wcześniej, ale do tego akurat przypisu nie zajrzałem – jak to było z tym „sprzedawaniem rozgrzeszeń i odpustów", które, co wbijano nam w głowy w PRL-owskiej szkole, stanowić miało dowód rozkładu średniowiecznego Kościoła rzymskiego oraz uzasadnienie buntu Lutra i Kalwina.

Rzecz w oczywisty sposób oburzająca – no, rzeczywiście, myślał sobie młody uczeń, jeżeli papieże i biskupi pozwalali sobie na takie numery, to trudno o większy b... bałagan, powiedzmy. I co ci głupi średniowieczni ludzie sobie myśleli? Naprawdę sądzili, że na Sądzie Pańskim będą brane pod uwagę jakieś wystawione tu kwity, a nie zeznania Aniołów Stróżów?

Tymczasem rzecz była bardziej zniuansowana. Otóż Kościół nigdy rozgrzeszeń ani odpustów nie sprzedawał – formalnie. Nawet najbardziej niegodny sługa boży musiał przecież zdawać sobie sprawę, że byłoby to sprzeniewierzenie się podstawowym zasadom. Ale w ówczesnych układach społecznych odpuszczenie win nie było, jak dziś, wyłącznie sprawą sumienia. Miało moc decyzji administracyjnej. Zwłaszcza tam, gdzie w grę wchodziła konieczność zmazania jakiejś klątwy bądź innej kary kościelnej, bez czego nie można było objąć urzędu czy załatwić jakichś podstawowych spraw. Wtedy trzeba było się urzędowo wykazać, przedstawiając odpowiednie zaświadczenie, że sprawa została uregulowana.

A że za wystawienie zaświadczenia pobiera się opłatę stemplową czy jakkolwiek ją nazwać – to już przecież nie jest żadna aberracja ani nic dziwnego. Tak działa każda biurokracja, a Kościół, Matka Nasza, w swej ziemskiej działalności musi wszak być m.in. także urzędem.

Powie ktoś, że to subtelna różnica i współcześni mieli pełne prawo streszczać sobie całą procedurę jako „kupowanie" nie tylko kwitu, lecz także decyzji, którą on poświadczał. Sprawa bardzo przypomina współczesne „kościelne rozwody". Nikt konsystorskich decyzji nie nazywa inaczej, choć Kościół podkreśla na każdym kroku, że rozwodów nie udziela i nie może udzielać, choćby nie wiem, jak chciał, bo małżeństwo jest i musi być nierozerwalne. Jest natomiast Kościół władny stwierdzić, że dany związek nigdy tak naprawdę nie został zawarty, bo... i tu jest cała lista kanonicznych przyczyn, począwszy od uchybień formalnych, które pozwalają to stwierdzić. Powiedzmy sobie szczerze: odkąd do tej listy dopisano stwierdzenie przez sąd biskupi, że jedna ze stron w chwili zawarcia związku nie była do niego dojrzała, to cóż... W czasach ogólnej niedojrzałości uzyskanie orzeczenia stało się wyłącznie kwestią proceduralną. Kościół może zaś sam siebie z ewentualnych nadużyć rozgrzeszyć, że, cóż, my przyjmujemy zeznania stron i świadków jako złożone w dobrej wierze, jeśli ktoś coś zakombinował, to spada na jego sumienie, nie biskupa.

Pewną pociechą niech będzie to, że skłonność do oszukiwania Boga jest we wszystkich kulturach i religiach równie powszechna, jak wiara w jego nieomylność – Bóg jeden wie, jak ludziom się to udaje pogodzić, ale się udaje. Od podróżników można czasem słyszeć, jak to muzułmanie np. piją przy szczelnie zamkniętych oknach i drzwiach, żeby Allah nie widział, albo proszą, by częstując ich, oszukać, że to na talerzu to nie jest zakazana wieprzowina. Co tam w końcu niewiernemu, że złamał zakaz Proroka, którego i tak nie uznaje? Życie wieczne życiem wiecznym, ale tu, na razie, trzeba sobie jakoś radzić. ©℗

/ Pewną pociechą niech będzie to, że skłonność do oszukiwania Boga jest we wszystkich kulturach i religiach równie powszechna, jak wiara w jego nieomylność

eprasa.pl f4b9c5462d

/ Felieton



Piotr Semka

Dwaj krzepiciele serc

Nie ma chyba w Polsce miasta, w którym nie byłoby ulicy Henryka Sienkiewicza. Twórca „Trylogii" został też uhonorowany licznymi pomnikami, m.in. w Warszawie (w Łazienkach Królewskich), Kielcach, Bydgoszczy, Częstochowie, Toruniu, a nawet w Rzymie. Wciąż żyje pokolenie, które wychowało się na przygodach Skrzetuskiego, Kmicica czy pana Wołodyjowskiego. Na przełomie lat 60. i 70. legendę „Trylogii" wzmocniły wspaniałe ekranizacje „Pana Wołodyjowskiego" i „Potopu", a po latach doszedł do tego film „Ogniem i mieczem" w reżyserii Jerzego Hoffmana.

Natomiast zupełnie nieznany jest w Polsce czeski odpowiednik Sienkiewicza, czyli Alois Jirásek. Byli niemal rówieśnikami. Sienkiewicz urodził się w 1846 r., a Jirásek tylko pięć lat później. O ile jednak Sienkiewicz zmarł w 1916 r., w trakcie pierwszej wojny światowej, i nie dożył niepodległej Rzeczypospolitej, o tyle Jirásek miał więcej szczęścia i odszedł z tego świata w 1930 r., u szczytu potęgi republiki Tomasza Masaryka.

Obaj pisarze byli obsypywani wyrazami uznania ze strony wdzięcznych społeczeństw jako budziciele dumy narodowej i – by użyć polskiego określenia w stosunku do Sienkiewicza – krzepiciele serc! Ale jeżeli spojrzeć na to z dystansu, to cóż za ogromny kontrast ideowy cechował ich dzieła...

O ile „Trylogia" to duma z osiągnięć narodu i bitności jej rycerzy połączona z afirmacją wspólnotowej roli polskiego katolicyzmu, o tyle w powieściach Jiráska sławieni są Jan Hus i rewolta husycka przy jednoczesnym przedstawianiu Kościoła katolickiego jako sojusznika Niemców i cesarstwa.

Trylogia Aloisa Jiráska składała się z trzech części: „Między prądami", „Przeciw wszystkim" i „Bracia". Jego książki przedstawiają walkę husytów ze zdominowanym przez Niemców cesarstwem. Tytuły te wychowały całe pokolenie, które stanęło na czele walki o niepodległość Czechosłowacji w latach 1914–1919. Jirásek był protestantem, więc w naturalny sposób uznawał ruch husycki za protoplastę reformacji, której symbolem, 100 lat po Husie, był Marcin Luter. Ale mimo swego protestantyzmu Jirásek był też żywiołowo antyniemiecki. Trudno się temu dziwić, skoro na przełomie wieków XIX i XX. Czesi zmagali się z dążeniami tutejszych Niemcowi do sprawowania kontroli nad mniej rozwiniętym – w opinii elit niemieckich – „żywiołem czeskim".

Nic więc dziwnego, że gdy powstała Republika Czechosłowacji, państwo łożyło na wielosettysięczne edycje dzieł Jiráska. Dzięki temu stały się one lekturą szkolną i „trafiły pod strzechy". Niemcy, którzy zajęli Czechy w marcu 1939 r., nie przepadali za Jiráskiem z racji licznych akcentów antyniemieckich pojawiających się w jego powieściach historycznych, ale też jakoś specjalnie go nie zakazywali.

Efektowny „comeback" XIX-wiecznego pisarza nastąpił po przejęciu władzy przez komunistów w lutym 1948 r. Czesi mieli dobrze rozwinięty, nietknięty wojną przemysł filmowy i nowy minister kultury, Zdeněk Nejedlý, sypnął hojnie pieniędzmi z państwowej kasy na realizację trzech superprodukcji odpowiadających kolejnym częściom trylogii Jiráska. Notabene te efektowne filmy, nakręcone w kolorze, były impulsem dla Władysława Gomułki, aby zrobić coś podobnego w związku z przypadającą w 1960 r. okrągłą rocznicą bitwy pod Grunwaldem.

Komuniści czechosłowaccy z chęcią sięgnęli po mit trylogii Jiráska, ponieważ jego antykatolicki ton dobrze pasował do represji wobec Kościoła prowadzonych w latach 50. Jednak to, że Czesi swoją Jiráskową trylogię sfilmowali w latach 1953–1957, paradoksalnie zaszkodziło popularności narodowego wieszcza. A jak jest dziś? Oficjalnie pisarz nadal cieszy się uznaniem ze strony państwa, choć jego powieści nieco się już zestarzały.

Nie patrzmy jednak na Czechów z wyższością. Przecież dziś trudno już w Polsce znaleźć nastolatka, który przebrnąłby przez pękatą „Trylogię" Sienkiewicza. Jedyna nadzieja w tym, że jakiś młody polski reżyser zadziwi nas nową wersją „Potopu" czy „Pana Wołodyjowskiego". Młodzi twórcy – do kamer! ©℗

eprasa.pl f4b9c5462d



2 grudnia 1805 r. / 220. rocznica francuskiej wiktorii

Słońce Austerlitz



Grzegorz Janiszewski

Propaganda, która towarzyszyła zwycięstwu nad siłami rosyjsko-austriackimi oraz polityczne znaczenie wygranej sprawiły, że Austerlitz postrzegane jest jako moment, kiedy „słońce Cesarza" zaświeciło najjaśniej

W mroźną, grudniową noc Napoleon w towarzystwie marszałków Nicolasa Jeana de Dieu Soulta i Jeana Lannesa obchodził pozycje swoich żołnierzy, położone wśród pagórków i parowów na zachód od niewielkiego Sławkowa pod Brnem na Morawach. Próbował zwykłej strawy, rozmawiał z żołnierzami, motywując ich do walki, grzał się przy ich ogniskach.

Odchodząc od jednego z nich, zabłądził wśród ułożonych wokół stert opału. Kapitan grenadierów Boucault chwycił wiązkę słomy, podpalił od płonącego ogniska i oświetlił Napoleonowi drogę. Widząc to, inni żołnierze zrobili to samo. Wkrótce francuski obóz w nocnych ciemnościach rozświetlały setki płonących pochodni. Obserwujący to z położonych naprzeciw stoków płaskowyżu Prace Rosjanie i Austriacy byli przekonani, że Francuzi stchórzyli i właśnie w pośpiechu szykują się do opuszczenia swoich pozycji. Napoleon zrobił wiele, żeby jego przeciwnicy tak właśnie myśleli.

Pozorny podział

Ta wojna nie była niespodziewana. Pokój z Amiens z 1802 r. kończył 10-letni okres wojen koalicji przeciw Francji. Nie rozwiązał jednak powstałych w Europie napięć. Cesarz spodziewał się nowego konfliktu z Wielką Brytanią. Na wybrzeżu kanału La Manche dwa lata przygotowywano oddziały do inwazji na Wyspy Brytyjskie. Jednak przystąpienie do sojuszu z Anglikami cara Aleksandra, a zwłaszcza pobitych już kilka razy Austriaków, było zaskoczeniem.

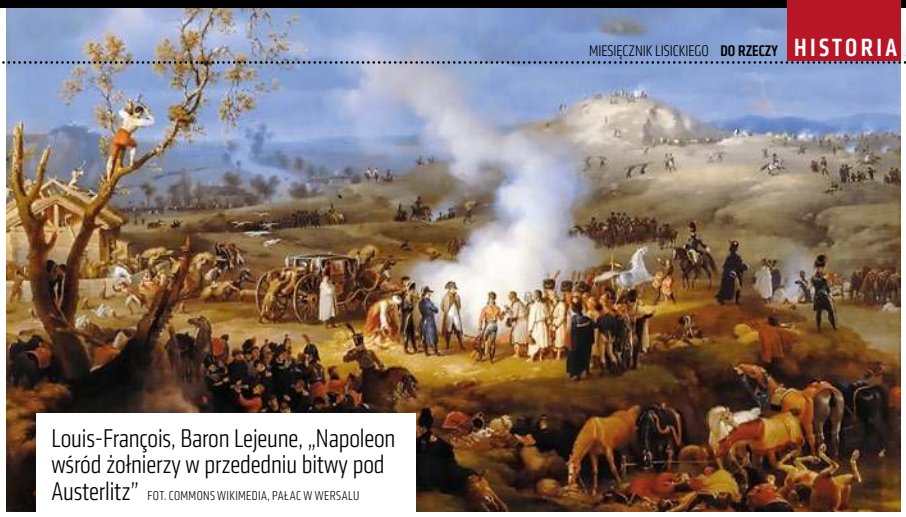
Oddziały inwazyjne – przemianowane teraz na Wielką Armię – pod koniec sierpnia 1805 r. wyruszyły nad Ren. Każdy żołnierz miał w plecaku dwie pary zapasowych butów. Dwa miesiące później 30 tys. Austriaków poddało się bez walki w oblężonej twierdzy Ulm. Dowodzący rosyjskimi posiłkami Kutuzow wycofał się wtedy w kierunku Wiednia i dalej, na Morawy. Plan Napoleona wydania walnej bitwy zaczął się chwiać. Pościg za Kutuzowem w głąb terytorium nieprzyjaciela z resztą niepobitych Austriaków na karku łatwo mógł skończyć się klęską. Na północy mobilizację rozpoczęli Prusacy, gotowi przystąpić do antynapoleońskiej koalicji. Trzeba było działać szybko. Najpóźniej w ciągu dwóch tygodni musiało dojść do walnej bitwy.

Żeby zmusić do niej sprzymierzonych, Napoleon obmyślił sprytny plan. Sam z głównymi siłami rozlokował się pod Brnem. Dywizję z korpusu Jeana-Baptiste'a Bernadotte'a wysłał pod Igławę, gdzie wiązała ona korpus austriackiego arcyksięcia Ferdynanda. Louis Nicolas Davout ze swoim 3. korpusem rozlokowany został w okolicach Wiednia i Bratysławy. Tworzyło to wrażenie podziału

eprasa.pl f4b9c5462d



François Gérard „Bitwa pod Austerlitz, 2 grudnia 1805 r.” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC W WERSALU



Louis-François, Baron Lejeune, „Napoleon wśród żołnierzy w przededniu bitwy pod Austerlitz” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC W WERSALU

sił, które nie mogły działać razem bez przynajmniej kilkudniowej koncentracji.

Kiedy car Aleksander I przybył do Ołomuńca, Napoleon zaczął dyplomatyczną grę. Proponował spotkanie w celu omówienia zawarcia pokoju, wycofując oddziały z wysuniętych pozycji. Rosjanie i Austriacy dali się na to nabrać. Nastroje w ich sztabie były bojowe.

Sprzymierzeni ruszyli spod Ołomuńca 27 listopada, kierując się na Brno. Następnego dnia car oglądał zainscenizowaną przez Napoleona porażkę pod Wischau. Przekonany o słabości Francuzów podjął decyzję o wydaniu walnej bitwy, nie czekając na posiłki. Tego właśnie chciał cesarz Francuzów.

Napoleon zaczął pospiesznie ściągać do Brna korpusy Bernadotte'a i Davouta. Wycofał też swoje oddziały z okolic Austerlitz. Już wcześniej upatrzył je sobie jako dobre miejsce na bitwę i ułożył jej plan. Sprzymierzeni 1 grudnia zajęli płaskowyż Prace w pobliżu Austerlitz, górując nad przeciwnikiem. Teoretycznie mieli przewagę, jednak Francuzi, korzystając z mgły zalegającej na dole, pozostawali niewidoczni dla wroga, natomiast sami mieli sprzymierzonych jak na dłoni, mogąc kontrować ich ruchy. Wieczorem tego samego dnia niedaleko otoczonego solidnym murem pałacu w wiosce Sokolnice, na południe od płaskowyżu, rozległy się strzały. To włoscy strzelcy wdali się w potyczkę ze szwoleżerami z austriackiego pułku Andreasa O'Reilly'ego, próbującymi przekroczyć potok nazywany Złotym. Przeciwnik został szybko odparty, ale Napoleon poznał jego zamiary.

Około godz. 1 w obecności Aleksandra i cesarza Franciszka rozpoczęła się narada wojenna. Cesarze byli wojskowymi dyletantami, prym wiódł austriacki pułkownik Franz von Weyrother (Michaił Kutuzow przysypiał na fotelu). Zgodnie z planem trzy rosyjskie kolumny miały obejść prawe skrzydło Francuzów, przeprawiając się po kolei przez Złoty Potok, a po wyrównaniu szyków uderzyć na przeciwnika. Piotr Bagration miał wiązać francuskie centrum w rejonie wzgórza Santon. Siły Jana I Liechtensteina i rosyjska gwardia miały być trzymane w rezerwie, a uderzyć miały dopiero po rozbiciu francuskiego prawego skrzydła i związaniu walką centrum. Plan był oparty głównie na założeniu, że Francuzi dysponują niewielkimi siłami – zaledwie 40 tys. żołnierzy. Weyrother nie przewidywał, że Bernadotte i Davout mogą zdążyć na pole bitwy. Kutuzow w końcu przebudził się i zupełnie trzeźwo wyraził swoje obiekcje, wskazując, że bez sensu jest opuszczać Prace. Lepiej zmusić Francuzów do szturmu pod górę. Jednak car i cesarz, żądni błyskotliwej wygranej, poparli plan Austriaka.

Rankiem 2 grudnia na wzgórzu Žuráň cesarz wyjaśnił swoim marszałkom plan bitwy. Lannes ze swoim 5. Korpusem miał wiązać prawe skrzydło przeciwnika na szosie ołomunieckiej. 4. Korpus Soulta miał atakować centralnie, na płaskowyż Prace, rozcinając ugrupowanie przeciwnika na dwie części. 1. Korpus Bernadotte'a miał zająć pozycję w centrum razem z jazdą Joachima Murata, wspierając w razie potrzeby Soulta. Davout, którego korpus wciąż był w drodze, po przybyciu na miejsce miał wesprzeć dywizję Legranda na prawym skrzydle. Pod Austerlitz Napoleon miał więc w sumie nieco ponad 70 tys. żołnierzy.

Po drugiej stronie Rosjanie czterema kolumnami rozłożyli się na płaskowyżu Prace. Po jego wschodniej stronie zatrzymał się car z gwardią. Liechtenstein ze swoją jazdą miał zająć pozycje na północ od Prac, w pobliżu szosy ołomunieckiej. Na samej szosie rozstawiła się rosyjska awangarda pod dowództwem Bagrationa. Razem ok. 93 tys. żołnierzy.

Mgła wojny

Bitwa zaczęła się źle dla sprzymierzonych. Kolumny piechoty, które miały przeprawić się przez Złoty Potok, musiały przepuścić kawalerię Liechtensteina, który źle zrozumiał rozkazy i ustawił się po południowej zamiast północnej stronie płaskowyżu. Bagration zaczął atak zgodnie z planem, ok. godz. 7, ale szybko powstrzymały go salwy francuskiej „wielkiej baterii” skoncentrowanej na wzgórzu Santon.

Na lewym skrzydle sprzymierzonym idzie lepiej. Mimo pomieszania szyków Austriacy i Rosjanie szybko przełamują francuską obronę. Około godz. 9 bronią się już tylko pojedyncze punkty oporu w wioskach Telnice i Sokolnice. Mniej więcej w tym czasie na polu bitwy pojawia się awangarda Davouta. Jej szarże pozwalają na opanowanie sytuacji i odtworzenie szyków przed kontratakiem. Pod Telnice zaczynają przybywać kolejne jednostki, prosto z marszu wchodząc do walki. W końcu ok. godz. 10 na miejsce

eprasa.pl f4b9c5462d



Ernest Meissonier, „Kirasjerzy francuscy przed szarżą"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSÉE CONDÉ, CHANTILLY

dociera dywizja Frianta. Żołnierze są zmęczeni po pokonaniu ponad 100 km w 48 godzin, ale poganiani przez oficerów wchodzą do walki z marszu, wyrzucając Rosjan z Sokolnic na drugi brzeg potoku. Około godz. 11 na pole bitwy przyjeżdża Davout. Ma 11 tys. żołnierzy przeciwko 35 tys. Rosjan i Austriaków, którzy mieli już dawno atakować francuskie centrum, ale wciąż usiłują się przeprawiać kilkoma brodami na drugi brzeg Złotego Potoku.

Na rozkaz Napoleona, który obserwuje bitwę ze wzgórza, Soult ze swoim korpusem wchodzi do walki o godz. 9. W parowach między pagórkami ściele się jeszcze gęsta mgła. Francuzi podchodzą w niej niezauważeni na 800 metrów. Dywizja Saint-Hilaire'a zdobywa miasteczko Prace, nie zważając na rosyjski ostrzał, i kieruje się wprost na szczyt płaskowyżu. Za nią naciera dywizja Vandamme'a. Na szczycie Prac znajduje się wciąż część 4. kolumny, czekającej na wymarsz. Widząc nadchodzących Francuzów, znajdujący się przy niej Kutuzow wydaje rozkaz zwrotu w prawo. Rosjanie próbują z ugrupowania marszowego stworzyć szyk bojowy, ale francuski atak spycha ich na Austerlitz.

Odbić płaskowyż próbuje brygada Kamińskiego, który zawrócił na widok Francuzów. Udaje im się zdobyć 200 m terenu, ale Soult posyła na pomoc sześć 12-funtowych dział. Ukryte za szeregami piechoty w ostatnim momencie masakrują nacierających Rosjan podwójnymi kartaczami. Rosjanie wycofują się z płaskowyżu. Nie lepiej idzie sprzymierzonym na prawym skrzydle. Po zażartych walkach piechoty i artylerii Bagration musi wycofać się szosą ołomuniecką.

Szable i kopyta

Około godz. 11 Rosjanie i Austriacy walczą już w trzech osobnych zgrupowaniach. Żeby myśleć o wygranej albo chociaż o uniknięciu sromotnej klęski, musieliby odbić płaskowyż Prace. Jedyne rezerwy, które im pozostały – rosyjska gwardia piesza i część kawalerii – liczą zaledwie 10 batalionów piechoty i 18 szwadronów jazdy. Tymczasem Napoleon miał jeszcze w zanadrzu cały 1. Korpus, dywizję grenadierów i gwardię. Około godz. 11.30 książę Konstanty zaczyna atakować płaskowyż. Rosyjscy kawalerzyści rozbijają czworobok, który sformował w obronie 4. pułk liniowy, i bezlitośnie tratują jego żołnierzy. Pod szablami i końskimi kopytami ginie 200 Francuzów. Napoleon, widząc przez lunetę rozwój sytuacji, posyła na płaskowyż posiłki ze swojej gwardii. Szaserzy Morlanda nie są jednak w stanie przełamać obrony uszykowanego w czworobok pułku siemionowskiego. W końcu bez rozkazu Napoleona Bernadotte rzuca im na pomoc stojącą bezczynnie w odwodzie dywizję Jeana-Baptiste'a Drouet d'Erlona. Do walki z nią rusza elita rosyjskiej gwardii. Ciężki pułk kawalergardów rozjechał kilka czworoboków francuskiej piechoty. W końcu zatrzymał go pułk grenadierów konnych Oerdnera, zmuszając do walki na pałasze.

Zaniepokojony Napoleon rzucił na pole bitwy jeszcze dwa szwadrony strzelców konnych i szwadron mameluków. Szarżą dowodził gen. Jean Rapp, który tak ją później wspominał: „Przeszedłem do pełnego galopu i zaraz, kiedy dostałem się pod ogień, zobaczyłem pełnię katastrofy. Rosyjska kawaleria była pośrodku naszych i cięła ich szablami. Kawałek za nimi masy piechoty i kawalerii szykowały się do ataku. Nieprzyjaciel przerwał atak i skierował się w naszym kierunku. Nadjechały cztery działa, formując baterię. Galopowaliśmy w porządnym szyku, po lewej miałem dzielnego pułkownika Morlanda, a po prawej generała Dallemagne'a. »Czy widzicie – powiedziałem do nich – nasi bracia są deptani przez wroga: pomścijmy ich, pomścijmy nasze sztandary«. Ruszyliśmy na artylerię, zdobywając ją, a potem z tym samym impetem odrzuciliśmy czekającą na nas kawalerię. Sami teraz tratowaliśmy naszych padłych żołnierzy i rannych, którzy chcieli się ratować. Na pomoc nadjechał nam szwadron konnych grenadierów. Ruszyliśmy na rosyjską gwardię ze wściekłą furią. Piechota nie odważyła się wystrzelić, w zamieszaniu walczyliśmy wręcz. W końcu zwyciężyła nasza brawura. Rosjanie uciekali w rozsypce". Kawalergardzi idą do niewoli razem ze swoim dowódcą księciem Repninem.

Na płaskowyż wchodzi reszta korpusu Bernadotte'a, za nimi na Prace wjeżdża Napoleon. Przypatrując się polu walki, podejmuje decyzję w sprawie dalszego przebiegu bitwy. Kieruje atak na południe, żeby pomóc Davoutowi. W zasadzie nie było to potrzebne. Dowodzący tam gen. Friedrich Wilhelm von Buxhoeveden był pijany i nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, nawet po zajęciu Prac. Ciągle próbował przeprawić wojsko przez Złoty Potok i zaatakować Francuzów od południa. Zrezygnował dopiero, kiedy mocno spóźniony goniec dostarczył mu



Antoine Jean Gros, „Spotkanie Napoleona i Franciszka II po bitwie pod Austerlitz"
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PAŁAC W WERSALU

eprasa.pl f4b9c5462d



Pałac w Sławkowie, miejsce podpisana rozejmu po bitwie pod Austerlitz

FOT. COMMONS WIKIMEDIA. BENOIT PERRIE31

wydany przez Kutuzowa rozkaz odwrotu.

W tym czasie w rosyjsko-austriackie szeregi zaczynała wkradać się panika. Pojedynczy żołnierze, a nawet całe kompanie wycofywały się z pola bitwy. Widząc to, gen. de Saint-Hilaire zaatakował od wschodu kolumnę Przybyszewskiego, walczącą po obu stronach Złotego Potoku. Generał Vandamme ruszył na południowo-wschodni kraniec Prac, w kierunku miasteczka Újezd, żeby odciąć odwrót Rosjan i Austriaków.

Tak wspominał te walki Ilia Popadiczew, rosyjski podoficer z butyrskiego pułku piechoty: „Wtedy nieprzyjaciel uszykował się w linię i zaczął prażyć do nas z dział i muszkietów. Jego kawaleria atakowała w rozproszeniu. Naszym strzelcom kazano przegnać z przedpola francuskich harcowników, którzy zaczęli się do nas przysuwać razem z jazdą. Ruszyłem z nimi. Wtedy najechała na nas francuska kawaleria. Od czoła zaczęli do nas krzyczeć: »Strzelcy, uciekajcie!«. Rozbiegliśmy się w prawo i w lewo. Francuska konnica też rzuciła się w bok. Koło mnie przejechał ich oficer. Złożyłem się i wystrzeliłem. Oficer zwalił się z konia. Podbiegłem do leżącego i zdarłem z niego płaszcz, który nałożyłem na siebie. Zegarka u Francuza nie było czasu szukać, ale i tak byłem zadowolony z tego płaszcza, bo było bardzo zimno, leżał nawet śnieg”.

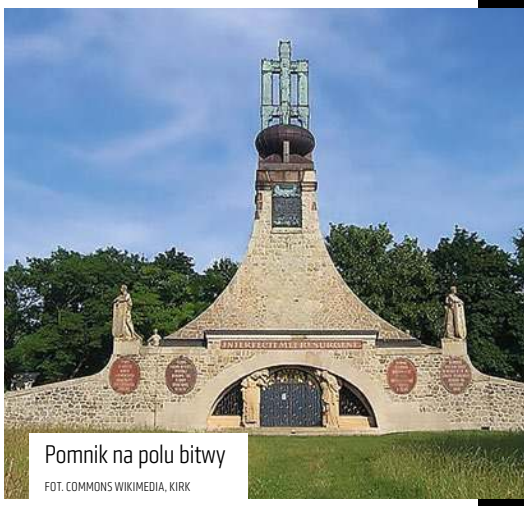
W końcu zostało już tylko 2 tys. Rosjan, broniących się pod dowództwem Przybyszewskiego w bażanciarni w Sokolnicach, i stojące w czworobokach w pobliżu Telnic cztery rosyjskie pułki piechoty. Dowodził nimi jeden z lepszych dowódców w carskiej armii – gen. Dmitrij Dochturow. Wiedząc, że bitwa jest przegrana, chciał ocalić jak najwięcej żołnierzy. Zebrał resztki oddziałów Kienmayera i Langerona, z którymi wycofał się na południe – w jedynym kierunku, gdzie nie było Francuzów. Tam jednak drogę zagradzały mu stawy Zaczan i Menin. Między nimi wiodła wąska grobla, którą Dochturow zdołał wyprowadzić większość swoich oddziałów. Pięć tysięcy żołnierzy gen. Urusowa, którzy osłaniali odwrót, weszło następnie na taflę lodu na stawie Zaczan. Za nimi pociągnięto tam działa. Lód trzyma, więc wkrótce tafla pokrywa się jaszczami i armatami. Na staw wchodzą też zachęcona tym kawaleria i reszta piechoty. Urusow boi się, że lód lada chwila pęknie, i chce powstrzymać żołnierzy, ale nikt go nie słucha. Wszyscy chcą zdążyć przed Francuzami. Niektóre armaty są już zaledwie kilkadziesiąt metrów od drugiego brzegu, gdy powietrze przecina trzask pękającego lodu. Zaprzęgi, konie i działa wpadają do wody. Staw nie jest głęboki, więc mimo mrozu większość żołnierzy wydostaje się z niego o własnych siłach. Niektórzy odcinają konie od przodków, ale prawie 200 zwierząt tonie. Armat nikt nie jest w stanie wyciągnąć. Na dnie stawu zalegnie ich kilkadziesiąt. Napoleon obserwuje to spod kapliczki św. Antoniego, położonej na południowo-wschodnim skraju Prac. Każe artylerii przenieść ogień na staw, krusząc do reszty lód. Potem schodzi tam dywizja Vandamme’a, bez oporu biorąc do niewoli 3 tys. przemarzniętych Rosjan i Austriaków.

Bagration, widząc, że bitwa jest przegrana, po godz. 14 rozpoczął odwrót, cofając się w uporządkowanym szyku szosą ołomuniecką. Car opuścił pole bitwy, kiedy rosyjskiej gwardii nie powiodło się odbicie Prac. Następnego dnia zaczął się odwrót na wschód. Maruderów i rannych zostawiono samym sobie.

Koniec Rzeszy

Armia Napoleona nie była zdolna do pościgu. Całodniowy bój i wielogodzinny marsz wyczerpały żołnierzy tak, że niektórzy kładli się na śniegu i zasypiali, nie rozbijając namiotów i nie czekając na rozpalenie ognisk. Zwycięstwo bezsprzecznie należało do Napoleona, który jednak nie mógł szybko uzupełnić straconych w bitwie 10 tys. żołnierzy. Rosjanie i Austriacy zostali dotkliwie pobici, ale mieli jeszcze rezerwy. Napoleon już 4 grudnia spotkał się więc z Franciszkiem i uzgodnił zakończenie działań. 26 grudnia w Preszburgu podpisano traktat, w którym Austria zrzekała się na rzecz Francji Wenecji, Istrii i Dalmacji. Utworzono z nich tzw. Prowincje Ilyryjskie. Nagrody otrzymali niemieccy sojusznicy Napoleona. Elektorzy Bawarii i Wirtembergii zostali królami, ich państwa (oraz Badenia) wyszły spod władzy Wiednia i zyskały też terytorialnie. Franciszek zrzekł się tytułu cesarza rzymskiego, co otworzyło drogę do likwidacji 800-letniej I Rzeszy.

Zwycięstwo pod Austerlitz – odniesione dokładnie w rocznicę koronacji Napoleona – zostało wykorzystane przede wszystkim propagandowo. Do utrwalenia władzy cesarskiej we Francji i przekonania Europy, że Francja i jej Wielka Armia będą teraz dyktować nowe, postrewolucyjne porządki na kontynencie.



Pomnik na polu bitwy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, KIRK

Nawiasem mówiąc, jednymi z najbardziej poszkodowanych po bitwie byli właściciele majątku Chirlice, do którego należał staw Zaczan. Trzeba go było osuszyć, bo mieszkańcy Wiednia, gdzie dotychczas dostarczano zaczańskie karpie, przestali je kupować, przekonani przez Biuletyn Wielkiej Armii, że ryby wykarmiły się na trupach 2 tys. żołnierzy potopionych w nim podczas bitwy. W rzeczywistości ze stawu wyciągnięto ciała jedynie trzech żołnierzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Zamek św. Olafa w Savonlinnie, średniowieczno-nowożytna twierdza na wyspie FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Militarnym szlakiem przez Finlandię



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Chociaż Finlandia uzyskała niepodległość dopiero po pierwszej wojnie światowej, to jej tradycje militarne sięgają czasów znacznie odleglejszych

Organizowane w Finlandii oddziały kawalerii i piechoty stanowiły istotny składnik armii szwedzkiej w okresie jej największych triumfów. Później – będąc już pod rosyjskim panowaniem – Finowie tworzyli elitarne oddziały lekkiej piechoty. Strzelcy uzbrojeni w gwintowane sztucery dali się we znaki m.in. polskim żołnierzom podczas wojny 1831 r. O wojennej spuściźnie świadczą rozrzucone po kraju gotyckie zamki i nowożytne twierdze. Do największych atrakcji turystycznych należy Sveaborg (fińska Suomenlinna), imponująca nadbrzeżna twierdza bastionowa określana Gibraltarem Północy. Zaczęli ją wznosić Szwedzi pod koniec I połowy XVIII w. w odpowiedzi na zagrożenie rosyjskie. Liczne dzieła fortyfikacyjne oraz budynki zaplecza zlokalizowano na sześciu niewielkich wyspach, które nie tylko chroniły stołeczne Helsinki (oddalone od twierdzy o zaledwie kilometr), lecz także stanowiły bezpieczne schronienie dla okrętów wojennych.

Muzea w twierdzy Sveaborg

Sveaborg uczestniczył w działaniach wojennych kilkakrotnie; w 1808 r. atakowany był przez Rosjan, a w czasie wojny krymskiej przez flotę brytyjską. W obu przypadkach twierdza doświadczyła intensywnego bombardowania, przy czym to drugie spowodowało ogromne zniszczenia. Ostatni wojenny epizod miał miejsce w 1944 r., kiedy nad twierdzę nadleciały sowieckie bombowce. Dziś miejsce to należy do najlepiej zachowanych bastionowych założeń obronnych, a spacer po kamiennych fortyfikacjach, kazamatach i działobitniach zapewnia niezapomniane wrażenia. Na terenie twierdzy znajduje się kilka muzeów. Jedno z nich prezentuje dzieje armii fińskiej po 1917 r. Jest tu m.in. zdobyty na fińskich bolszewikach majestatyczny rolls-royce Silver Gold z 1915 r. Samochodu używał gen. Rüdiger von der Goltz, dowódca niemieckich oddziałów wspierających białych Finów. Potem maszyna stała się własnością gen. Carla Gustafa Mannerheima, fińskiego bohatera narodowego. Najciekawszą część ekspozycji poświęcono wojnie zimowej z lat 1939–1940, czyli konfliktowi, który rozsławił Finlandię na cały świat. Wśród bogatej kolekcji mundurów, wyposażenia i uzbrojenia (także zdobycznego) zwracają uwagę pamiątki należące do konkretnych postaci, jak np. mundur i karabin Simo Häyhä, najsłynniejszego snajpera w historii, który ze swojego wyborowego mosina ustrzelił ponad 500 sowieckich żołnierzy. Warto też zajrzeć do muzeum historii twierdzy, gdzie zaprezentowano wiele planów, dioram, a także kilka unikatowych zabytków dawnej artylerii oraz znaleziska związane z walkami o Sveaborg. Jest też XIX-wieczna rosyjska tablica pamiątkowa poświęcona poległym w czasie ostrzału z 1855 r. Obowiązkowym punktem wycieczki jest okręt podwodny „Vesikko" (CV-707). Tę 41-metrową jednostkę, zaprojektowaną dla Niemców przez firmę z Holandii, zwodowano w Turku w 1933 r. Kilka lat później odkupił ją fiński rząd i włączył w skład flotylli okrętów podwodnych. „Vesikko" brał udział w wojnie zimowej i wojnie kontynuacyjnej w latach

eprasa.pl f4b9c5462d

1941–1944. Jego załoga składała się z 20 marynarzy, a zasadniczym uzbrojeniem były trzy torpedy.

Sowieckie czołgi i polskie armaty

Nie tylko fińskie wybrzeże oferuje atrakcje dla miłośników turystyki militarnej. W głębi kraju jest co najmniej kilka godnych polecenia muzeów. Światową sławą cieszy się zwłaszcza Muzeum Broni Pancernej w Parola, otwarte w 1961 r. i posiadające fenomenalną kolekcję sprzętu ciężkiego. Największą atrakcją jest liczna kolekcja czołgów, dział samobieżnych i samochodów pancernych z okresu drugiej wojny światowej. Muzealną „perłą w koronie" są konstrukcje sowieckie, w większości unikatowe. W latach 1939–1944 Finowie zdobyli na Armii Czerwonej m.in. 200 pojazdów bojowych, które włączyli do swojego arsenału i wykorzystali następnie w walkach. Czołgi pozostawały na stanie armii jeszcze długo po wojnie, dzięki czemu przetrwały w dobrej kondycji i w oryginalnym ukompletowaniu. Są tu m.in. różne wersje T-26, T-28, KW-1 i T-34. Uwagę zwracają samochody pancerne Ba-10 i BA-20, kompletne i w pełni sprawne mechanicznie. Tak doskonale zachowanych przykładów sowieckiego uzbrojenia pancernego nie mają nawet Rosjanie.

Świetnie prezentują się też pojazdy przedwojenne, w tym Renault FT i vickersy (z uwagi na podobieństwo fińska wersja tego czołgu jest często mylona z polskim 7TP), a także te, które Finowie otrzymali w ramach pomocy wojennej od Niemców – działa pancerne Sturmgeschütz i czołgi PzKpfw IV. Wszystkie pojazdy są doskonale opisane – zarówno pod względem technicznym, jak i historycznym. Większość ma udokumentowany szlak bojowy. W muzeum prezentowana jest także broń przeciwpancerna – zarówno ręczna, jak i ciężka; te obiekty zgromadzono w oddzielnym pawilonie. Na wystawie zobaczyć można m.in. świetnie zachowany polski karabin przeciwpancerny wz. 35 (Ur) i armatkę kal. 37 mm systemu Boforsa, wyprodukowaną w 1938 r. w Pruszkowie (nr ser. 914). Tę ostatnią ustawiono w położeniu bojowym, a przed lufą zamontowano ogromny monitor, na którym wyświetlany jest atak sowieckich czołgów. Może i polskie muzea doczekają się kiedyś takich instalacji…

Zdecydowanie więcej polskich akcentów jest w Muzeum Artylerii, Inżynierii i Łączności w Hämeenlinna. Ekspozycję podzielono na dwie części; w budynku dawnych koszar zaprezentowano „bronie uczone" w ujęciu dziejowym (z naciskiem na fińską historię militarną), natomiast w plenerze pokazano głównie sprzęt z XX w. Podobnie jak w Parola wiele obiektów nosi charakter unikatowy. Wystawa wewnątrz jest bardzo plastyczna (liczne dioramy, modele, przekroje sprzętu) i wypełniona oryginalnymi, świetnie opisanymi obiektami. Są tu m.in. kule armatnie podniesione z pobojowisk wojny szwedzko-rosyjskiej z lat 1808–1809, a także liczne XVIII- i XIX-wieczne armaty odprzodowe.

W części poświęconej fińskiej wojnie domowej, czyli walkom białych i czerwonych (1918), zgromadzono wiele przykładów artylerii lekkiej z okresu pierwszej wojny światowej, a także rozmaity sprzęt, mundury, wyposażenie i broń strzelecką. Tradycyjnie duża część dotyczy drugiej wojny światowej, a zwłaszcza zmagań z lat 1939–1940. Chyba najbardziej niezwykłym przedmiotem jest helikon (tuba) zdobyty w sławnej bitwie pod Suomussalmi, w której Finowie unicestwili sowiecką 44. Dywizję Strzelecką. Przypuszcza się, że miał służyć dywizyjnej orkiestrze w trakcie zwycięskiej defilady… Na instrumencie znajduje się oryginalna tabliczka z rosyjskim napisem informującym, że instrument wykonano w wytwórni Juliusa Heinricha Zimmermanna, działającej w Petersburgu pod koniec XIX w.



Fragment ekspozycji w Muzeum Artylerii, Inżynierii i Łączności w Hämeenlinna

FOT. MICHAŁ MACKIEWICZ

Ekspozycja plenerowa jest równie imponująca. Zgromadzono tu istną artyleryjską „międzynarodówkę", która uzmysławia, z jak wielu źródeł Finowie pozyskiwali uzbrojenie po 1917 r. Na północ trafiła m.in. broń z Polski, przekazana po kampanii 1939 r. przez Niemców. W muzeum w Hämeenlinna są armaty kal. 105 i 120 mm, noszące sygnatury Towarzystwa Starachowickich Zakładów Górniczych SA. A to niejedyny polski ślad w okolicy.

Zbroja z potopu i zamek Olafa

Tuż obok Muzeum Artylerii wznosi się jedna z najlepiej zachowanych gotyckich warowni północnej Europy – zamek Häme. W jego wnętrzach prezentowana jest ciekawa kolekcja dawnych militariów, wśród których wyróżnia się surowa, czerniona zbroja kirasjerska z połowy XVII w. Należała do płk. Carla Bäcka, fińskiego kawalerzysty i dowódcy w szwedzkiej służbie. Bäck walczył m.in. w Rzeczypospolitej w dobie potopu. W 1656 r., w walnej bitwie pod Warszawą, ubito pod nim konia; dwa lata później bronił Torunia przed siłami polsko-austriackimi. Został wówczas ciężko ranny, w wyniku czego kilka lat później zmarł. Jego zbroję prezentowano w kościele podczas ceremonii pogrzebowej.

Nie sposób wymienić wszystkie historyczno-wojskowe atrakcje Finlandii, ale warto wspomnieć jeszcze o dwóch. Muzeum Piechoty w Mikkeli posiada fenomenalną kolekcją karabinów Mosina, które Finowie przyjęli na uzbrojenie i tak zmodernizowali, że ich wersje uchodzą za najlepszą broń tego systemu. Z kolei zamek św. Olafa (Olofsborg – fińska Olavinlinna, w Savonlinnie) – imponująca gotycko-nowożytna twierdza – zachwyci każdego miłośnika dawnej fortyfikacji. Jej XV-wieczny rdzeń z majestatycznymi, wysokimi wieżami, zbudowany jeszcze w okresie szwedzkim, wzmocniony został w XVIII w. przez Rosjan kamiennymi umocnieniami bastionowymi. Budowla wznosi się na wyspie, a jej widok pozostawia niezapomniane wrażenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Tymoteusz Pawłowski

Wojny światowe zrewolucjonizowały świat fryzur, ale wpłynęły również na męskie zarosty



Zakład fryzjerski. Grafika z początku XIX w.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WELLCOME COLLECTION

Nożyczki i brzytwy / Dzieje zarostów i fryzur

Historia pod włos

Warkocze pleciono już kilkadziesiąt tysięcy lat temu – o czym wiemy dzięki figurce Wenus z Willendorfu – jednak strzyżenie stało się możliwe dopiero po pojawieniu się ostrych narzędzi. I chociaż można było wykorzystać do tego obsydian czy zęby rekina, to w praktyce golenie i strzyżenie zaczyna się wraz z nadejściem epoki żelaza.

W naszym kręgu cywilizacyjnym żelazo pojawiło się mniej więcej 3 tys. lat temu. W Egipcie wcześniej, w Polsce później; bogatsi mieli do niego łatwiejszy dostęp, ubodzy trudniejszy. Istniały więc już i brzytwa, i nożyce – chociaż nieco innej konstrukcji niż współczesne – ale używanie ich do skracania włosów wymagało specjalistycznej wiedzy. Strzyżeniem i goleniem zajmowali się niemal wyłącznie specjaliści, więc ufryzowani byli właściwie tylko mężczyźni – dla dobrze urodzonej kobiety pójście do fryzjera (płci przeciwnej!) było nie do pomyślenia. Kobiety powszechnie nosiły więc długie – zakryte – włosy.

Mężczyźni również nosili długie włosy, natomiast ogoleni na łyso byli jedynie kapłani, różnych zresztą religii. Z jednej strony było to oznaką czystości, a z drugiej – wolnego czasu, który można było poświęcić na dbanie o fryzurę. Krótkie włosy starali się też nosić żołnierze. Oni również miewali dużo wolnego czasu, a na ogolonej głowie – a raczej na głowie ostrzyżonej krótko na jeża – lepiej trzyma się hełm, który od kilku tysięcy lat jest atrybutem męskości.

Na krótki czas – pomiędzy wiekami XVII i XX – funkcja ochronna hełmu przestała być istotna. Był to bowiem okres, gdy broń biała już straciła znaczenie, a artyleryjskie szrapnele jeszcze go nie zyskały. W tym czasie mężczyźni zaczęli nosić peruki. Modę na nie zapoczątkował w 1624 r. francuski król Ludwik XIII, znany głównie z tego, że sportretowano go w „Trzech muszkieterach". W ten sposób nastąpiło równouprawnienie płci – zarówno w dziedzinie wygody, jak i walki o zachowanie młodości. Kobiety i mężczyźni zakrywali swoje naturalne włosy, przy okazji ukrywając siwiznę. Mężczyźni używali peruk, kobiety czepców, mantylek, woalek czy stroików.

Czas długich włosów

Peruki przeszły do historii wraz z nadejściem XIX w. Francuzi uważają, że miała na to wpływ rewolucja 1789 r. Brytyjczycy są natomiast przekonani, że chodziło o przykład lorda Russela, który w 1795 r. zaczął chodzić z gołą głową, protestując przeciwko nowemu podatkowi na fryzjerskie kosmetyki (podatki potrzebne były na wojnę z rewolucyjną Francją). Szczęśliwie złożyło się, że w tym czasie trwała również rewolucja przemysłowa, która zapewniła wszystkim wolny i równy dostęp do taniej stali.

Do tej pory goleniem i strzyżeniem zajmowali się wysokiej klasy specjaliści od brzytwy i nożyczek. Cyrulicy zajmowali nie tylko się owłosieniem, lecz także leczeniem: puszczaniem krwi, co uznawano za panaceum, nastawianiem złamań, rwaniem zębów i tym, co dzisiaj nazwalibyśmy zabiegami chirurgicznymi, np. wycinaniem czyraków. Szkoły

eprasa.pl f4b9c5462d



Maszynka do golenia firmy Gillette z lat 30. XX w. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, IGNITESMA

cyrulików były porządnymi zakładami naukowymi, w których uczono podstaw medycyny. W XIX w., wraz z łatwiejszym dostępem do narzędzi, zawód fryzjerski znacznie się zdemokratyzował.

Siódma dekada XIX stulecia wprowadziła zamieszanie do opowieści o stanie owłosienia ludzkości. Teoretycznie mężczyźni chodzili gładko ogoleni, a kobiece fryzury były uporządkowane, co widać chociażby na rzeźbach, obrazach i fotografiach. Rzecz w tym, że wszystkie one były upozowane: dopiero od lat 60. XIX w. możliwe było zrobienie zdjęcia reporterskiego, z zaskoczenia. I na takich fotografiach z drugiej połowy XIX w. większość kobiet wygląda na rozczochrane, a większość mężczyzn nosi brodę albo bokobrody. Cyrulika czy fryzjera odwiedzało się bowiem z reguły raz w tygodniu: w sobotę wieczorem, aby na niedzielę pokazać się innym parafianom gładkim, schludnym i kulturalnym.

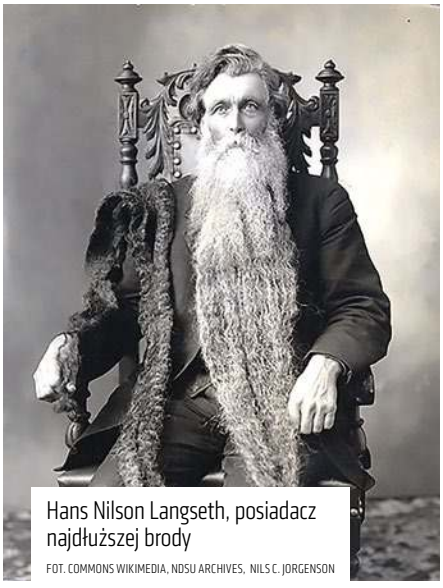
Jedynym narzędziem przeznaczonym do golenia była brzytwa. Ówczesny poziom metalurgii sprawiał jednak, że aby ostrze brzytwy było ostre, musiało być również sztywne. Jeśli jednak było sztywne, to niezbyt pasowało do zaokrągleń twarzy: golenie się samemu było więc dość ryzykowne, a ten, kto golił się sam, był albo niedogolony, albo pokiereszowany.

Sytuacja zaczęła się zmieniać dopiero ok. 1880 r., gdy na rynku pojawiły się pierwsze bezpieczne brzytwy, doprowadzone do perfekcji w pierwszych latach XX w. przez amerykańskiego wynalazcę Kinga C. Gillette'a. Wkłady do tych maszynek znamy wszyscy jako... żyletki. W 1914 r. cały świat ruszył na Wielką Wojnę gładko ogolony.

Nagie policzki

Wielka Wojna przyniosła olbrzymie zmiany dla całej ludzkości, także jeśli chodzi o strzyżenie i golenie. Jako broni użyto wówczas gazów trujących, a ratująca przed nimi maska gazowa jest szczelna tylko wtedy, gdy ściśle przylega do twarzy. W XX w. mężczyźni byli już więc ogoleni: nauczono ich tego w wojsku i regularnie przypominano, że to decyduje o życiu lub śmierci, bo przecież wróg może zaatakować znienacka. Brodę w XX w. nosili tylko pacyfiści i filozofowie, ale w XXI w. obawa przed niebezpieczeństwami wojny tak zmalała, że brody stały się znów modne.

Wojny światowe zmieniły także fryzury kobiece, ponieważ skoro mężczyźni poszli na front, to ktoś musiał zastąpić ich w pracy. Niemcy i Rosjanie wykorzystywali do tego niewolniczą siłę roboczą, ale w cywilizowanych państwach przy maszynach i pługach zaczęły pracować kobiety. Jako że długie włosy nie tylko przeszkadzają, lecz także mogą być też niebezpieczne, panie zaczęły nosić się na krótko. Nowe fryzury wykorzystano również politycznie: krótkowłosa kobieta stała się symbolem równouprawnienia.



Hans Nilson Langseth, posiadacz najdłuższej brody FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NDSU ARCHIVES, NILS C. JORGENSON

Wciąż jednak włosy chowano pod czapkami i kapeluszami. Golić się można było codziennie, ale mycie włosów – szczególnie długich – było ryzykowne, ponieważ byle przeziębienie mogło zamienić się w zapalenie płuc lub w gruźlicę, a to oznaczało śmierć. Rozwiązanie przyszło z demobilu: gdy skończyła się druga wojna światowa, na rynku dostępne stały się tanie kosmetyki oraz lekarstwa, przede wszystkim antybiotyki. Kosmetyki produkowano bowiem na olbrzymią skalę, aby zapobiegać zarazom, które mogłyby zabić milionowe armie, a lekarstwa po to, aby leczyć te zarazy, których nie udało się uniknąć. I tak po wojnie niemal wszyscy zaczęli mieć czyste włosy. A skoro nie musieli ich chować, to mogli się pozbyć nakryć głowy.

Nogi bez pończoch

Po rewolucji politycznej i przemysłowej nadszedł czas na rewolucję obyczajową. Rozpoczęła się ona w latach 60. XX w., głównie za sprawą hormonalnej pigułki antykoncepcyjnej, pozwalającej na uprawianie miłości bez zobowiązań. Jednym z symboli przemian było też zrzucenie przez kobiety krępującego ich ubrania, w tym pończoch. Teraz nagimi nogami chwalono się nie tylko w czasie wakacji na plażach, lecz także w życiu codziennym, na ulicach. Coraz więcej pań nosiło coraz krótsze spodnie oraz spódnice i zaczęło golić – lub depilować – nogi.

Najnowszą modą jest pozbywanie się owłosienia łonowego. Stało się to powszechne dopiero w latach 90. XX w., a przyczyną był przemysł pornograficzny. Ta moda trafiła z filmów dla dorosłych na łamy magazynów dla panów, a następnie do pism dla pań: przede wszystkim tych poświęconych modzie. Stamtąd zdjęcia roznegliżowanych modelek prezentujących koronkową bieliznę trafiły na uliczne billboardy i ścianki przystanków autobusowych. Wystarczyło jedno pokolenia, aby wydepilowana nagość stała się normą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d



Piotr Zychowicz

Terror GPU, nędza i głód. Pierwszy komiks o przygodach Tintina rozgrywa się w Związku Sowieckim

Chyba każdy zna postać dzielnego belgijskiego reportera Tintina i jego pieska Milusia. Ale nie każdy wie, że akcja pierwszego komiksu z ich przygodami rozgrywała się w... bolszewickiej Rosji.

Mowa o „Przygodach Tintina w kraju Sowietów", który w formie osobnego zeszytu ukazał się w 1930 r. A wcześniej był drukowany w odcinkach w konserwatywnym, antykomunistycznym piśmie „Le Vingtième Siècle". A konkretnie w jego dodatku dla dzieci.

Komiks odniósł wielki sukces i stał się początkiem legendarnej serii, która przeszła do historii europejskiej kultury masowej. Autorem „Tintina" był belgijski rysownik Georges Prosper Remi (pseudonim Hergé), a w Polsce komiks ukazał się nakładem wydawnictwa Egmont.



Wystawa w Bassins des Lumières w Bordeaux, w hołdzie bohaterowi komiksu, którego przygody są częścią kultury popularnej od prawie 100 lat, od pierwszego wydania „Tintina w Kraju Sowietów" z 1929 r.

FOT. MORITZ THIBAUD/ABACA/EAST NEWS



Hergé, właśc. Georges Prosper Remi, autor komiksu

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PISMO „LINUS" Z 1965 R.

Dwudziestolecie międzywojenne /

Tintin kontra

Zbóje czekiści

Fabuła jest prosta. Tintin zostaje wysłany przez swoją redakcję do Związku Sowieckiego, aby poinformować belgijskich czytelników, co naprawdę dzieje się w ojczyźnie światowego proletariatu.

Dzielny reporter od razu znajduje się na celowniku GPU, której agenci na wszelkie sposoby starają się utrudnić mu podróż. W efekcie komiks jest jednym pasmem pułapek i dzikich bójek Tintina z czekistami. Nie muszę dodawać, że dziennikarz za każdym razem wychodzi z nich obronną ręką.

Komiks w założeniu miał być antykomunistyczną satyrą. Trudno więc się dziwić, że czerwony komisarz i podlegający mu czekiści wyglądają jak Alibaba i czterdziestu rozbójników. Brodaci, obwieszeni rewolwerami i nożami są oczywiście wredni i podstępni.

Ulice rosyjskich miast, które odwiedza Tintin, wyglądają jak jedna wielka ruina. Walące się drewniane domy i fabryki. Na ulicach sterty śmieci, żelastwa i odpadków. Wybite szyby i wykoślawione latarnie. Nędznie ubrani, smutni ludzie. To ostatnie oczywiście niewiele odbiegało od prawdy.

„Oto co Sowieci zrobili z tego wspaniałego miasta, jakim była Moskwa. Cuchnący śmietnik!" – mówi Tintin.

Na jednym z rogów ulic belgijski reporter jest świadkiem smutnej sceny. Długa kolejka wychudzonych, obdartych dzieci ulicy – tzw. bezprizornych – czeka na wydanie czerstwego chleba.



HERGÉ
„PRZYGODY TINTINA W KRAJU SOWIETÓW"
EGMONT

Autorowi zdarzyły się jednak wpadki. Choćby ta, gdy widzimy, jak jeden z agentów GPU postanawia zastawić pułapkę na Tintina, rzucając mu pod nogi... skórkę od zjedzonego właśnie banana. Skąd w Sowietach w 1930 r. wziąłby się banan?!

Podobne wątpliwości wzbudza scena, w której Tintin odwiedza... prywatną oberżę, gdzie podają mu apetycznie

eprasa.pl f4b9c5462d



Relacja z nieludzkiej ziemi

bolszewicy

wyglądającą zupę na kościach. W rzeczywistości trafiłby do państwowej stołówki, gdzie musiałby się raczyć jakimś paskudztwem trzeciej kategorii.

Wiele innych scen zaskakuje jednak przenikliwością i znajomością sowieckich realiów. Choćby ta, gdy Tintin jest świadkiem wizyty angielskich komunistów w jednej z sowieckich fabryk.

Prowadzący wycieczkę sowiecki komisarz opowiada Brytyjczykom niestworzone bajki, a ci potakują głowami i oczywiście we wszystko wierzą. Rzeczywiście podobne podróże „pożytecznych idiotów" do Związku Sowieckiego były wówczas na porządku dziennym.

Ich uczestnicy nie widzieli – lub nie chcieli widzieć – wszechobecnych w Bolszewii terroru i nędzy. Po powrocie do swoich krajów wychwalali pod niebiosa dobrodziejstwa „ojczyzny światowego proletariatu", dezinformując zachodnią opinię publiczną.

„Oto jak Sowieci kiwają nieszczęśników, którzy wierzą jeszcze w czerwony raj" – puentuje Tintin.

Szpiegomania

Kolejna scena pokazuje „wybory". Wygrywa oczywiście lista bolszewicka. Problem w tym, że jest to jedyna lista, na którą można głosować. A do głosowania na nią zachęcają czekiści za pomocą pistoletów.

Tintin trafnie pokazuje również panującą wśród bolszewików obsesję szpiegomanii, ogólny sowiecki bałagan, a także tandetę tamtejszych produktów i maszyn, które cały czas się psują.

Bohater komiksu, podszywając się pod bolszewika, bierze udział w karnej ekspedycji przeciwko „kułakom". Razem z grupą czekistów i partyjniaków udaje się na wieś, aby odebrać chłopom ostatnie zapasy zboża.

Zboże potrzebne było Sowietom na eksport. Kupowali za nie bowiem maszyny niezbędne do industrializacji. Kampania ta, jak wiadomo, na przełomie lat 20. i 30. wywołała na rolniczych terenach Związku Sowieckiego straszliwą klęskę głodu, która pochłonęła miliony istnień ludzkich.

Tintin niestety zostaje zdemaskowany i postawiony przed plutonem egzekucyjnym. Na szczęście jednak i z tej próby wychodzi cało. Stanowczo odrzuca również „propozycję nie od odrzucenia" – odmawia GPU nawiązania tajnej współpracy.

Momentami autor komiksu przesadza, co oczywiście wzbudza uśmiech. Ale taka jest konwencja! Weźmy choćby scenę, w której Tintin zostaje wtrącony do czerwonej izby tortur. Funkcję katów pełnią w niej Chińczycy w swoich narodowych strojach z warkoczami na ogolonych głowach. Używają przy tym narzędzi rodem ze średniowiecza – koła do łamania kości i deski z nabitymi na nią gwoździami. Do tego przypalanie pięt i obcęgi do miażdżenia palców!

W zachodnim komiksie o Wschodzie nie mogło również zabraknąć... białego niedźwiedzia. Wściekła bestia chce pożreć Tintina, ale ostatecznie zadowala się manierką z wódką. Niedźwiedź całkowicie się upija, co pozwala dzielnemu reporterowi pokonać go w heroicznej walce wręcz.

Na koniec Tintin wyrywa się z kleszczy Czeka i triumfalnie powraca do Brukseli, aby przekazać belgijskim czytelnikom prawdę o straszliwych realiach Związku Sowieckiego.

A my – po blisko 100 latach od jego wyprawy – możemy się dobrze bawić, śledząc kolejne przygody najsłynniejszego komiksowego reportera na nieludzkiej ziemi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl f4b9c5462d

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

HENRYK SŁAWIK BYŁ BARDZO AKTYWNYM DZIAŁACZEM SPOŁECZNYM NA ŚLĄSKU I DZIENNIKARZEM, OD 1928 ROKU REDAKTOREM NACZELNYM „GAZETY ROBOTNICZEJ". PO ATAKU NIEMIEC NA POLSKĘ MUSIAŁ UCIEKAĆ Z GÓRNEGO ŚLĄSKA, GDYŻ GROZIŁO MU ARESZTOWANIE (JEGO NAZWISKO BYŁO W SONDERFAHNDUNGSBUCH POLEN, CZYLI KSIĘDZE GOŃCZEJ PRZYGOTOWANEJ PRZEZ URZĄD POLICJI KRYMINALNEJ RZESZY). TRAFIŁ NA WĘGRY, A TAM DO OBOZU DLA POLSKICH UCHODŹCÓW. W PAŹDZIERNIKU 1939 ROKU Z WIZYTĄ DO OBOZU PRZYJECHAŁ JÓZSEF ANTALL, WYŻSZY URZĘDNIK WĘGIERSKIEGO MINISTERSTWA SPRAW WEWNĘTRZNYCH.





SŁAWIK ZOSTAŁ PREZESEM KOMITETU OBYWATELSKIEGO DLA SPRAW OPIEKI NAD POLSKIMI UCHODŹCAMI NA WĘGRZECH. JEDNYMI Z PIERWSZYCH JEGO DZIAŁAŃ BYŁO ROZPOCZĘCIE WYPŁACANIA CYWILOM ZASIŁKÓW, ZORGANIZOWANIE OPIEKI MEDYCZNEJ ORAZ UTWORZENIE POLSKICH SZKÓŁ. RAZEM Z ANTALLEM WSPIERAŁ RÓWNIEŻ PRZERZUCANIE POLSKICH ŻOŁNIERZY NA ZACHÓD.

WAŻNĄ CZĘŚCIĄ DZIAŁALNOŚCI SŁAWIKA BYŁA POMOC POLSKIM OBYWATELOM NARODOWOŚCI ŻYDOWSKIEJ. UTWORZYŁ SIEROCINIEC DLA ŻYDOWSKICH DZIECI NAZWANY OFICJALNIE DOMEM SIEROT POLSKICH OFICERÓW. Z POMOCĄ ANTALLA I ZAUFANYCH URZĘDNIKÓW ZORGANIZOWANO NATOMIAST CAŁY SYSTEM WYSTAWIANIA FAŁSZYWYCH DOKUMENTÓW.



GDY W GRUDNIU 1943 ROKU UDAŁO SIĘ SŁAWIKOWI SPROWADZIĆ Z OKUPOWANEJ POLSKI NA WĘGRY ŻONĘ I CÓRKĘ, WIELE OSÓB NAMAWIAŁO GO DO WYJAZDU DO SZWAJCARII. ODMÓWIŁ JEDNAK TWIERDZĄC, ŻE WIELU POLAKÓW WCIĄŻ POTRZEBUJE JEGO POMOCY. GDY W MARCU 1944 ROKU WĘGRY ZNALAZŁY SIĘ POD OKUPACJĄ NIEMIECKĄ, SŁAWIK MUSIAŁ SIĘ UKRYWAĆ. JEDNAK W LIPCU ZOSTAŁ ARESZTOWANY PRZEZ GESTAPO, PODOBNIE JAK ANTALL. BRUTALNYM BICIEM PRÓBOWANO ZMUSIĆ SŁAWIKA DO ZEZNAŃ OBCIĄŻAJĄCYCH ANTALLA, JEDNAK...





SŁAWIK TRAFIŁ DO OBOZU GUSEN, GDZIE 23 SIERPNIA 1944 R. ZOSTAŁ POWIESZONY. ANTALLA WYPUSZCZONO, ALE OBAWIAJĄC SIĘ PONOWNEGO ARESZTOWANIA, UKRYWAŁ SIĘ DO KOŃCA WOJNY. SZACUJE SIĘ, ŻE DZIĘKI SŁAWIKOWI I ANTALLOWI ZDOŁANO URATOWAĆ CO NAJMNIEJ PIĘĆ TYSIĘCY POLSKICH ŻYDÓW. OBU BOHATERÓW UPAMIĘTNIA MIĘDZY INNYMI ODSŁONIĘTY W WARSZAWIE W 2016 R. POMNIK.

eprasa.pl f4b9c5462d

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

HISTORIA DO RZECZY

ZAMÓW PRENUMERATĘ

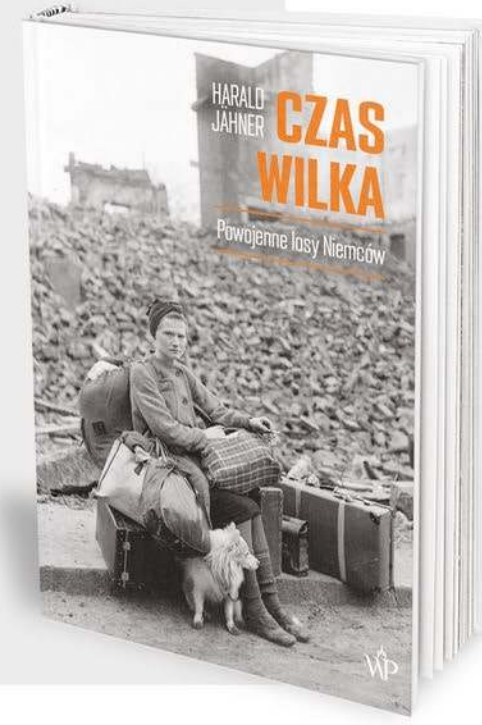
PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”

+ W PREZENCIE KSIĄŻKA HARALD JÄHNER „CZAS WILKA. POWOJENNE LOSY NIEMCÓW”

Pierwsze lata powojenne to dla jednych „dziki kontynent”, dla innych „wielka trwoga”, dla Niemców „wilczy czas” – czas, w którym cały naród musiał dokonać przewartościowania swych postaw i stworzyć fundamenty demokratycznego państwa.

Harald Jähner ukazuje Niemców w całej ich różnorodności: pisarza Alfreda Döblina, który w swej twórczości próbował kreować nowych, nieobarczonych przeszłością obywateli, Beate Uhse – twórczynię pierwszego sex-shopu na świecie, bezimiennych handlarzy z lucky strike'ami w kieszeniach i stylowe gospodynie domowe.

„Czas wilka” to również opowieść o krajobrazie wszechobecnych ruin, o masowych migracjach ludności, o silnych afektach i emocjach. O kształtowaniu nowej gospodarki rynkowej w cieniu grabieży i czarnego rynku, o generacji Garbusa. Ale też o systematycznym wypieraniu prawdy o Zagładzie.



Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

173 zł

oszczędność 61 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST.
ZAMÓWIENIA TYLKO PRZEZ STRONĘ WWW.SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl f4b9c5462d

SPÓŁKA AKCYJNA

DO RZECZY

ROCZNA SUBSKRYPCJA DoRzeczy+ GRATIS

Zainwestuj w akcje Do Rzeczy S.A

Twoje media. Wspólna sprawa.



WEJDŹ NA WWW.DORZECZY.PL/GIELDA

Niniejszy materiał ma charakter wyłącznie promocyjny (reklama) i nie stanowi podstawy do podjęcia decyzji o nabyciu akcji Do Rzeczy S.A. („Spółka"). Memorandum Informacyjne sporządzone w związku z ofertą publiczną akcji Spółki jest jedynym prawnie wiążącym dokumentem zawierającym informacje o Spółce oraz ofercie publicznej. Inwestorzy powinni zapoznać się z Memorandum Informacyjnym przed podjęciem decyzji o nabyciu akcji Spółki, w celu zrozumienia ryzyka i korzyści związanych z inwestycją w akcje. Memorandum Informacyjne zostało udostępnione na stronie internetowej **www.dorzeczy.pl/gielda** oraz Domu Maklerskiego INC S.A. **www.platforma.dminc.pl.**

INFOLINIA: **+48 508 040 882**

Dom Maklerski INC S.A.

eprasa.pl f4b9c5462d